

ZBIGNIEW NIENACKI

**PAN SAMOCHODZIK I
ŚWIĘTY RELIKWIARZ**

1993

TMN

ROZDZIAŁ PIERWSZY

PODRÓŻ NA UROCZYSKO • NIESPODZIEWANA BURZA • PIERWSZA WZMIANKA O DIABLE KUWASIE • TAJEMNICZE ŚWIATELKO • W PRAWO CZY W LEWO? • WSKAZÓWKI DZIADA-ZIELARZA • SKARBY W KURHANIE • ZŁOŚLIWOŚĆ DIABŁA KUWASY

Na Uroczysko, gdzie archeolodzy mieli rozkopać prastary prasłowiański kurhan, zabrał mnie Nemsta swoją nowiutką „Ifą” w słoneczne, upalne popołudnie. Ranek zmarudził w banku, odbierając gotówkę na utrzymanie Stacji Archeologicznej, potem na chwilę wstąpił do Uniwersytetu, potem do Muzeum Archeologicznego, gdzie przekazał sklasyfikowany eksponat. W rezultacie wyjechaliśmy z miasta w najgorszą porę – w popołudniowy upał. Cała ekipa Nemsty odjechała już wcześniej, zabierając z sobą drewniane części baraku.

Po trzech godzinach jazdy skręciliśmy z głównej szosy na boczną drogę. Była z żółtej, stwardniałej w słońcu gliny i biegła między ścianami sosnowego boru. Tu właśnie zaskoczyła nas burza. Nadeszła ukradkiem, zasłonięta wysokim lasem, po cichu, nawet bez grzmotów. Ogarnęła nas niespodziewanie, nakryła ciemnością i rudawym groźnym blaskiem, w którym pnie sosen i gliniasta droga przez las wydawały się jakby skąpane w świetle buzującego gdzieś blisko pożaru.

Nemsta dodał gazu. Może łudził się, że szybkość „Ify” pozwoli nam wyrwać się spod dachu burzowej chmury? Huknął grom. Jeden! Drugi! Trzeci! Na ułamki sekund czerń lasu i nieba rozprysła się od zygzaków błyskawic, jak szkło uderzone kamieniem. Grzechotały gromy, zerwał się silny wiatr. Przygiął drzewa, uderzył w samochód, rozmiatając na szybach grube krople deszczu.

Burza pędziła przez las na podobieństwo rozszalałego konia. Dudniła kopytami, cwałowała ostrym pędem, a jeszcze raz po raz jakby ją ktoś poganiał batem, podcinając palbą błyskawic.

Lunał deszcz. Ogłuszył nas łomot kropel na blaszanym dachu, wiadrami wody chlusnęło na szyby. Nie pomogły włączone wycieraczkę, ukryci w suchym pudełku wozu nie

widzieliśmy nie przed sobą, nawet końca maski samochodu. W strumieniach deszczu w łoskocie grzmotów, otoczeni rojem błyskawic stanęliśmy na leśnej drodze.

– A wiesz, że burza złapała nas prawie o krok od celu? – rzekł Nemsta częstując mnie papierosem.

– Uroczysko powinno być zaraz za tamtym lasem. Powinniśmy tam napotkać rozstaje z drewnianym krzyżem, a stamtąd jedna droga prowadzi do wsi Oporna, a druga, bliższa, na Uroczysko.

– Dlaczego u ciebie wszystko „powinno być”?

– Samochodem odbywam tędy podróż po raz pierwszy. Autobus jeździ okrężną drogą przez wieś Oporną. Powiedziano mi, że tędy bliżej, więc drogi prostuję...

Przytoczyłem mu znane przysłowie o takich, co drogi prostują, a potem w domu nie nocują.

– Tak. Wszystko możliwe – zgodził się Nemsta.

Ulewa ciągle monotonicznie bębniła w karoserię. Spojrzałem na zegarek. Dziesięć minut staliśmy już na leśnej drodze. Milczeliśmy, sennie śledząc dziwacznie połamane kreski błyskawic.

Niebo jakby zszarzało, tracąc swój dotychczasowy rudy odcień. Otaczał nas teraz nie tyle mrok burzy, ile ciemność przyspieszonego burzą wieczoru. Świeące reflektory nie potrafiły przebić gęstej strugi deszczu. Wszystko dookoła nas spoczywało w niebieskawej mgle.

Nemście znudziło się milczenie.

– Komuś tam nie podoba się nasz przyjazd na uroczysko. Ta nagła burza to figiel Kuwasy – rzekł żartobliwie.

– Kuwasy?

– Nie słyszałeś o nim? Tak się nazywa tutejszy diabeł.

– Nie słyszałem.

– To jeszcze o nim usłyszysz. Kilkukrotnie przybywałem na Uroczysko i za każdym razem przywoziłem stąd jakąś „pamiątkę”. Dwa razy były to ślady po uderzeniu kamieniem w głowę, raz zaginęły mi paliki, którymi wyznaczałem teren pod nasze obozowisko. Próbowałem odnaleźć sprawcę, pytałem o niego ludzi z Opornej. Wzruszali ramionami. „Kuwasa winien” mówili...

Nie dokończył, oślepił nas straszliwy błysk, a równocześnie usłyszeliśmy głośny huk. To piorun uderzył gdzieś w pobliżu. Ulewa z nową siłą załomotała w dach wozu, pod gardłem czułem mocne, gwałtowne uderzenia serca... Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa przebywania w lesie podczas burzy.

Lecz ona jakby już wyczerpała swe siły. Deszcz stawał się coraz rzadszy, grzmoty pomrukiwały wciąż dalej i dalej i wkrótce odróżniliśmy już czerń lasu od jaśniejszej pokrywy nieba.

Wyruszyliśmy w dalszą podróż. Wolno, na ile pozwalała słaba wciąż jeszcze widoczność i śliska od błota droga. Uległa ona podczas burzy zadziwiającej przemianie. Przedtem była twarda, ubita jak beton, teraz koła samochodu grzęzły w niej po ośki. Motor warczał, wyl wyciągając opony z chwyliwej mazi. Wystarczył jeden nieopatrzny ruch kierownicą, a poczynaliśmy ześlizgiwać się do rowu napelnionego wodą. Błocko chwilami kończyło się raptownie, samochód wyskakiwał z niego jak z procy i znowu nagle osiadaliśmy w następnej kałuży, o mało nie tłukąc sobie nosów o przednią szybę. Taka męcząca jazda trwała do skraju lasu.

Tu Nemsta przystanął. Nie było ani krzyża, ani rozstajów. Tylko gdzieś na horyzoncie rozlewała się na niebie łuna wielkiego pożaru.

Dokąd jechać? Czyżby Nemstę źle poinformowano? A może jeszcze w lesie przeoczyliśmy i krzyż, i rozstaje?

Zawróciliśmy spory kawałek drogi. Bez rezultatu. Zdecydowaliśmy więc jechać naprzód.

Deszcz ledwie już siąpił, ale niebo znowu stało się pochmurne i niskie. Wiał silny wiatr, na skraju lasu o pnie sosen odbijał się czerwony blask pożaru. Krwawa łuna paliła się we wszystkich kałużach na drodze, w każdej odrobinie wilgoci na polu. Razem z tym wszystkim i my powleczeni byliśmy cienką warstewką odbłasku płomieni na horyzoncie. Droga przed nami widniała nadal błotnista, grząska. Nie to jednak okazało się najgorsze. Stała się wąską, ot, zwykłą polną drogą z głębokimi śladami po kołach wozów.

Nareszcie rozstaje! Tylko że bez krzyża.

Którą drogę wybrać? W lewo, czy w prawo? Jak długo, u diabła Kuwasy, będziemy szwendać się po nocy, podróżując w niewiadomym kierunku?

Rozejrzeliśmy się po okolicy.

– Tam na prawo błyszczy jakieś światełko – dostrzegł Nemsta.

Na tylnym siedzeniu leżał mój nieprzemakalny płaszcz i kapelusz. Sięgnąłem po nie, włożyłem na siebie i wyruszyłem w stronę ledwie, ledwie widocznego w polu światełka

– Bądź ostrożny! Tu mogą być bagna i Kuwasa – wołał za mną Nemsta.

Bagien nie napotkałem. Lecz jak na złość lub na rozkaz diabła Kuwasy znowu zaczął kropić deszcz. Potykałem się w świeżych redlinach kartoflisk, nogi plątały mi się w jakichś badylach i łącianach w butach poczułem wkrótce wilgoć. A światełko wciąż było daleko.

Mokro i zimno. Przeskoczyłem wysoko podoraną miedzę, jeszcze chwilę przedzierałem się przez gęste zboże i wyszedłem na łąkę.

„Kuwasa? – rozmyślałem. Co za diabeł ten Kuwasa? Tyle jeżdżę po Polsce, a jakoś nie słyszałem jeszcze o takim diable”.

Obejrzałem się za siebie. Łuna pożaru już przygasła. Samochód i droga zginęły w gęsiej, deszczowej ciemności.

Na ceracie nieprzemakalnego płaszcza deszcz szumiał smutną jednostajną melodię. Zmęczyło mnie potykanie się na polu, przystanąłem dla złapania oddechu. Na szczęście. Bo dostrzegłem głęboki rów pełen wody, w którym niechybnie znalazłbym się za sekundę.

Przeskoczyłem rów, przecisnąłem się przez rosnące na drugim brzegu krzaki tarniny. I oto u mych stóp poszukiwane światełko. Malutkie, wątle ognisko rozpalone pod szałasem z gałęzi.

Kto siedzi w tym szałasie? Dla jakich tajemniczych celów przebywa tu z dala od ludzi?

Podmokła łąka i szmer deszczu głużyły odgłos mych kroków. Ale nie było moim celem wnikać w cudze sprawy, nie zamierzałem nikogo przestraszyć swym nagłym pojawieniem się, kaszlnąłem więc głośno, ostrzegawczo.

– Bachura? To ty?... – zachrypiał czyjś męski głos spod gałęzi.

Podszedłem bliżej i przykłęknąłem u wejścia do szałas.

– Przepraszam, ale stoimy samochodem na drodze i nie wiemy, którądy jechać na Uroczysko – wyrecytowałem, żeby tego kogoś w szałasie od razu upewnić co do moich przyjaznych zamiarów i wiedziony ciekawością wśliznąłem się do wnętrza.

Koło ogniska z nogami założonymi po turecku siedział starszy wiekiem chłop z siwą szopą zmierzchwionych włosów. Ubrany był w dziurawą „fufajkę”, z przerzuconą przez ramię parcianą torbą, jaki widuje się u wiejskich, proszalnych dziadów. Patrzył na mnie trochę przestraszonymi oczami. Jego od dawna nie ogolona twarz obrośnięta była siwym, niechlujnym zarostem.

– Na Uroczysko... Którędy trzeba jechać na uroczysko? – powtórzyłem pytanie.

– Na Uroczysko?... – zastanawiał się głośno, przyglądając mi się bardzo pilnie, jakby mój nieprzemakalny płaszcz, kapelusz i okulary na nosie były dla niego bardzo ważnymi szczegółami.

Nagle chytrze przymrużył oczy.

– To pan z tych uczonych, co to skarbów mają szukać na Uroczysku?

Skarbów nie skarbów. Jak mu tu wytłumaczyć, że nie skarbów, tylko śladów dawnej kultury materialnej? Nie pora była na wyjaśnienia.

– Tak – przytaknąłem, byle prędzej otrzymać odpowiedź.

Jeszcze chwilę się namyślał. „Proszalny zielarz-dziad” – zdecydowanie określiłem w myśli jego profesję, spostrzegłszy obok ogniska pęczki traw i ziół.

– I samochodem stoicie na drodze? Samochodem?...

– Tak.

– Dużo was tam jest?

Zmarszczyłem czoło. Po co te pytania? Coś jak cień podejrzenia przemknęło przez moje myśli.

– Dużo nas – obojętnie wzruszyłem ramionami. I dodałem z odrobiną niecierpliwości: – No, w którą stronę na Uroczysko? W lewo, czy w prawo? Bo stoimy na rozstaju.

– W prawo – odrzekł pośpiesznie.

– Na pewno?

– Na pewno, panie. Ja człowiek tutejszy...

Wyczołgałem się z szałasu i ruszyłem w ciemność.

– Patrzcie go, jaki ciekawy – mruczałem ze złością. Ale podejrzenie pierzchło. Wypytywał o samochód, ilu nas jest na drodze? Tak. Ludzie starzy bywają ciekawi, nawet natarczywie ciekawi. Dlaczego jednak siedzi po nocy w szałasie i kto to jest Bachura, którego nadejścia oczekiwał?

Odpowiedź znalazłem sam. Gdzie, jak nie w polu, w szałasie, ma nocować proszalny dziad-zielarz? Jest lato, zbierał na łące zioła i zanocował tutaj. A Bachura to zapewne jego dziadowski kompan, którym wędruje przez wioski i którego wysłał do wsi, żeby wyzebrał trochę żywności.

Powrotna droga do samochodu wydała mi się krótsza i łatwiejsza, znużonemu oczekiwaniem Nemście oświadczyłem z triumfem:

– W prawo! Jedź w prawo!

Z ulgą wcisnąłem się do auta i natychmiast zdjąłem przemoczone buty. Och, bylebym jutro nie miał kataru!...

Droga w prawo okazała się równie wyboista jak i poprzednia. Kolebaliśmy się na niej jak stara żaglowa fregata¹ na wzburzonym morzu, zmęczony, głodny zziębnięty – zdrzemałem. Spałem minutę? Godzinę? – Nie wiem. Obudziła mnie nagła cisza motoru i trzask drzwiczek samochodu. Do reszty odleciał mnie sen, gdy usłyszałem głośne, dosadne przekleństwa.

– To jak ci mówiono? W prawo mieliśmy jechać?

– W prawo.

– Spójrz, gdzieśmy przybyli!

Przylepiłem twarz do szyby. Nemsta stał przed samochodem i widziałem go wyraźnie w świetle reflektorów. Byliśmy na łące. Nemsta zrobił na niej jeden, drugi krok, a zz trzecim wysunięta do przodu noga nagle zapadła się w trzęsawisko. Przed nami rozciągało się bagno!

Szybko włożyłem przemoczone buty.

– A to wstrętny dziadyga! Jeśli nie wiedział, którędy na Uroczysko, to mógł przyznać się do tego – pomstowałem. – Jeszcze trochę, a utopilibyśmy się w tym bajorze. Głupi durny dziad.

– Głupi? On dobrze wiedział, dokąd nas wysła!

Nemsta wlaźł do wozu i kazał mi opowiedzieć cały przebieg rozmowy z dziadem na łąkach. Kiedy zdawałem mu szczegółową relację, tylko kiwał głową, jakby wszystko co mówiłem, doskonale tłumaczyło zagadkę naszego zabrnienia na moczary.

– Błąd polegał na tym, że zdradziłeś mu przynależność do ekipy ekipy. Komu innemu na pewno dałby dobrą informację. A nas wysłał na bagno...

¹ Fregata (z włosk.) – szybki trójmasztowiec wojenny.

Uśmiechnąłem się sceptycznie. Nie lubię domorosłych Sherlocków Holmesów. Powiedziałem Nemście, że jest przesadnie podejrzliwy.

Oburzył się. Odsunął palcami trochę włosów na głowie i ukazał jeszcze nie zabliźnioną szramę.

– Widzisz, jak mnie urządzono na Uroczysku? Dwa razy dostałem kamieniem w głowę. Dookoła Uroczyska wsie są bardzo zacofane, na siedem wsi tylko jedna szkoła. Istnieje tu wśród ludzi legenda, że w kopcu na Uroczysku diabeł Kuwasa ukrył swoje skarby. Próbowali ich nawet szukać, bo od jednej strony kurhan jest rozkopany. Rzecz jasna, nic nie znaleźli i zaprzestali. Ale wierzą, że skarby jednak są. Usłyszeli, że przyjechaliliśmy rozkopywać kurhan, i są nam przeciwni, bo myślą, że zabierzemy sobie skarby, które do nich powinny należeć. Oto i cała tajemnica tego dziadowskiego kłamstwa. Diabeł Kuwasa jest złośliwy...

– Przepraszam, ale co ma z tym wspólnego ten Kuwasa?

Wzruszył ramionami. Udział Kuwasy w obdarzaniu nas kłopotami wydawał mu się oczywisty.

Rejterada z bagien zajęła nam chyba pół nocy. Odwrócić samochód na grząskiej łące o krok od trzęsawiska? Nie, to niełatwa sprawa. A potem znowu uciążliwa powrotna podróż aż do rozstajów.

Z początku zamierzałem nawet pójść do szalasu na łąkach i zażądać od dziada wyjaśnień. Ale któż mógł mi zaręczyć, że nie będzie to niepotrzebnym marnotrawstwem czasu? Dziad na pewno umknął w obawie, że jeśli nie utopiliśmy się, to powrócimy do niego. Byliśmy zbyt zmęczeni i senni na szukanie go po ciemnych polach.

Od rozstajów skręciliśmy drogą w lewo. Świtało, gdy wpadliśmy między opłotki Opornej, a stamtąd, zostawiwszy samochód na klepisku stodoły sołtysa, powędrowaliśmy na Uroczysko.

Przywitano nas przykrą wiadomością. Studenci pozostawili nieopatrznie na noc pod barakiem narzędzi do rozkopywania kurhanu: łopaty, łopatkę, sita. Ktoś w nocy sprzątnął je i ślad po nich zaginął.

– No widzisz, widzisz? Diabeł Kuwasa jest złośliwy – smętnie triumfował Nemsta.

Wtedy to przypomniałem sobie nazwisko „Bachura” i zapisałem je w notesie.

Dlaczego to uczyniłem? Nie wiem. Lecz myślę, że to właśnie wtedy pierwszy raz dała znać o sobie tkwiąca we mnie żyłka detektywistyczna. Byłem wówczas jeszcze bardzo młody, właśnie ukończyłem trzeci rok historii sztuki na Uniwersytecie, i nie miałem pojęcia, że czeka mnie przyszłość pełna przygód jako urzędnika do specjalnych zadań w Ministerstwie Kultury i Sztuki. A jednak to wówczas na Uroczysku ogarnęło mnie przeczucie, że stoję przed pierwszą w swym życiu zagadką, którą muszę rozwiązać. Zagadka ta nazywała się „diabeł Kuwasa i jego skarby”.

ROZDZIAŁ DRUGI

UROCZYSKO, KOLEGIATA, KURHAN, CZARTORIA • STACJA ARCHEOLOGICZNA PROFESORA NEMSTY • KŁOPOTY MŁODEGO DZIENNIKARZA • „N⁴” • OSTRZEŻENIE MILICJANTÓW • NIEPRZEWIDZIANE TROSKI

Uroczysko – mała owalna wysepka pośród moczarów – wygląda jak odwrócony do góry dnem spodek, na którym znajduje się kopiec porośnięty kwitnącym żółto „miodownikiem”. Ów miodownik porasta zresztą całą wysepkę i z daleka na przykład spod starej kolegiaty, wzniesionej na wysokiej krawędzi bagien, całe Uroczysko stanowi żółtą plamę na tle brunatnozielonych moczarów. Z bliska także nie dojrzysz na Uroczysku żadnego ciekawszego szczegółu. Ani drzewa, ani najmniejszego krzaczka, pod którym można by się schronić w upalne południe; płaska, równa powierzchnia wysepki i sterczący na niej kopiec o kształcie ściętego u góry stożka. Widok ten nie ma w sobie nic interesującego i pięknego. Najwyżej urzeka swoim odosobnieniem i samotnością, stanowi cichy zakątek nikomu niepotrzebny, zapomniany i przez to trochę dziki, a nawet dziwaczny.

W chłodne dni i noce unoszą się nad Uroczyskiem roje złośliwych i krwiożerczych komarów, w ciepłe noce oprócz nich podnosi się z bagien biała, lepka mgła i jak liszaj osiada na listkach miodownika, opatulając wysepkę jakby wilgotną watą. W słoneczne dni Uroczysko bez skrawka cienia smaży się na moczarach jak na rozgrzanej patelni, powietrze przesyca tu mdły, ckliwy zapach gnijących łodyg turzycy i traw bagiennych; w deszczową pogodę wysepka i moczary chłoną wodę jak gąbka. Dojście na wysepkę jest trudne, jesienią i wiosną wprost niemożliwe, zimą po zamarzniętym śniegu, a latem wąską, grząską ścieżką od kolegiaty przez moczary. Po co zresztą tam chodzić, skoro nie rośnie na niej trawa, skoro nie znajdziesz na niej ani grzyba, ani jeżyny czy jagody?...

Odmienny zupełnie jest widok, który roztacza się z Uroczyska a szczególnie z wysokiego kopca. Oto najbliższej rozciąga się nieco monotonna powierzchnia okrążających wysepkę bagien – duże, czarne oczy rozlanej wody, gdzieś tam rude plamy zeschniętych, gnijących

kep traw i roślin, czarne torfowiska, jeziora pokryte zielonym kożuchem rzęsy, tu i ówdzie kołyszące się nierówno wysokie kity trzciny i płoty tataraku. Dalej znowu morze podmokłych łąk, miejscami soczyście zielonych, to znów z ogromnymi połaciami lilaróżowych kwiatków lub żółcących się pasm „wolic oczek”.

Ale bagna i łąki kończą się nareszcie i na wysokiej ich krawędzi stoi masywna, mroczna budowla dwunastowiecznej kolegiaty, podobna z dala – właśnie z kopca Uroczyska – do przykucniętego dziwaczego zwierza, który wsparł się o ziemię na przednich łapach, zgarbił, przyczał, wtuliwszy głowę w ramiona i wystawiwszy spiczaste uszy. Dopiero gdy podejdziesz się bliżej, owe uszy okazują się dwiema prostokątnymi wieżami o ostrych, spadzistych hełmach, grzbiet zwierza stanowi stromy, duży dach, a wtulony łeb to „empora”² wciśnięta pomiędzy wieże.

Na przeciwległej zaś krawędzi moczarów zamykają horyzont wysokie, porośnięte sosnowym lasem wzgórza, nierówne, postrzępione jak brzeg naddartej książki. Zbocza wzgórz są ciemnozielone, jak głęboka toń jeziora, i tylko w jednym miejscu łyse, skaliste, z piargami wapiennego kamienia, bielejącego w zieleni jak wysuszone w słońcu kości. To Czartoria – skała wapienna z wądołami i rozpadlinami po nieczynnych od lat kopalniach wapienia, z czarnymi dziurami po niepotrzebnych już piecach do wypalania wapna. Okolica pusta, ponura, nieurodzajna, nie zamieszкана.

Przed tygodniem na grząskiej ścieżce do Uroczyska postawiono tablicę z wyraźnym, czytelnym napisem: **UWAGA! ROBOTY NAUKOWO-BADAWCZE. NIE ZATRUDNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.** W trzy dni później w sąsiedztwie ziemnego kopca na wysepce zbudowano długi, drewniany barak, w którym oprócz okazałego pomieszczenia na skrzynie z eksponatami naukowymi są jeszcze dwie sypialnie, kuchnia, jadalnia oraz dwa oddzielne pokoiki dla personelu naukowego. Uroczysko nosi teraz oficjalną, urzędową nazwę – **STACJA ARCHEOLOGICZNA**, a pisane stąd listy profesor Nemsta stempluje podłużną pieczętą: **STACJA ARCHEOLOGICZNA NA UROCZYSKU; POCZTA OPORNA.**

W jednej sypialni w baraku mieszkają studenci, w drugiej studentki wydziału archeologicznego, przybyłe tu na wakacyjną praktykę; jeden pokój dzielą między siebie doktorzy Narkusji i Nietajenko, a drugi ja i profesor Nemsta, kierownik Stacji Archeologicznej. A ponieważ i moje nazwisko zaczyna się na N, któryś ze studentów zdążył już na drzwiach wejściowych do baraku napisać kredą: „N⁴”.

Profesor Nemsta, mój serdeczny przyjaciel, obiecał mi, że na Uroczysku będę obecny przy rozkopywaniu prehistorycznego kurhanu – czyli owego kopca. Czy to jednak na pewno kurhan? I czy znajdzie się w nim rzeczywiście coś interesującego?

– Zabierzemy na Uroczysko sporo fachowych książek – obiecywał mi profesor Nemsta, zachęcając do udziału w pracach swojej ekipy. – Do roboty nie będziemy cię zapędzać. Poczytasz sobie, porozmawiasz, pouczysz się archeologii, a to na pewno ci się przyda.

² Empora (z grec.) – galeria obiegająca nawy kościoła.

Zwiedzisz nową okolicę, będziesz miesiąc na świeżym powietrzu. Jedź, jedź z nami! Nazbierasz tam może wiele ciekawych legend, zobaczysz wspaniałą budowlę romańską. No i będziesz świadkiem odkrycia prehistorycznego kurhanu.

Archeologia. To od niej zaczęła się moja miłość do „staroświecczyzny”.

Byłem wtedy – jak wspominałem – studentem historii sztuki na uniwersytecie, a do małego stypendium dorabiałem sobie pracą w redakcji jednego z dzienników. Pisałem przeważnie o wystawach nowoczesnych obrazów i współczesnych awangardowych rzeźbach. Ale tak się złożyło, że pewnego dnia do redakcji zatelefonowano z wiadomością o ciekawych odkryciach dokonanych przez archeologów we wsi Janisławice w okolicach Skierniewic. Redaktor naczelny akurat nie miał pod ręką żadnego z doświadczonych dziennikarzy, więc właśnie mnie wysłał do Janisławic, abym napisał reportaż o pracy archeologów. Nie mogłem mu odmówić, jeśli chciałem dalej dorabiać sobie pracą w gazecie.

W Janisławicach pokazano mi odkopaną poza wsią niedużą jamę, w której na wznak leżał szkielet nieboszczyka. Popatrzyłem na szkielet, na jamę grobową, zapisałem w notesie, jak to wszystko wygląda, wymieniłem cały inwentarz znaleziony w grobie. Jeden z uczonych poinformował mnie jeszcze, że znalezisko pochodzi ze środkowego okresu epoki kamienia, z tak zwanego mezolitu (10 000-2500 lat przed naszą erą).

I to było wszystko, cały mój materiał do napisania reportażu. O mało nie rozplakałem się z rozpaczy tam w Janisławicach, nad grobem człowieka z mezolitu.

Rozpacz moja musiała być jednak tak widoczna, a wygląd tak smarkaczowaty, że ulitował się nade mną jeden z członków ekipy – właśnie Nernsta, wówczas już profesor. Odprowadził mnie na bok i opowiedział o warunkach, w jakich żył ów człowiek, o ówczesnym klimacie Polski, o przyrodzie epoki kamiennej.

Napisałem. Reportaż nie wyszedł nadzwyczajnie, lecz „uszedł”, to znaczy wydrukowano go bez specjalnych poprawek. Poszedłem potem do Nemsty i serdecznie mu podziękowałem. Poznałem wtedy jego ogromny gabinet w muzeum archeologicznym, gdzie z pozoru bez ładu i składu na podłodze, na niezliczonej ilości półek, półeczek i stoliczków walały się książki, szczątki glinianych garnków, misek, przeróżne skorupy, jakieś stare ostrogi, monety, połamane miecze i setki innych przedmiotów nie znanego mi pochodzenia i przeznaczenia. Tego dnia odkryłem w sobie utajoną dotąd skłonność do staroświecczyzny. Poczulem się w tym pokoju dobrze, jak nigdzie indziej, a słuchając opowiadań Nemsty o jego skorupach i garnkach – byłem prawie szczęśliwy.

Nemsta należał do ludzi niezwykłych. Na przykład, nigdy nikomu nie okazywał swej wyższości, wypływającej z posiadania ogromnej wiedzy archeologicznej. Z ludźmi, o których sądził, że są wartościowi lub ich po prostu lubił – łatwo przechodził na „ty”. Być może to on pierwszy odkrył we mnie miłość do staroświecczyzny, a także domyślał się, że mam żyłkę detektywistyczną. Prawdopodobnie dlatego, gdy zaczęły się jego kłopoty związane z działalnością „diabła Kuwasy” zaprosił mnie na Uroczysko, abym – jak to wyjaśnił – mógł

napisać artykuł do gazety o pracy archeologów. W rzeczywistości jednak, jak sędzę, szukał u mnie pomocy w walce z kłopotami, jakie wynikły już na początku prac wykopaliskowych. Czy mogłem mu odmówić?

Przed wyjazdem na Uroczysko kupiłem w mieście gruby notes oprawiony w niebieskie płótno. Notes zawiera prawie dwieście kartek, lecz w czasie tych dni zapisałem dopiero jedno nazwisko. I żeby zajęło więcej miejsca, nagryzmołem je wołowymi literami: **BACHURA**, a obok postawiłem znak zapytania i narysowałem małego człowieczka z żebraczą torbą na ramieniu i madejową maczugą w ręku.

Po nocnej przygodzie z dziadem-zielarzem i po kradzieży Nemsta obdarzył mnie funkcją swego zastępcy do zapewnienia bezpieczeństwa na Uroczysku. Ale co powinno wchodzić w zakres moich obowiązków tego mi Nemsta nie wytłumaczył. Najprawdopodobniej sam nie wiedział.

Jestem więc zastępcą kierownika Stacji Archeologicznej i zupełnie nie orientuję się, co począć z tym fantem. Przypuszczam, że powinienem dbać o to, aby wypadki kradzieży rzeczy należących do naszej ekipy nie powtórzyły się więcej. Mało tego. Powinienem również wykryć sprawcę kradzieży i chronić badania na Uroczysku przed jakimikolwiek próbami ich przerwania. Zadania trudne, prawda? Ale bardzo frapujące. I jeśli się weźmie pod uwagę, jak bardzo nudziłem się przez owe pierwsze dni pobytu na Uroczysku, będzie rzeczą jasną, dlaczego bez najmniejszego protestu przyjąłem jednak od Nemsty tę „godność”.

Pierwsze, co uczyniłem na nowym stanowisku, to zawiązałem na posterunek w odległym o cztery kilometry Przygłowie. Zawiadomiłem o kradzieży narzędzi, podałem dokładny ich opis. Ale złodzieje na pewno doskonale je ukryli. Nie wierząc zresztą w szybkie odzyskanie straty Nemsta postanowił pojechać samochodem do miasta i zakupić nowe łopaty, szulelki, sita.

Milicjanci odnieśli się z powagą do zawiadomienia. Obiecali nawet, że zjadą na Uroczysko, żeby dokonać tak zwanej wizji lokalnej. Gdy odchodziłem z posterunku, zalecili naszej ekipie większą przezorność i ostrożność.

– Macie jakieś obawy? Jakieś podejrzenia? – zapytałem gorączkowo.

Nie byli skorzy do wyjaśnień.

– Nie, nie – wykręcali się ogólnikowo. – Ale sami pewnie wiecie, co ludzie gadają o tych skarbach na Uroczysku. Znacie chyba ludzi? Niejednego tam na pewno dręczy ta historia ze skarbami. Niejeden spać nie może z zawiści, że to wy, a nie on, wygrzebie je z kopca.

No tak, na pewno mają rację ci milicjanci.

– I w ogóle bądźcie ostrożni, nie pozostawiajcie baraku otwartego ani na chwilę, a w nocy lepiej by było, żeby któryś z was czuwał.

Wiec jednak boją się czegoś, mają jakieś podejrzenia? Spróbowałem „przycisnąć ich do muru”, dręczyłem pytaniami. Ale na próżno.

Wróciłem na Uroczysko, postanawiając mieć uszy i oczy na wszystko otwarte.

Na drodze koło kolegiaty napotkała mnie „Ifa” Nemsty. Profesor był zły, śpieszył się i przystanął tylko na chwilę, żeby zawiadomić mnie, że na noc na pewno nie zdąży wrócić na Uroczysko.

– Wyobraź sobie, że w tym powiatowym miasteczku koło nas dostałem tylko łopaty. Po szufelki, sito i po resztę potrzebnych narzędzi muszę jechać chyba do Warszawy. O Boże, jak się nam tu nic nie szykuje! – złościł się. – Zobaczysz, czeka nas tu istna katorga.

– Co znowu? Co się stało?

– Przecież na Uroczysku mamy nie tylko pracować. Jeść też trzeba. Jest tu nas jedenaście osób. A świeżym powietrzem nikt żołądka nie napelni.

– Nie masz pieniędzy na wyżywienie ekipy?

– Pieniądze są. Ale bądź tu mądry i kup jedzenie. Nikt w okolicznych wsiach nie chce nam nic sprzedać. Właśnie jeździłem teraz, prosiłem. „Żniwa niedługo, na żniwa chowamy” – tłumaczą się ludzie i nie chcą sprzedać ani masła, ani jajek. Żniwa żniwami, ale że jest w tym trochę złej woli, trochę Kuwasowej złośliwości, to więcej niż pewne. Czekają nas więc częste podróże do miasta po żywność. Piętnaście kilometrów drogi. Wesola perspektywa, co? Dobrze chociaż, że mam ten samochód. No bywaj! A uważaj, żeby znowu Kuwasa czego nie zmalował. Tyle dni jesteśmy już na Uroczysku, a jeszcze nawet palcem nie pogrzebaliśmy w kurhanie.

Kiwnął mi głową i odjechał, szeroko rozpryskując na drodze wielkie tłuste od gliny kałuże wody.

Studenci z naszej ekipy zupełnie się nie przejmują brakiem narzędzi. Ugotowali obiad, wydeptali na Uroczysku boisko, wbili przytaszczone skądś słupy i grają w siatkówkę. Tylko doktorzy Narkuski i Nietajenko są w zwarzonych humorach. Od południa już siedzą na czubku kurhanu, od czasu do czasu śledzą oczami przelatujące po niebie pary kaczek krzyżówek i od czasu do czasu kłócą się ze sobą.

A tymczasem niebo nagle wypogodziło się. Z rana było mglawe bezbarwne, jakby ktoś mleka nalał do wody. Teraz zaś stało się niebieskie, aż turkusowe. Słońce przydało barw zieleni na łąkach i mokradłach. W jego blasku nawet mroczne zwałisko kolegiaty zyskało weselszy, jaśniejszy wygląd.

ROZDZIAŁ TRZECI

**PIERWSZA KARTKA Z NOTESU • KLÓTNIA DOKTORÓW •
SIATKÓWKA I KOMPROMITACJA • „BABIE LATO” • 32 ALBO 35, CZYLI
NOCNA WYCIECZKA DO ŚREDNIOWIECZNEJ ŚWIĄTYNI • ZAGADKA
STAREJ KOLEGIATY • DZIWAK • SZPONY DIABŁA KUWASY**

W moim notesie dotychczas figuruje tylko jedno słowo „Bachura” i pokraczny rysunek człowieka z madejową maczugą. Denerwuje mnie świadomość, że tyle jeszcze w brulionie czystych, nie zapisanych kartek. Z nudów nakreśliłem kilka krótkich charakterystyk uczestników naszej ekipy. A więc:

PROFESOR STEFAN NEMSTA – lat 41. Wysoki, szczupły, z czarną bródką. Po co nosi te brode? Myślę, że dla powagi. Kiedy został profesorem, miał 38 lat i wstydził się trochę swego młodzieńczego wyglądu.

DR JAN NARKUSKI – lat 50. Kawaler („stary”?). Podobno wielki znawca archeologii i historii sztuki. Ma pucułową twarz o lekko różowym odcieniu jakby po odmrożeniu, ale barwa ta wynika chyba raczej ze skłonności do tłustego jedzenia.

DR MIKOŁAJ NIETAJENKO. Pochodzi z Wileńszczyzny. Opublikował prace o egipskich wykopaliskach.

Oprócz tych trzech naukowców do naszej ekipy należą jeszcze dwie dziewczyny: blondynka Irena jest asystentką Nemsty, Hanka – brunetka z warkoczami – studiuje na IV roku archeologii. Po IV roku jest również Henryk S., wysoki dryblas ostrzyżony na „zero”. Poza tym w ekipie jest czterech studentów, którzy dopiero ukończyli pierwszy rok studiów. Nazywają ich „smarkaczami”, ale i ja jestem w ich wieku. Z racji swej młodości i skąpego zasobu wiedzy trzymają się na uboczu. Zresztą są zapamiętałymi brydżystami, a że jest ich akurat czwórka i mają sporo wolnego czasu wystarczają sobie sami.

Wraz ze mną ekipa liczy jedenaście osób.

Tymczasem najbardziej zajmujący wydają mi się obydwaj doktorzy. Słyszałem o nich opinie, że są kłótniwi. Nieprawda. Kłócą się często, ale tylko ze sobą. Kłócą się ze sobą właściwie bez przerwy, namiętnie i nieustannie. Z byle jakiego powodu. O drobiazgi i sprawy istotne, o głupstwa i zagadnienia wielkiej wagi, o codzienne drobnostki i problemy zawodowe, o kury i naukowe hipotezy. Ale czy można nazwać ich kłótniwymi, skoro kłócą się ze sobą nie sprzecząc się z nikim innym?

A kiedyś podobno żyli w idealnej zgodzie. Opowiadał mi Nemsta, że przed kilkoma laty Narkuski i Nietajenko byli najserdeczniejszymi przyjaciółmi. Nawet jakąś pracę naukową wspólnie pisali. Jak twierdzą ludzie złośliwi, ta sielanka między obydwoma doktorami trwała tak długo, dopóki podczas pewnej wycieczki archeologicznej nie posadzono obu w wiejskiej chałupie na jednej ławce i nie kazano im jeść z jednej miski. Od tej chwili przyjaźń ich prysła.

Historyjka zakrawa raczej na anegdotkę i nie trzeba jej brać poważnie. Ale fakt faktem, że w ich obecnej kłótniowości jest coś dziwnego, i zastanawiającego. Oto na przykład, gdy pisałem w brulionie ich chakterystyki, siedząc przy stole w pokoju baraku – widziałem przez otwarte okno obydwu doktorów usadowionych na czubku kurhanu i dokonywających burzliwej wymiany poglądów. Niedawno skądś przyszli. Kucnęli na kurhanie zapewne z zamiarem rozkoszowania się z pięknem słonecznej pogody. Wytrzymali w spokoju może pięć a najwyżej dziesięć minut. Któryś z nich zrobił jakąś uwagę. Drugi zaprzeczył mu. I oto od pół godziny sprzecają się ze sobą, wymachując rękami. Narkuski jest jeszcze bardziej czerwony niż zwykle. Nietajenko tłumaczy mu coś łagodnie i śpiewnie. Przez otwarte okno wraz z wilgotnym zapachem mokradeł dolatuje do mnie prawie każde słowo kłótni.

– Pamiętasz, co Nemsta wygrzebał w starych dokumentach? Zamyśl budowy kolegiaty na pewno powstał na zjeździe u księżnej Salomei. Był na tym zjeździe i Aleksander, biskup płocki – hamując gniew stara się wytłumaczyć Nietajence. – A jeśli był i biskup Aleksander, to przypuszczasz, że nie wtrącił swoich trzech groszy w budowę kolegiaty?

– Nie musiał wtrącać. Sami go poprosili o radę – zgadza się Nietajenko. – Już wtedy chyba sławny był ze swych mazowieckich budowli. Czcigodny mistrz Kadłubek³ raczył nazywać je „bazylikami”. Zgadza się z tobą co do biskupa Aleksandra. Ale nie lubię tej twojej „wpływowomanii”. Jak biskup Aleksander, to u ciebie zaraz nadreńskie wpływy. Twierdzą, że w kolegiacie nie ma żadnych wpływów nadreńskiego budownictwa. Ot co!

Narkuski aż podskoczył na czubku kurhanu.

– Wpływowomania? Wpływowomania? Patrzcie na tego archeologa. Tu nie archeologiem trzeba być, lecz historykiem sztuki. Nie o wpływy mi chodzi, tylko o analogię z nadreńskimi kościołami. Udowodnię ci zaraz.

– A udowadniaj, udowadniaj! – machnął ręką Nietajenko.

– Dokonajmy najpierw rozbioru planu kolegiaty. Co jest dla niej najbardziej charakterystyczne? Obecność zachodniej empory i treflowe⁴ rozwiązanie części wschodniej.

³ Wincenty zwany Kadłubkiem (ok. 1160-1223) – biskup-kronikarz, autor *Chronica Polonorum*.

⁴ Treflowy (z franc.) – w kształcie liścia kończyny.

Trzy absydy⁵ i dwie baszty. Taki właśnie układ jest przeżytkiem karolińskiego okresu⁶, w którym plan ten jest bardzo typowy. Chcesz przykładów? Proszę bardzo: kościół św. Cyriaka w Gernrode⁷, opactwo St. Gallen, katedra kolońska, katedra w Hildeshemi, kościoły w Drubeck, Huyseburg, Ratyzbonie, Bambergu, Wormacji, katedry w Verdun, Nevers, Garde Adhemar, La Marche...

Z trzaskiem pękł mi grafit w ołówku i piękne przemówienie Narkuskiego nie zostało do końca uwiecznione w brulionie. Zanim zaś zatemperowałem ołówek, Nietajenko wyskoczył z nowym argumentem przeciw Narkuskiemu.

– A triforia?⁸ Toż to, bracie, coś zupełnie odmiennego w tej kolegiacie niż w pozostałych romańskich budowlach. W Polsce są tylko dwa wypadki zastosowania empor bocznych w charakterze triforiów. Raz w kościele św. Andrzeja w Krakowie, a drugi raz w Kościelcu pod Proszowicami. Tutejszy wypadek to zupełnie coś nowego i odmiennego. W łeb bierze cała ta twoja Nadrenia. Chcesz się przekonać? Chcesz? To proszę cię bardzo, jeszcze raz możemy pójść do kolegiaty.

Poszli. Zaiste, zaimponowała mi i erudycja obydwu naukowców, i ich zapał, z jakim uzasadniali swe poglądy.

Przed wieczorem „smarkacze” zaprosili mnie do gry w siatkówkę. Bronilem się jak mogłem. Tłumaczyłem, że sportem się nie interesuję, że nie uprawiam żadnej sportowej dyscypliny, że w ogóle jestem w tych sprawach wielkim ślamazarą. Nie dali wiary. No, ale wkrótce musieli jednak uwierzyć. Grałem źle. Fatalnie. Drużyna, w której uczestniczyłem, trzykrotnie straszliwie przegrała. I to przeze mnie – jestem tego w pełni świadomy. Szkoda, że nie tylko ja. Asystentka Nemsty, piękna, wysoka blondynka, oświadczyła głośno pogardliwie wydymając wargi.

– Pan redaktor to przeżytek. Można być i dobrym naukowcem i jednocześnie wysportowanym człowiekiem, można być i redaktorem, intelektualistą, i dobrze grać w siatkówkę. Tylko kiedyś naukowcy i intelektualiści wyglądali jak zasuszone mumie. Jeśli pan równie dobrze pisze swe artykuły jak gra w siatkówkę, to... współczuję jego redakcji.

Na Uroczysku nazywano mnie „redaktorem”, choć w redakcji pracowałem tylko dorywczo, zajęty studiowaniem historii sztuki. Lecz tak mnie przedstawił Nemsta i odtąd nosiłem redaktorski tytuł. Nie oponowałem przeciw temu, gdyż – jak sądziłem – tytuł ów dodawał mi powagi i znaczenia.

Dotknęły mnie jednak słowa asystentki profesora Nemsty, która lekceważąco wyrażała się o moich sportowych umiejętnościach. Niestety nie miałem argumentów, aby je odeprzeć lub znaleźć dla siebie jakieś usprawiedliwienie. Rzeczywiście, bardzo mało interesowałem się sportem i sprawnością swego ciała. O wiele bardziej pociągały mnie książki, przede

⁵ Absyda (z łac.) – półkoliste zakończenie nawy kościelnej.

⁶ Karoliński okres – Okres w historii przypadający na przełom VIII i IX w.

⁷ Kościół św. Cyriaka w Gernrode... – w wywodach dotyczących architektury i zabytków kolegiaty; autor korzystał z pracy prof. M. Walickiego: „Kolegiata w Tumie pod Łęczycą”. Łódź 1938.

⁸ Triforia (z łac.) – ciąg poziomy ślepych lub otwartych arkad między arkadami przyziemia a oknami kościoła.

wszystkim te dotyczące historii sztuki. Bardzo chciałem jej zaimponować swoją wiedzą w tej dziedzinie, lecz ją w tej chwili ta sprawa zdawała się mało ciekawić.

Żałowałem tego. To była – a raczej jest bardzo piękna dziewczyna, a ja – co od pewnego czasu odkryłem mam przedziwną słabość do ładnych kobiet.

Och, jakież ta dziewczyna ma piękne włosy! O barwie starego złota lub złotawego miodu. Jest przez tę barwę swych włosów taka jakaś jesiennie złota, jesienna jak babie lato, choć zwykliśmy to ostatnie kojarzyć raczej ze starością, z siwizną.

„Babie Lato – pomyślałem – jakie to ładne imię dla dziewczyny...”

Długo nie kładłem się spać. Próbowałem czytać zaleconą mi przez Nemstę książkę o archeologii, lecz jej naukowa mądrość nie bardzo jakoś przenikała do mej głowy. Późną nocą wrócili z kolegiaty obydwaj doktorzy i w swym pokoju oddzielonym ode mnie cienką ścianką z desek kończyli spór rozpoczęty na kurhanie.

Na dworze trwała letnia, pogodna noc. W ciągu dnia woda w moczarach zdążyła się już nagrzać od słońca i parując otaczała wsepkę delikatnym woalem, mgiełką. Duży trochę nadgryziony księżyc uczeplił się jednej wieży kolegiaty, oświecając Uroczysko rtęciowym blaskiem. Nie niepokoił nocy najłżejszy wiaterek; za otwartym oknem milionowe plemię żab hałaśliwie komentowało swe nocne sprawy. Ich rechot to przycichał, to znów potężniał, jakby oddalał się i przybliżał, drżący, podobny do źle chwytej przez głośnik faki radiowej. Obok mnie na stole skwierczał knot „naftówki”, a za cienką ścianą toczył się spór doktorów przytłumiony żabim wrzaskiem.

W pewnej chwili Nietajenko prawie krzyknął:

– Daję słowo, trzydzieści dwa kroki. Daję najświętsze słowo honoru. Mogę iść o zakład!

– Słowo? Słowo honoru? A jak przegrasz zakład?

– To stracę honor!

– Już go straciłeś. Bo i ja mierzyłem krokami. Trzydzieści pięć kroków długości. Straciłeś honor, Nietajenko!

– Tylko się nie denerwuj, braciaszku.

– Trzydzieści pięć kroków. Chcesz się przekonać?

– Choćby zaraz, bracie... powiedział śpiewnie Nietajenko.

Szurnęło szybko odsuwane krzesło, potem skrzypnęły drzwi w pokoju doktorów, załomotały ich kroki na korytarzu i trzasnęły drzwi wyjściowe naszego domostwa

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła jedenasta w nocy. O tak późnej porze Nietajenko i Narkuski wywędrowali z Uroczyska. Ale dokąd? Dokąd i po co poszli? Odezwała się we mnie ciekawość i głos obowiązku. Pod nieobecność Nemsty odpowiadam przecież za bezpieczeństwo obydwu naukowców.

Na szczęście nie byłem jeszcze rozebrany do snu. Okno na Uroczysko stało otworem. Wskoczyłem przez nie, żeby nadrobić czas stracony przez namysły. Pośpiech ten był jednak zbyteczny. Doktorzy odeszli dopiero kilkanaście kroków i właśnie wstąpili na ścieżkę

wiodącą do kolegiaty. W świetle księżyca wyraźnie widziałem ich czarne sylwetki, z których jedna, niższa i grubsza (Narkuski), gwałtownie gestykulowała. Zapewne równie gwałtownie padały i słowa, ale głużył je nieustanny harmider żabich głosów.

Naukowcy poszli ścieżką aż do końca moczarów i zatrzymali się na wzgórzu obok kamiennego murku ogradzającego cmentarz wokół kolegiaty. Wędrowałem za nimi krok w krok, oddalony o jakieś dwa silne rzuty kamieniem. Gdy stanęli, i ja także przystanąłem na ścieżce i kucnąłem, aby mnie nie zauważyli. Kto wie bowiem, czy nie zamyślali ukryć w tajemnicy swej nocnej wycieczki? Nie chciałem zasłużyć sobie na miano intruza.

Weszli do kolegiaty. Po co? Czego tam szukają?

Co sił w nogach pobiegłem do cmentarnego muru. Był niski. Między kamieniami wykruszyła się gdzieś spajająca je zaprawa. Włożyłem czubek buta w szczelinę, chwyciłem się palcami za krawędź, hyc, i jest się kolanami na murze.

A teraz co? Gdzie są doktorzy? O, są, są! Stoją przy ścianie kolegiaty, w jasnej smudze padającego z tej strony księżycowego blasku.

Rozmawiają dosyć długo. Teraz robią kilka kroków, aż do narożnika kolegiaty. A teraz Nietajenko maszeruje wzdłuż jednej ściany równym, odmierzonego krokiem jak na paradzie wojskowej. Doszedł do następnego narożnika i przystanął. Zbliży się do niego Narkuski. Wywiązuje się spreczka, Narkuski wymachuje rękami.

Z kolei Narkuski przemierza równym krokiem ścianę kolegiaty. Uczynił to i kręci głową jakby bardzo zdziwiony. Wreszcie wzrusza ramionami i obydwaj przechodzą na drugą stronę, ginąc mi z oczu za narożnikiem prostokątnej wieży. Nie pozostaje mi nic innego jak zeskoczyć z murku i ostrożnie posunąć się za nimi. Na cmentarzu rosną rozłożyste lipy, a pod samym murkiem krzaki bzu. W cieniu bzów i grubej lipy znowu niewidzialny dla Nietajenki i Narkuskiego swobodnie mogę ich obserwować.

Nie dzieje się tu nic nowego. Narkuski przemierza ścianę krokami, potem robi to samo Nietajenko. Teraz obydwaj chwytają się pod ręce i idą wolno wzdłuż kamiennej ściany...

Umilkły nagle żaby na mokradłach. Cisza, że aż w uszach dźwięczy.

– Jedenaście... dwanaście, trzynaście... czternaście... piętnaście... – słyszę, jak doktorzy liczą swe kroki.

– Dwadzieścia osiem... dwadzieścia dziewięć.. trzydzieści... trzydzieści pięć! – krzyczy z triumfem Narkuski, gdy dochodzą do narożnika.

Przez chwilę milczą, jakby czymś bardzo zaskoczeni. Zafrasowany Nietajenko drapie się w głowę. I obydwaj naukowcy wybuchają głośnym śmiechem. Narkuski klepie Nietajenkę po plecach i grzmi swym grubym, podziemnym głosem:

– Jak Boga kocham. Nietajenko, obydwaj mamy rację. Zwariować można z tą kolegiatą. Upierałeś się, że ma trzydzieści dwa kroki długości – miałeś rację.

– Oszaleć, osznieć można, braciszku... – ciągle jeszcze zdziwiony potakuje Nietajenko

– Odmierzaliśmy długość wzdłuż północnej ściany: trzydzieści dwa kroki. Odmierzaliśmy wzdłuż równoległej do niej ściany południowej: trzydzieści pięć. I bądź tu mądry.

– A wiesz, co to znaczy? Że kolegiata pozbawiona jest odpowiednich proporcji. Rozumiesz? Romańska kolegiata, cud architektury, klejnot naszego budownictwa – pozbawiony właściwych proporcji! Wychodzi, że budowali ją nie mistrzowie, ale jacyś partacze – oburza się Nietajenko.

I w tym oburzeniu wtóruje mu Narkuski, po raz pierwszy zgodny z Nietajenką.

– Skroili tę kolegiatę jak krawiec-brakorób spodnie. Jedna nogawka dłuższa, druga krótsza. Jeden bok dłuższy, drugi krótszy.

I to już cała tajemnica? Więc po to wyszli nocą z Uroczyska? Wyznaję, że byłem bardzo rozczarowany. Oczekiwałem jakichś frapujących zagadek, tajemnic. A tu masz. Oni po prostu pokłócili się o wymiary.

Ale oburzenie doktorów jest krótkotrwałe. Pierwszy Nietajenko zwraca Narkuskiemu uwagę:

– No, braciashku, czy nie jesteśmy zbyt pochopni? Brakoroby, partacze, tego owego. Partacz nie postawiłby tak pięknej budowli. Mistrzowie to robili. I nie lada jacy! Brak odpowiednich proporcji? Z symetrią budynku krucho? Tak. Ale o nieudolność trudno ich posądzić. Więc jeśli nieudolność, to w tym błędzie jest jakiś sens, rozumiesz?

Pomedytowali jeszcze chwilę u zamkniętych drzwi kruchty i powędrowali z powrotem na Uroczysko.

...Mocno, mdląco pachną kwiaty lip wokół kolegiaty. Doktorzy odeszli już chyba tak daleko, że i ja mógłbym zabrać się do powrotu? Na moczarach głośno zaskrzeczał jakiś nocny ptak...

Drgnąłem przestraszony i odskoczyłem o krok. Co to? Kto zacz?

Tuż koło mnie pojawił się jakiś człowiek. Niski, stary, w wojskowej rogatywce na głowie i w płaszczu wojskowym zarzuconym na ramiona. Podszedł niespodzianie, bo wysoka trawa na cmentarzu jak miękki dywan tłumiła odgłos kroków.

Dostrzegł mój przestach i zaśmiał się. Chciał mnie może śmiechem uspokoić, ale śmiech jego był nieprzyjemny, podobny do bulgotu wrzącej wody.

– Na Kuwasę pan tu czekasz? Na diabła Kuwasę? Nie przyjdzie. Dziś nie przyjdzie. W księżycową noc nie przychodzi. W przeszłe lato letników miałem. Latoś jakoś nie przyjechali. Za drogo im u mnie było. Za drogo? Izba duża, weranda. Mówiłem im o Kuwasie. Pół miesiąca co noc tu wychodzili czekać. I nie przyszedł. Księżyc świecił. Jemu wicher potrzebny, zawierucha...

Co to za dziwak? Mówi szybko, nerwowo, jakby trochę nieprzytomnie. Może wariat?

Podszedł bliżej i skubnął palcami rękaw mojej marynarki.

– To nieprawda, że Kuwasę zabili. Kto to słyszał, żeby diabeł zdechł od uderzenia kłonicy. Hi, hi, hi... – znowu zabalgotał śmiechem.

Cofnąłem się o krok. Nie zraził się tym. Chwył mnie palcami za rękaw i przytrzymał.

– Żona gada: „Zdechł twój Kuwasa, zdechł?”. Nieprawda, panie! Żyje! Przychodzi tutaj. Tylko w wichurę, w zawieruchę...

Odetchnąłem z ulgą. Wariat, który ma żonę, nie jest chyba takim wariatem, co to rzuci się na człowieka i udusi. A może ta żona to też wariacki wymysł? Noc, naukowcy są już na pewno na Uroczysku, krzyku o pomoc nie usłyszą, najbliższa zagroda wioski o pół kilometra. Co począć z tym wariatem? Zamierzałem wyszarpnąć mu z palców rękaw, ale powstrzymałem się. Z wariatami trzeba podobno spokojnie i bojaźni nie okazywać. Znowu zaczął gadać jak nakręcony, szybko i nieprzytomnie:

– Kuwasa nie jest straszny. O nie. Tak tylko powiadają. Żeby nastraszyć. On wesoły. Wino lubi, wódkę. Jak wypije, to figle wyprawia. Ogniki na bagnach rozpali, w błocko pijanego wciągnie. W latosim roku na wiosnę Plaskotę utopił. Z wozem, z końmi, bo z lasu nocą jechał z drewnem, a u leśniczego za dużo wypił. Ale teraz to Kuwasa już spokojny. Żartuje tylko. Dawniej, dawniej panie, to był straszny diabeł. Jak się rozeźlił, to powiadają starzy ludzie, bez całą zimę jedna zadymka była. On w tym wichrowym wirze tańczył, wywijał i pohukiwał. Chłopów po pysku prał.

... Od rzeczy gada? Czy jest jednak jakiś sens w tym gadaniu?

– Kuwasa teraz spokojny, panie. A bywał inny. Odmieniec był. Tego tu kościoła się boi. Kościół nasz stary, i pięćset lat mu za mało. Ale Kuwasa starszy, panie. Dawniej towszystko było Kuwasy. Te pola, bagniska, całe to błoto i Uroczysko. Jednego razu, powiadają, tak strasznie się opił, że przez trzy lata w dziurze pod korzeniami drzewa na Czartorii leżał nieprzytomny, a w tym czasie ludzie tu na skraju bagien kościół zaczęli stawiać z kamienia. Ocknął się Kuwasa, wylazł spod korzeni, we łbie mu się kręci od pijaństwa. Patrzy po swoim państwie, a tu kościół już prawie całkiemzbudowali. Ściany pod dachem, dwie wieże z kamienia. Rozeźlił się, organista piana mu mordę wystąpiła. Rozhulał się, rozwścieczył, pioruny wałyły po niebie, jakby się ziemia darła na strzępy. Dосkoczył Kuwasa do ściany kościoła, wbił pazury w kamienie wieży. A łapy miał tak rozżarzone złością, że jak dotknął zimnego kamienia, to tylko zasyczało i para buchnęła. Chciał obalić kościół. Ale za słaby był po pijaństwie. Nie dał rady. Tylko w kamieniu ślad po jego ognistych pazurach się ostał. Widziałeś pan te ślady?

Przecząco pokręciłem głową. Wówczas mój dziwny rozmówca chwycił mnie silniej za rękaw i pociągnął do jednej z wież kolegiaty.

– O tu! Widzisz pan? Raz, dwa, trzy... Dziesięć pazurów znać na kamieniu. Ale nie poradził obalić kościoła i od tych pór wstydy się trochę ludzi. Wstydy się, że niby taki słaby. Już mniej się ludziom na oczy pokazuje, mniej im złości robi, gdzieś tam w swoich dziurach zalewa robaka...

Przyjrzałem się dokładniej wskazanemu miejscu. Rzeczywiście, jakby ślady pazurów czy szponów odbite w kamieniu narożnika południowej wieży. Głębokie, podłużne zagłębienia w dużym bloku piaskowca, którym obłożono narożniki ścian i wież. Może te ślady zrobiło dłuto dawnego kamieniarza? Ale po co? Nie stanowią żadnej ozdoby. Może wyrzeźbił je kaprys natury? Zdarzają się przecież takie rzeczy.

I od tych pór Kuwasa tylko nocą się pokazuje. Ze wstydu. A czasami, jak noc jest ciemna i wichrowata, ludzie siedzą po chałupach, Kuwasa przychodzi tu pod kościół, patrzy na ślady swoich pazurów i płacze z żalu i ze wstydu.

– A pan widział kiedy płaczącego Kuwase? Jak on wygląda? – zagadnąłem najuprzejmiej jak potrafię.

Wzruszył ramionami. Pokazał palcem swoje ucho.

– Nie słyszę, panie. Ogłuchłem. Na wojnie byłem. Kontuzjowało mnie. Takie straszne nieszczęście, panie.

Ciekawy byłem poznać bliżej nieznanego dziwaka. Tylko jak się z nim dogadać? Zresztą mieszka na pewno gdzieś w pobliżu, wywiem się o niego, odwiedzę. A teraz spać, spać. Całą noc już chyba przebałagałem na cmentarzu przy kolegiacie.

Znacząco spojrzałem na zegarek i ziewnąłem szeroko, dając do zrozumienia dziwakowi, że jest późno i spać mi się zachciało. Potem podałem mu rękę, ukloniłem się możliwie jak najgrzeczniej i odszedłem. Na pożegnanie zasalutował mi, niewprawnie, przykładając dłoń do wojskowej rogatywki.

Na bagnach wokół Uroczyńska kłębiła się gęsta, biała mgła. Przyległa nisko do ziemi i błota. Gdy powracałem do baraku, wydawało mi się, że idę gdzieś na ogromnych wyżynach, a u mych stóp spoczywają gęste, białe chmury.

ROZDZIAŁ CZWARTY

**O MATEMATYCE SŁÓW KILKA • POCZĄTEK BADAŃ KURHANU •
DOCINKI • PRÓBUJĘ ROZWIKŁAĆ ZAGADKĘ KOLEGIATY • SKRYTKA
• VIVE DIU VITAMQUE TUAM PERPENDE • NIEŚMIAŁOŚĆ I
ROZWAŻANIA • KURZE PERYPETIE NIETAJENKI • ODKRYCIE NA
UROCZYSKU • DZIWNY BUDYNEK Z GRANITOWYCH KOSTEK**

Egzaminu maturalnego z dwóch przedmiotów, z łaciny i matematyki, o mało nie oblałem. Byłem jednak najlepszym w klasie uczniem z polskiego i historii, dlatego dzięki pomocy profesorskiego grona udało mi się jakoś uzyskać świadectwo dojrzałości. Niechęć do łaciny i matematyki pozostała jednak we mnie na długo, z tego też powodu zapewne zapisałem się na historię sztuki na uniwersytecie, choć potem okazało się, że nawet historia sztuki wymaga znajomości choćby podstaw łaciny. Szczególnie ta część historii sztuki, która dotyczy dzieł starych mistrzów. Do matematyki natomiast długo ni mogłem się przekonać i nawet w notatkach dotyczących mego domowego budżetu, w uczelni, nawet w swych artykułach w gazecie wszystkie liczby pisałem słowami. Do dziś moja niechęć do liczb i działań matematycznych jest tak wielka, iż niekiedy budzę się w nocy złany potem, śniąc, że jestem znów w szkole przed tablicą i nie mogę rozwiązać zadania, w straszliwym zdenerwowaniu kruszę palcami kredę, która białym pyłem zasypuje mi czubki butów i spodnie...

Na Uroczysku po raz pierwszy od siedmiu lat złamałem zasadę, zapisując w swym grubym brulionie po wycieczce do kolegiaty:

długość ścian zewnętrznych: 31,00

29,50

grubość muru: 50 cm

długość ścian wewnętrznych: 29,00

29,00

0,50 2,00 31,00

+ 0,50- 1,00- 29,00

1,00 1,00? 2,00

Obok liczby „1,00” duży znak zapytania.

Któryż to już z rzędu pytajnik postawiłem w notesie? Ileż jeszcze zagadek, tajemnic i niespodzianek oczekuje mnie na Uroczysku? Ale zacznijmy o wszystkim we właściwej kolejności.

Bardzo wczesnym rankiem, w kilka godzin po nocnej wycieczce obydwu doktorów, powrócił na Uroczysko profesor Nemsta zaopatrzony w potrzebne narzędzia. Rzeczywiście, tak jak zapowiadał, jeździł po nie aż do Warszawy. Przywiózł wszystko co trzeba i natychmiast po śniadaniu całą ekipę zagonił nareszcie do roboty przy kurhanie.

W tym miejscu winien jestem czytelnikowi krótkie wyjaśnienie dotyczące planowanych prac archeologicznych Nemsty. Otóż jak już wspomniałem, zadanie jego ekipy polega na zbadaniu wnętrza kurhanu Uroczyska. Kurhan jest bardzo duży: osiem metrów wysokości a w obwodzie ponad pięćdziesiąt kroków. Żeby rozkopać go, trzeba wielu ludzi i bardzo wiele czasu. Należy kopać w ziemi ostrożnie, uważnie badając każdy znaleziony kamień, każdą nawet grudkę ziemi. Któż bowiem może wiedzieć, czy nie zawiera ona czegoś cennego, a bardzo małego. Ot, kamiennego czy żelaznego grotu od strzały, zagubionego przez ludzi, którzy ten kurhan usypali przed wieloma wiekami. Mały grocik to niby nieważny drobiazg. A przecież właśnie on może naukowcom pozwolić określić datę, kiedy na wysepce Uroczyska dawni ludzie wzniesli kopiec podobny do ściętego u góry stożka. Po co to zrobili? Czy pod grubą warstwą ziemi ukryli zwłoki lub prochy sławnego wojownika?

Odpowiedź jest o jeden krok. O krok? O porządny kawał roboty. Nemsta rozdał studentom łopaty, szufelki i sita do przesiewania ziemi i ekipa zabrała się do pracy. Wystarczająco już chyba wynudzili się przez tych kilka dni, nagrali w brydża i siatkówkę!...

Nemsta pierwszy wbił ostrze łopaty w bok kurhanu i rzucił na sito pierwszą garść ziemi. Twarz miał przy tym tak poważną i uroczystą, jakby zakładał „kamień węgielny” pod co najmniej dwudziestopiętrowy wieżowiec. Śmiać mi się chciało z jego miny i musiałem przez to wyglądać na niezmiernie zadowolonego z siebie, bo aż zwróciło to uwagę Babiego Łata.

– Redaktor wspomina zapewne wczorajszy mecz w siatkówkę, prawda? – zauważyła głośno, żeby ją cała ekipa słyszała. – Nie ochłonęliśmy jeszcze z zachwytu nad pańską grą. Nawet medal dla pana ufundowaliśmy. Talarek z marchwi. Tylko, że go... koza zjadła.

– O, kóz tu niemało... – odpowiedziałem.

Ze złością, niecierpliwie odgarnęła z czoła lok swych pięknych włosów. Studenci rechotali głośno, a szczególnie szczyrzył zęby jeden z nich, ostrzyżony na „zero” dryblas z kwadratową głową. Oczywiście śmieli się nie z niej, tylko ze mnie.

– O co wam chodzi? – zapytał Nemsta, nieświadomy mej wczorajszej, sportowej kłeski.

Wzruszyłem ramionami i odszedłem. Było mi głupio. Znowu głupio i znowu bardzo przykro. Bo cóż ja u licha zawiniłem wobec tej dziewczyny? Grać w siatkówkę nie umiem? Iluż ludzi także nie umie, a czy to ma być zaraz powód do niechęci?... Postanowiłem trzymać się możliwie jak najdalej od Babiego Lata. Niech z innych sobie pokpiwa! Niech grzebie w kurhanie, a ja pójdę nareszcie obejrzeć dwunastowieczną kolegiatę.

Po drodze wstąpiłem do baraku po swój niebieski brulion i napotkałem tam obydwu doktorów.

– Nie wybierają się panowie do kolegiaty? Tak bym chciała obejrzeć ją, że tak powiem, z fachowcami – przypochlebnie zagadnąłem Nietajenkę.

Narkuski uderzył się w czoło.

– Prawda. Toż mieliśmy dokonać jej dokładnych pomiarów.

Przekreślił wszystko Nietajenko:

– Później, później, braciszku. Nie było Nemsty, na głowie mogłeś stawać. Nie znasz go? Teraz na krok odejdziesz od kurhanu, to zaraz się przyczepi: „Na wczasy przyjechaliście, czy jak?”

Zabrałem z pokoju kilka kromek chleba na drugie śniadanie, metalową miarkę i wywędrowałem z Uroczyska. Wywędrowałem? Uciekłem. Uciekłem przed złośliwym językiem dziewczyny.

Pogoda dziś znów piękna. Cudownie lipcowa. Dzień o kryształowym ranku wkracza właśnie powoli w przedpołudnie. Błękitne, czyste niebo jeszcze jest lekkie, a potoki słonecznego światła zdają się zaledwie muskać swym ciepłem, które niedługo zmieni się w żar. Wczesnie rano na chwilę zerwał się wiatr. Powachlował kitami trzciny, popłoszył trzy niewielkie chmurki i znikł równie nagle, jak się pojawił, przegoniony zapowiedzią spiekoty. A ona jest tuż, tuż. Wydaje się, że zaraz za horyzontem zasiadła już na Czartorii, na szybko nagrzewających się w słońcu wapiennych piargach, białych, aż oczy bołą.

Dziewczęta z ekipy nałożyły szorty i plażówki, chłopcy koszulki gimnastyczne, Nemsta i obydwaj doktorzy wykazali ustępstwo wobec pogody, zawijając rękawy koszul. A mnie cieszy myśl o spędzeniu gorącego popołudnia w chłodnym wnętrzu starej budowli.

Nad moczarami zawisają nieruchomo jak helikoptery niewielkie ważki, kotłują się kłęby malutkich czarnych muszek i gęstnieje mdły, duszący zapach zgniłej wody. A o krok dalej – zielony dywan łąk z deseniem żółtych i lilaróżowych kwiatów gra cieniutką, drżącą jak pajęczyna, delikatną muzyką polnych koników. Miliony ich kołyszą żdźbłami traw i sądzić można, że łąka żyje, porusza się od niewyczuwalnego przez ludzką skórę słabego tchnienia wiatru. U podnóża kolegiaty nie odczuwa się przykrego wyziewu bagien. Wszechwładnie panuje tu woń kwitnącej lipy, rozbykanej od pszczoł. Kamienne ściany obojętnie jeszcze przyjmują potoki słonecznego światła. Nasycone są jakimś wewnętrznym, wielowiekowym zinnem.

Klucze do kolegiaty otrzymałem w Opornej w małym domku obok drewnianego, prymitywnie zbudowanego kościółka, gdzie odbywają się parafialne nabożeństwa. Kolegiata została bowiem w 1939 roku częściowo zniszczona: pocisk artyleryjski wypalił jej wnętrze. Klucze te dała mi tęga, chyba już pięćdziesięcioletnia kobieta, z malutkim jak napaśtek noskiem ukrytym pośród pucołowatych, wesołych policzków. Przyzwyczajona widać, że zabytkowa budowla budzi zainteresowanie przyjezdnych, upewniła się tylko:

– Pan z Uroczyska, tak?

Z Uroczyska? Jak to ładnie brzmi. Zapewne ludzie z Opornej nazywają nas: „Ci z Uroczyska”.

Klucz jest ciężki, z kutego żelaza i misternie rzeźbiony. Wielki przy tym jak do bram piekielnych albo jak ów Piotrowy klucz do nieba. Otwiera się nim drzwi kruchty⁹ z piskiem i jazgotem, jakby w dziurce zamka sto diabłów siedziało, niepomnych na świętość kościelnego przybytku. W kruchcie pachnie pleśnią, stęchlizną, a co się krok stąpnie, to spod nóg podrywa się kłęb kurzu, jakby ktoś mocno pyknął dymem z fajeczki. Kurz wierci w nosie jak tabaka. Ale jeszcze jeden krok, oczy przyzwyczajają się do mroku i nie chce się już kichać, nie czuje się woni pleśni i stęchlizny. Widzi się tylko przed sobą przecudowne rzeźby nad głównym wejściem do kolegiaty, przepiękny romański portal¹⁰ wykonany w białym piaskowcu.

Ostrożnie, z nabożeństwem wchodziłem w mroczną głąb starego kościoła. Podłoga była w nim kiedyś zapewne drewniana i wypaliła się w czasie pożaru. Zamiast niej widnieje teraz nierówna powierzchnia żółtej ziemi zmieszanej z kamieniami, niekiedy łagodnie wybrzuszanej. W tych miejscach widać cegły spojone w łuk, który stanowi kryptę, zapewne ze zwłokami pochowanych tu kiedyś ludzi. Jest tych krypt wiele, całe cmentarzysko.

Wysoko nad głową dach betonowy, zbudowany już po pożarze, dla zabezpieczenia całości zabytkowej budowli. W przedniej części kolegiaty zniszczony ołtarz z nadpalonymi czarnymi kikutami gotyckich wieżyczek, z odwrotnej strony empora, jakby wielki balkon na chór i organy. Lecz wtedy, gdy zbudowano kolegiatę, siadywały tu możne damy, by uczestniczyć w odprawianej mszy świętej. Wzdłuż kolegiaty szerokie galerie, podzielone kolumnami wspierającymi romańskie łuki. To owe triforia, o których w swej dyspacie mówili dwaj naukowcy.

Zwiedziłem w kolegiacie każdy zakątek, nawet na wieżę wdrapałem się po kamiennych wąskich schodach, wijących się dookoła protokątnego słupa. Sprawdziłem jedną z cech romańskiej budowli: ściśle proporcje nawy bocznych w stosunku do nawy głównej.

W każdej romańskiej budowli szerokość nawy bocznej musi odpowiadać szerokości dwóch przęseł nawy głównej. Taka jest reguła, taka jest logika konstrukcji.

Czy rozumiecie teraz zdziwienie obydwu doktorów, gdy odkryli, że równoległe ściany kolegiaty nie są równe? Staęli wobec zagadki, nieudolność budowniczych nie wchodzi tu

⁹ Kruchta (z niem.) – przedsionek kościoła.

¹⁰ Portal (z łac.) ozdobne wejście do kościoła, pałacu.

bowiem w rachubę. Mistrzowie postawili kolegiatę, wielcy mistrzowie średniowiecza. Jeśli zbudowali ścianę dłuższą, a drugą równoległą do niej krótszą, to zrobili to w jakimś celu.

Wymierzyłem dokładnie zewnętrzne ściany kolegiaty. Wykreślcie teraz z pamięci liczby uzyskane przez doktorów. Oni mierzyli kolegiatę krokami, a ja metrem.

Długość kolegiaty z zewnątrz od północnej strony wynosi 29 m 50 cm. Od południowej strony – 31 m. Wewnątrz – 29 m długości i ani centymetra więcej. Rozumiecie? Wewnątrz – tylko 29 m.

W miejscu gdzie są odrzwia, dowiedziałem się, jaka jest grubość murów. Otóż mur kolegiaty gruby jest na 50 cm.

Jesteśmy teraz na tropie rozwikłania zagadki. Wystarczy wykonać dwa drobne działania arytmetyczne, uwidocznione zresztą w moim brulionie.

Północna ściana ma 29 m 50 cm. Odejmijmy od tej liczby grubość muru 50 cm, otrzymamy – 29 m. I akurat taką samą długość ma wewnętrzna ściana kolegiaty. A więc nie tutaj, nie w północnej części kolegiaty leży wyjaśnienie zagadki.

Południowa ściana od strony zewnętrznej długa jest na 31 m. A długość tej samej ściany od wewnątrz kolegiaty 29 m. Różnica – 2 m. Mur południowej części gruby jest na 2 m, o 1 m 50 cm grubszy niż w pozostałych ścianach całej budowli.

W tej dwumetrowej przestrzeni muru, być może, znajduje się jakaś skrytka. Z myślą o niej średniowieczni budowniczowie pogrubili ścianę. Skrytka ma oczywiście i swe własne ścianki. Należy przypuszczać, że nie są one inne niż w całej budowli, czyli że grubość ich również wynosi 50 cm. Skrytka posiada więc 1 m szerokości i mieści się między dwiema pięćdziesięciocentymetrowymi ścianami. Jak stwierdziłem dokładnie – mierząc południowy szczyt kolegiaty – cały ten schowek długi jest na 3 m.

$1\text{ m} \times 3\text{ m} = 3\text{ m}^2$. Oto jego wymiary. Usadowiono skrytkę w narożniku, gdzie kończy się południowa nawa boczna, a zaczyna półokrągła absyda. Jeden bok schowka stanowi południowa ściana kolegiaty pozostałe zaś tworzą wewnętrzne mury oddzielające nawę od absydy.

Skrytka winna mieć wejście lub w każdym razie otwór, przez który można się dostać do wnętrza. Długo i cierpliwie badałem południową ścianę. Skrupulatnie obejrzałem każdy kamień na zewnątrz i wewnątrz budowli. Wszędzie gładka, równa ściana bez śladu rysy, bez najmniejszego otworu, bez drobnej nawet szczeliny czy pęknięcia, tylko wewnątrz kolegiaty, w murze zamykającym południową nawę, tkwi dużych rozmiarów kamienna płyta z bardzo zatartym łacińskim napisem. Odczytałem zaledwie kilka słów pierwszego zdania: *Vive diu vitamque tuam perpende...* Reszta zupełnie była zatarta.

Na tej tablicy znajduje się również płaskorzeźba: kanonik w birecie na głowie.

O drodzy nauczyciele! Czy kiedykolwiek mogłem przypuszczać, że moje nieróbstwo na lekcjach stanie mi na drodze do rozwiązania zagadki starej kolegiaty?

Poprosić o przetłumaczenie tych kilku słów profesora Nemstę? To mój przyjaciel. Ale nawet wobec przyjaciół (jeśli nie chcemy ich stracić) nie mówmy o naszym nieuctwie. Zwrócić się z tym do Babiego Lata? Miałbym się z pyszna! Nie, nie było na Uroczysku nikogo, komu mógłbym ujawnić braki w moim wykształceniu.

Wracając na Uroczysko spotkałem idącego chyłkiem Nietajenkę. Panował południowy skwar, a on szedł w narzuconym na ramionach płaszczu, ukrywając coś pod pachą.

– Pssst! – położył palec na usta. – Niech pan nie mówi nic Nemście. Niosę kurkę. Malutką, rasową kurkę...

Lekceważąco machnąłem ręką. Co mnie obchodzi kura Nietajenki? *Vive diu vitamque...* Nie potrafię nawet przetłumaczyć kilku łacińskich wyrazów. Co jest warta moja wiedza, moje doświadczenie?

Nagle opadło mnie uczucie ogromnego zwątpienia i zniechęcenia. Zwątpiłem o sobie, o swoich możliwościach rozwikłania zagadki. I równocześnie poczułem niechęć do siebie, do starej kolegiaty, do swego pobytu na Uroczysku.

Nietajenko dreptał obok mnie i zaglądając w twarz mówił prosząco jak niegrzeczny uczeń, który błaga, aby nie donieść wychowawcy o złym postępku:

– Hodował pan kiedyś kury? Nie? Szkodu. To nieprawda, że kury są głupie. Oburza mnie zawsze, gdy ktoś powie: „Głupi jak kura”. Niektóre kury są mądrzejsze od psów. Wiem coś o tym. Naprawdę. Pół roku, panie braciaszku, trzymałem kury w swym mieszkaniu. Mądre były, że ho, ho... Na poduszce spały jak człowiek, nóżki wyciągały, główkę kładły. W saloniku pod stołem grzędy im zrobiłem. Rozumie pan?

– Tak. Tak – machinalnie potakiwałem.

– W saloniku najbardziej lubiły przebywać. Zapewne dlatego, że na podłodze leżał tam zielony dywan i wydawało się im, że stąpają po trawniku. Tak, panie, kury nie są wcale głupie. Ale pewnego pięknego dnia żona kazała gosposi, żeby kurom głowy poucinała. I stało się. Czy nie uważa pan, że kobiety są jednak bardziej krwiożercze od mężczyzn?

– Tak. Tak – mruczałem myśląc o czymś zupełnie innym. Bo cóż ze mnie właściwie za detektyw? *Vive diu vitamque tuam perpende...* O, gdybyż wiedziano, jak ja naprawdę mało wiem i umiem, jak stoję bezradny wobec pięciu łacińskich wyrazów.

Ścieżka na Uroczysko jest wąska i Nietajenko, drepcząc obok mnie, raz po raz zapada prawą nogą w błoto moczarów.

– A jednego razu, proszę pana, hodowałem trzy rasowe japońskie kurki i kogucika. Malutkie, nieduże, jak gołąbki. Ach, jakie to piękne i zmyślne stworzenia! Nie wyobraża sobie pan, prawda?

– Nie, nie wyobrażam sobie.

– No właśnie. Mówię panu, jakże pięknie piał ten kogucik. Naprawdę pięknie, a umiem to ocenić, choć żona moja powiada, że nie jestem muzykalny. Rozumie pan?

– Tak. Tak – kiwałem głową.

– I wie pan, co się stało z małym kogucikiem? Otóż pewnego razu żona ucięła mu głowę. Niech pan sobie na domiar wyobrazi, że koguta tego ugotowano na obiad i moja żona zjadła go jak gdyby nigdy nic, jak gdyby to nie był ten sam kogut, co mi tak pięknie piał...

Nareszcie doszliśmy do celu. Przystanąłem na ścieżce i powiedziałem z naciskiem:

– Jednak o niektórych ludziach można powiedzieć: „głupi jak kura”. *Vive diu vitamque tuam perpende*, panie doktorze!

Zatrzepotał powiekami ogromnie zdumionych oczu. I długo stał tak, w miejscu, trzymając pod pachą kurę, która nagle poczęła gdać i wyrwać mu się z ręki. Wielkimi krokami poszedłem do baraku i położyłem się na drewnianej pryczy w swym pokoju.

Za chwilę wpadł do pokoju Nemsta. Oczy mu błyszczały, nie wiedziałem: radością, czy gniewem. Zazwyczaj tak bardzo opanowany, spokojny, szarpał palcami swoją czarną bródkę. Zobaczył mnie leżącego z dość żalną miną, z ręką bezradnie zwieszoną ku ziemi, i zaczął pohukiwać.

– Gdzie byłeś przez pół dnia? Zniknąłeś bez uprzedzenia. Diabła Kuwasy szukasz? – Nie dał mi się wytłumaczyć. Machnął ręką, gdy chciałem wybąkać pierwsze słowo usprawiedliwienia. Wetknął mi w rękę papierosa i podał zapaloną zapalniczkę.

– A my tutaj dokonaliśmy kapitalnego odkrycia – powiedział. I to zupełnie przypadkiem. Jeszcze nie umiem powiedzieć nic pewnego w tej sprawie, nie wysuwam żadnej hipotezy. Ale wstawaj, sam zobacz. No, wstawaj! Co się z tobą dzieje? – niecierpliwił się widząc, jak gnuśnie podnoszę się z pryczy.

Uchwycił mnie za ramię i prawie siłą wyciągnął z baraku. Widział mą niechęć i opór i coraz bardziej się denerwował, nie rozumiejąc, że lękam się napotkania Nietajenki

Wstyd mi było tego *Vive diu vitamque...* którym go obdarowałem na zakończenie rozmowy, sam nie wiedząc, co ten dar znaczy.

– Ech, dziwny z ciebie człowiek – preorował Nemsta. – Chwilami wszystko w tobie naciągnięte jest jak struny na skrzypcach. Potem znowu robisz się sflaczały, aż obrzydliwość bierze. Co z tobą? Tą siatkówką tak się przejąłeś?

Ach, więc powiedziano mu już i o tym! Oczywiście Babie Lato. Co za wstrętny charakter ma ta dziewczyna!

Wzruszyłem ramionami.

– Głupstwo! Bzdura! Po prostu upał mnie męczy i źle się czuję.

Ocecił mnie „naukowo”.

– Niebieskooki blondyn. Wysoki, chudy, słabo rozwinięta klatka piersiowa. Najlepiej odpowiada ci wiosna i wczesna jesień. Umrzesz jednak najprawdopodobniej jesienią albo wiosną...

– ...Wystrzegaj się rudawych blondynek. Szatyn z bródką stoi ci na zawadzie – uzupełniłem te horoskopy.

Nemstę znów zaczęło dręczyć jego „kapitalne odkrycie”. Pociągnął mnie za kurhan aż na sam skraj Uroczyska, gdzie w jednym miejscu zgromadziła się cała nasza ekipa. Jedni stojąc grupkami rozmawiali o czymś żywo, reszta klęczała grzebiąc w ziemi, raz po raz wydając radosne okrzyki. Wokół tej gromadki z rękami założonymi do tyłu, wielkimi krokami krążył Narkuski, jakby zabawiając się w „chodzi lisek koło drogi”. Grubym głosem monotonicznie pomrukiwał:

– Ciekawe... bardzo ciekawe... Ciekawe, bardzo ciekawe.

Dostrzegłem i Nietajenkę. Na szczęście on mnie nie zauważył. Przykleknąwszy razem z Babim Latem wygrzebywał z zarosłej miodownikami ziemi sporą kamienną kostkę. Takie kostki trzymało już w rękach kilku studentów. Nemsta odebrał kamień jednemu z nich i dał mi go do obejrzenia.

– Co możesz powiedzieć o tym fencie, co go trzymasz w ręku?

Zerknąłem na kamień raz i drugi. Ot, zwykły granit obrobiony w sześcian dłutem kamieniarza.

– Nic ci on nie przypomina, nic? – zagadywał Nemsta i obejrzał się poza siebie, poza moczary wokół Uroczyska. Popatrzyłem w ślad za jego wzrokiem na ogromne zwalisko kolegiaty. Teraz odgadłem:

– O tak, rozumiem! Z takich granitowych kostek zbudowana jest kolegiata.

– Nareszcie – odetchnął Nemsta. – Sądziłem jednak, że odznaczasz się bardziej bystrą inteligencją.

Rozejrzałem się szybko. Nie, Babie Lato nie usłyszała tej uwagi Nemsty. Razem z Nietajenką wyciągali z ziemi już trzecią kostkę. Nagle ona krzyknęła:

– Panie profesorze! Patrzcie! Tej nie da się wydrapać. Jest przymurowana do podłoża. Tu w ziemi jest chyba fundament jakiegoś budynku?

Nemsta podbiegł i stwierdził prawdziwość jej odkrycia. Powiedział potem z zadowoleniem:

– Tak. Tego się właśnie spodziewałem.

Narkuski przystanął i szepnął mi tajemniczo:

– Ciekawe. Bardzo ciekawe...

I znowu zaczął krążyć, ale odrobinę szybciej niż uprzednio. Widać ciekawość jego została znacznie spotęgowana.

Mimo wszystko w dalszym ciągu nie rozumiałem, na czym polega kapitalność odkrycia.

– Dlaczego przerwaliście roboty na kurhanie?

– Zdecydowałem podzielić naszą ekipę – wyjaśnił mi Nemsta pobłażliwym uśmiechem, którego nie znoszę. – Jedna grupa będzie w dalszym ciągu rozkopywać kurhan, natomiast druga dokładnie zbada miejsce, gdzie odkryliśmy granitowe kostki. Odnalazła je Irena. Tak, tak, lepiej pozbadź się wobec niej wszelkich uprzedzeń – dodał jakby domyślając się stanu moich uczuć.

– W południe zezwoliłem na godzinny odpoczynek – opowiadał dalej. – Dziewczęta znalazły tu skrawek ziemi, gdzie miodownik nie rośnie tak wysoko. Rozłożyły koce, chciały się opalać, jakby za mało miały słońca przy robocie. Okazało się jednak, że na kocach leżeć niewygodnie, coś twardego uwierało je w plecy. Moja asystentka (po co podkreśla to „moja”?!) podniosła wreszcie koc, pogrzebała ręką w trawie, trafiła na kostkę. Jak ci już powiedziałem, żadnych w tej sprawie hipotez nie stawiam. Kolegiata – XII wiek. To już nie moja domena, tylko historyków. Po prostu ze zwykłej ciekawości zdecydowałem się zbadać bliżej sprawę. Cóż to mi szkodzi? Bo niby dlaczego kostki granitowe znalazły się na Uroczysku? Ile stąd będzie do kolegiaty? Ze czterysta metrów. Z jakiej więc racji materiał, z którego stawiano kolegiatę, znajduje się w takiej odległości, na samotnej wysepce otoczonej bagnami? W pobliżu nie ma złóż eretycznego granitu, musiano go tu sprowadzić. To dość cenny materiał, zresztą już obrobiony przez kamieniarzy. Nie znalazł się tu przez przypadek. I oto, jak sam usłyszałeś, okazało się, że na Uroczysku są fundamenty jakiegoś budynku.

Miałem do Nemsty trochę żalu, sam nie wiem o co. Na złość powątpiewałem:

– Wiem, do czego zmierzasz. Że ten budynek stanął w tym samym czasie co kolegiata, ponieważ jest zrobiony z takiego samego materiału. Zgoda. Najprawdopodobniej było tu mieszkanie księży z kolegiaty czy jakieś inne pomocnicze pomieszczenie. Żadna rewelacja.

– Nonsens. Mieszkanie księży, o czterysta metrów od kolegiaty? Sądzisz, że stąd biegli ścieżką przez błoto i bagna? Czy nie prościej było zbudować pomocnicze pomieszczenie w pobliżu kolegiaty?

– Hm – chrząknąłem okropnie zakłopotany, bo podszedł do nas Nietajenko. Zobaczywszy mnie znowu zdumiony zatrzepotał powiekami jak wtedy, gdy wyzywająco rzuciłem mu owe łacińskie wyrazy. Było w jego oczach jakby nieme pytanie prośby o wyjaśnienie. Już nawet otworzył usta, ale nagle zrezygnował, odwrócił się i powiedział Nemście:

– Spacerowałem po wsi, panie kolego... e, tego braciszku... – jękał się. – Chciałem sprawdzić pewne swoje przypuszczenie. – Nabrał w piersi dużo powietrza, jakby zamierzał nurkować, i wyrecytował: – U gospodarzy w Opornej podmurówki obór i domów zrobione są z granitowych kostek. Spytałem skąd je wzięli. Przyznali, że z Uroczyska. Przed laty leżało tu bezużytecznie całe rumowisko obrobionego kamienia. Więc wywieźli na podmurówki. Taka sprawa, braciszku...

A o kurze, którą kupił, ani słowa! Przecież po kurę chodził na wieś, a nie „sprawdzać przypuszczenia”.

Świadomy kłamstwa Nietajenki nie czułem się już wobec niego ani winny, ani zawstydzony.

Uradowany Nemsta w zamyśleniu gładził palcami swą czarną brodę.

– Tak, panie doktorze. Na Uroczysku była jakaś budowla. Średniowieczna budowla.

Przywołał do siebie Babie Lato i rozporządził:

– Trzeba dokładnie odgarnąć ziemię i miodownik. Odkryjemy całe fundamenty i one chyba najlepiej powiedzą, jak duży był budynek. Stąd już tylko krok do wiadomości o jego przeznaczeniu.

Z baraku doszedł nas głos gongu. Dyżurujący dziś w kuchni ukończył pitraszenie obiadu.

Kiedy usiedliśmy przy stole, postanowiłem, że czas już skończyć z powstającą o mnie na Uroczysku opinią jako o ślamazarnym sportowcu, który nie tylko nie potrafi grać w siatkówkę, a chyba także jest człowiekiem niezbyt rozgarniętym intelektualnie. Dlatego ni stąd ni zowąd oświadczyłem:

– Nasza kolegiata kryje tajemnice. Mur południowej ściany jest o półtora metra grubszy niż mur ściany północnej. Podejrzewam, że znajduje się tam jakieś maleńkie zamurowane pomieszczenie, jakaś skrytka.

– No tak – klasnął w ręce doktor Nietajenko – Właśnie coś takiego podejrzewałem. Skrytkę.

– I ja także – podchwycił Narkuski. I dodał – Czy nie sądzicie, że warto natychmiast zbadać tę sprawę?

Przerwał mi sucho profesor Nemsta:

– Uroczysko, jak się okazuje, kryje wiele zagadek. Podobnie jest ze starą kolegiatą. Ale my przybyliśmy tutaj, aby rozkopać prasłowiański kurhan, a teraz zjawiała się sprawa owych granitowych kostek na wysepce Uroczyska. Nie mamy dość sił i środków, aby natychmiast zgłębić wszystkie tajemnice tego zakątka. Tym bardziej, że przeszkadza nam ciągle ów legendarny diabeł Kuwasa. Dlatego proponuję, aby na razie dać spokój zagadce odkrytej przez pana redaktora. Co do mnie, radzę mu, aby raczej zajął się Kuwasą, nie zaś kolegiatą.

I tak oto, choć wykazałem swoje detektywistyczne talenty, niewiele tym osiągnąłem. Mało tego, zostałem delikatnie zbesztany przez profesora Nemstę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

SENNE WIDZIADŁA • ROZMOWA NA KURHANIE • NIEUDANY „HACZYK” • VIVE DIU... • ZAGADKA UROCZYSKA • CO ZE STAUROTEKĄ? • TAJEMNICA Z 1331 ROKU • ZEZNANIA PĄTNIKA BOGUSŁAWA • NOCNI PRZEŚLADOWCY • BÓJKA

Piękne są noce na Uroczysku, choć nie słyhać tu łagodnego poszumu drzew leśnych ani dźwięcznego cykania świerszczy w wiejskich sadach. Gdy na chwilę milkną żabie rechoty, wyczuwa się pustynną ciszę rozległych moczarów, ledwie uchwytny szelest owadów chroboczących w wysokich łądogach miodownika. I czasem tylko w tej ciszy bez dna pluśnie coś groźnie, tajemniczo. Aż dreszcz przechodzi na myśl przestrzeni głębokiego błota, przypominają się zasłyszane gdzieś niesamowite historie o topielcach o oślizłych, długich mackach wyciągających się z topieli, by uchwycić przechodzącego człowieka.

W dzień bagna wydają się zupełnie martwe, a jednak jakby weselsze. Nocą żyją wewnętrznym, utajonym życiem, które zdradza tylko rzadki plusk wody, bełkot nagle pajawiających się baniek na błocie i niekiedy coś jak ciche westchnienie ze strudzonej piersi.

Księżyc świeci tu inaczej niż wszędzie. Mgliście, bo promienie jego zazwyczaj zmiękcza lekko woal mgły bagiennej. Im dzień upalniejszy, a noc po nim chłodniejsza, tym opar nad moczarami bardziej gęstnieje, unosi się coraz wyżej i wyżej, poszarpany w grube słupy. Panuje tu wyraźny, cikliwy zapach zgnilizny, łądog trzciniowych, błota, zleżałej na wodzie rzęsy. Milionowe stada komarów atakują z niezwykłą zajadliwością i przyklejają się do twarzy wraz z obrzydliwą rosą. Niebezpieczne jest wtedy Uroczysko z powodu krwiożerczych komarów i wilgotnego, malarycznego powietrza.

Tej nocy spałem bardzo źle. Z początku długo przewracałem się na pryczy i bezsenność w pełni pozwałała mi odczuć twardość desek. Przeszkadzał we śnie rehot żab na mokradłach, a okna nie chciałem zamykać, bo noc była gorąca i duszna. Męczył mnie mdły, lepki zapach bagien, drażniło też posapywanie leżącego na sąsiedniej pryczy Nemsty, który oddychał tak ciężko, jakby miał na piersi granitowe kostki. W końcu naszedł mnie sen, ale

męczący, koszmary. Śniło mi się, że jak w labiryncie bez wyjścia tułam się w mrocznym wnętrzu kolegiaty. Twarz kanonika w birecie uśmiecha się do mnie złośliwie z kamiennej płyty, ale to nie kanonik, lecz diabeł Kuwasa. Biegłem dokądś, uciekałem, spadałem w głęboką studnię zbudowaną z eretycznego granitu. Dziad-zielarz z łąk kiwał na mnie zakrzywionym palcem i mówił coś, lecz głosu jego nie słyszałem...

Ocknąłem się zmęczony, z bólem głowy, w skroniach czułem jakby delikatne uderzenie malutkich młoteczków. Za otwartym oknem baraku rozlewała się ostra, księżycowa światłość, żaby rechotały już ciszej, sennie. Długo leżałem na prycy, otwartymi oczami patrząc prosto w księżycową światłość, kojąc ból głowy ściszoną pogwarem żabich głosów. Lecz sen nie przyszedł powtórnie. Znam siebie. Mogę teraz bezsennie przeleżeć i do rana...

W taką jak dzisiaj upalną noc komary spływają z wysepki na bagna i dym z papierosa uchronić może przed atakiem komarzego marudera.

Z zapalonym papierosem w ustach przelazłem przez parapet okna. Spodnie od pidżamy miałem przykrótkie i mimo nocnych pantofli przenikliwy chłód rosy objął mi kostki nóg i stopy. Wolniutko ruszyłem w stronę kurhanu nasłuchując, jak o moje nogi ociera się trawa i miodownik, obserwując smugę pozostających za mną ciemniejszych śladów przygniecionych roślin, otrząśniętych z kropelek rosy.

Ktoś kaszlnął za mną i natychmiast obudził żabią rodzinę u brzegu wysepki. Dogonił mnie Nemsta, stawiając długie ostrożne kroki.

– Obydwu nas męczą duchy Uroczyśka – rzekł półgłosem.

– Nie spałeś? – zdziwiłem się.

– Nawet oka nie zmrzyłem. Trapi mnie tajemnica granitowych kostek. Martwię się, czy w gruncie rzeczy słusznie zrobiłem w ogóle zajmując się tą sprawą. Przecież to opóźni badania kurhanu.

Milczałem. On był tu kierownikiem, on za wszystko odpowiadał. Odradzać mu? Znałem go o tyle, aby wiedzieć, że byłoby to bezcelowe. Jeśli wpadł na trop jego zdaniem ciekawej sprawy, nie dałby się z niego sprowadzić.

Usiedliśmy na kurhanie obok rozpoczętego dzisiaj wykopu. Przykucnąłem objąwszy rękami kolana. Nemsta, zanim zrobił podobnie, chwilę zabawiał się przesypywaniem przez palce garści świeżo wydobytej z kurhanu chłodnej ziemi.

– Ten samotny kurhan na wysepce pośród bagien zapowiada się najbardziej ciekawie ze wszystkich, które dotąd wypadło mi rozkopywać – powiedział Nemsta. – Ale pomimo wszystko jest on już którymś tam w mej archeologicznej praktyce. Boleję nad tym, lecz wyznaję, że nie odczuwam już tego napięcia, co przy pierwszej dziesiątce. Dlatego może tak silnie uchwyciłem się sprawy kostek, choć to nie moja dziedzina. Och, kolegiata, kolegiat. Ileż związanych jest z nią zagadek, nie wyjaśnionych historii...

Przykucnął nad wykopem i począł kiwać się w zamyśleniu, patrząc poza okryte mrokiem moczary, gdzie tkwił czarny kształt średniowiecznej budowli. Czyżby i Nemsta również wiedział o braku właściwych proporcji kolegiaty, o skrytce i *Vive diu vitamque...*?

W ułamku sekundy narodził się we mnie chytry plan. Postanowiłem jak haczyk z przynętą rzucić Nemście łacińskie wyrazy z płyty kamiennej na skrytce. Jeśli przynęta chwyci, Nemsta zażąda bliższych wyjaśnień, a wówczas nie proszony sam przełoży na polski łacińskie słowa.

– *Vive diu... vitamque tuam perpende...* – powiedziałem cicho, powoli, lecz z naciskiem.

– *Vive diu...* – jak echo powtórzył Nemsta czymś rozmarzony. I dodał:

– I co z tego *vive diu*? Cóż takiego zrobię, co wielkiego zdziałam? Życie moje jest ciągłym uganianiem się za zagadkami, z których jedną na dziesięć potrafię rozwikłać.

Nic nie rozumiałem. Zupełnie nic nie rozumiałem. Nemsta połknął „haczyk”, ale zareagował filozoficznym rozważaniem sensu swego życia. Czyżby właśnie o to chodziło w tych kilku łacińskich słowach?

– Pocieszam się tylko, że jeszcze prawie całe życie przede mną – dodał.

– *Vive diu... vitamque tuam perpende* – zaryzykowałem powtórne zarzucenie haczyka.

Wzruszył ramionami i odpowiedział zniecierpliwiony:

– Coś się mnie tak uczeplił? Co widzisz w moim życiu nierozważnego?

Gdyby nie noc, Nemsta na pewno zauważyłby rumieniec wstydu, który wypełznął mi na policzki. Nie, nigdy więcej nie pozwolę sobie na podobne eksperymenty. Za pierwszym razem, zdaje się, obraziłem poczciwego Nietajenkę, a teraz o mało nie dotknąłem czymś Nemsty. Czym? Ba, żebym to ja wiedział...

Pośpiesznie, żeby zatuszować nietakt, odwróciłem myśl Nemsty w innym kierunku.

– Mówiłeś o zagadkach kolegiaty. Jest ich wiele, prawda?

– Zagadek ma kolegiata dość dużo. Na niektóre znalazłem właściwą odpowiedź, kilka z nich jednak jest ciągle nie wyjaśnionych i chyba takimi już pozostaną na zawsze, odpowiedź spoczywa bowiem w dalekiej przeszłości. Nie mówiłem ci pewnie, że jeszcze jako student pierwszą swą samodzielną pracę naukową pisałem właśnie na temat kolegiaty w Opornej. Nie byłem wówczas zdecydowany, czy poświęcić się archeologii, czy może studiować historię, szczególnie średniowiecze. Pierwsza moja praca była z historii. Nieudolna zresztą praca. Przywiozłem ją teraz na Uroczysko, przypuszczając, że jeśli zainteresujesz się kolegiatą, zapewne zechcesz poznać jej dzieje. Pracę swoją oparłem na znajdujących się w łódzkim archiwum księgach kościelnych, sporo cytuję z tych materiałów, przytaczam masę dat i historycznych faktów. Błąd mej pracy to głównie owa faktografia. Zarzucono mi, że zbyt często zajmuję się drobiazgami, niepotrzebnie roztrząsam zagadki historyczne, a za słabo dowiodłem tezy postawionej jeszcze przed wojną przez jednego ze znanych historyków. Tezy, że kolegiata była *swego rodzaju warownym gmachem parlamentu o osobistym przeznaczeniu*. Parlamentu wymierzonego przeciw senioralnej zwierzchności¹¹ następcy Bolesława

¹¹ Senioralna (z łac.) zwierzchność – władza zwierzchnia przypadająca najstarszemu w rodzie dynastycznym.

Krzywoustego. Niestety, jak ci już nadmieniałem, nie wysiliłem się, aby dowieść słuszności tej tezy; porwały mnie zagadki historyczne. Praca moja zyskała ocenę ujemną. To zniechęciło mnie do historii. I dobrze. Archeologiem okazałem się chyba lepszym niż historykiem.

Przerwał. Z głośnym kłaśnięciem ubił dłonią komara na karku. Postawiliśmy kołnierze piżdam, bo choć noc była ciepła, ale wyrwaliśmy się spod rozgrzanych koców, od moczarów zaś niekiedy zawiewał chłodniejszy podmuch powietrza. Przezornie zabrałem na spacer zapalki i pudełko z papierosami. Dymem znów odgoniliśmy brzęczącego nam nad uchem komara.

W oddali na skraju bagien, odrobinę czarniejszy od rozgwieżdżonego nieba, atramentowy cień przykucniętego „zwierza”, bliżej groźna, tajemnicza pustka moczarów coraz częściej mącona podmuchami wiatorku, szelestem trzciny i szmerem marszczącej się wody. Półgłos naszej rozmowy nie budził żab. Wokół trwał prawie zupełny spokój i blask księżyca jakby zastygający na miodowym dywanie wysepki i potłuczonych lusterkach kałuż wody, plamach rzęsy i kępkach bagiennych roślin.

Nie trzeba było Nemsty ciągnąć za język. Nastrój uroczyskowej nocy potęgował jego rozmowność.

– Jestem pewien, że po przyjeździe na Uroczysko zadałeś sobie pytanie: dlaczego kolegiata, cudny klejnot romańskiej architektury, stoi właśnie na takim pustkowiu? Przecież tej budowli nie powstydziliby się żadne wielkie miasto w Polsce, ba w Europie. Skąd małej wioszczynie Oporna do wspaniałości średniowiecznego kościoła? Pytanie to jeszcze bardziej narzuca się, gdy wie się z historii, że niedaleko stąd był tylko niewielki gródek. Może więc tylko czyjś kaprys, czyjeś widzimisię zdecydowało o tym, że stanęła tu wspaniała kolegiata? Kaprys? Po trosze i kaprys. Kaprys kobiety pożądamcej władzy i zaszczytów. I oto masz pierwszą zagadkę kolegiaty. Rozwikłali ją już historycy. Ale są i inne – opowiadał dalej Nemsta. – Jedna z nich długi czas po prostu sen z powiek mi spędzała, jak to się zwykło w takich razach mówić. Otóż, jeśli cię to interesuje, wiadomo z historycznych dokumentów, że w 1331 roku nastąpił najazd Krzyżaków na tę dzielnicę Polski. Między innymi Krzyżacy próbowali zdobyć obronną, mocną, warowną kolegiatę. W procesie wytoczonym później Krzyżakom w 1339 roku, przeprowadzonym przez nuncjusza papieskiego¹² Gerharda de Carceribus, jest mowa i o sprawie zdobycia kolegiaty. Ale mimo usilnych starań nie zdobyłem wszystkich materiałów dotyczących procesu, być może zginęły podczas okupacji hitlerowskiej. Wiadomo mi tylko, że ówczesny kler polski i nasze rycerstwo oskarżyło Krzyżaków o napad na Oporną, zdobycie kolegiaty, uprowadzenie broniących się w niej księży i polskich rycerzy oraz zrabowanie bezcennej, oprawionej w drogą kamienie stauroteki, czyli relikwiarza z drzewem Krzyża Świętego.

– Na procesie Krzyżacy przyznali się do napadu na kolegiatę. Natomiast stanowczo zaprzeczyli, jakoby porwali do niewoli broniących się w niej rycerzy i księży. Twierdzili również, że nie ukradli stauroteki. Mało tego. Oskarżyli Polaków o schwytanie do niewoli

¹² Nuncjusz (z łac.) papieski – poseł reprezentujący papieża.

części oddziału, który napadł na kolegiatę. A byli w tym oddziale sławni, możni rycerze zachodni. Przesłuchano dziesiątki świadków, spisano ogromną ilość zeznań i protokołów. Prawdy nie docieczono. I jeśli wówczas nie byli w stanie tego dociec, czy możliwe to jest teraz, po przeszło sześćdziesięciu latach? Czy krzyżackie oskarżenie Polaków o zabranie do niewoli ich rycerzy to był tylko wybieg? I czy takim samym oszustwem było wyparcie się rabunku stauroteki i schwywania do niewoli polskiej załogi?

Nemsta mówił coraz ciszej i ciszej, jakby kołysany do snu swymi własnymi słowami. Może on, który wczytywał się w dokumenty procesu polsko-krzyżackiego, miał teraz przed oczami wyobraźni salę rozpraw, oskarżonych dumnych mnichów, otulonych w białe płaszcze z czarnymi krzyżami, pośpępnego jak burza nuncjusza Gerharda de Carceribus i przewijający się przed sędziami korowód świadków – mieszczan, rycerzy polskich z dziesiątków spalonych, zniszczonych, obrabowanych przez Krzyżaków grodów?

– ...Zeznawał również na procesie pątnik, niejaki Bogusław, przypadkiem znajdujący się w Opornej. Opowiadał on nuncjuszowi i sędziom, że w czasie najazdu Krzyżaków przerażony schronił się do kolegiaty, wlaźł na jedną z wież i tam zabarykadował się drewnianymi dylami i belkami. Z okna wieży widział, że nocą udało się Krzyżakom wdrzeć do wnętrza kolegiaty, lecz przebywali tam krótko, nie dłużej niż pół pacierza. Czyjś krzyk z dworu, krzyk przeraźliwy, ostrzegawczy, wypędził Krzyżaków z kolegiaty. Uciekli wszyscy w popłochu... Trzy dni o głodzie i bez kropli wody przesiedział na wieży pątnik Bogusław, obawiając się powrotu wroga. Pragnienie jednak zmusiło go do odwalenia dyli i belek i do zejścia na dół. Znalazł w kolegiacie dwa porąbane krzyżackimi mieczami ciała kleryków. I to wszystko. Krzyżacy nie powrócili, ale również zaginął ślad po księżach i rycerzach z kolegiaty, zniknęła także stauroteka. Dwoma palcami złożonymi na krzyżu potwierdził pątnik Bogusław przed Gerhardem de Carceribus prawdziwość swych zeznań. On nie widział, aby uciekając z kolegiaty, Krzyżacy wlekli za sobą jeńców. Uciekając – to warto zapamiętać. Potwierdza się w tych słowach krzyżackie zeznanie o utracie części ich oddziału...

Raptem jakby kleszcze żelazne zacisnęły się na moim ramieniu. Nie krzyknąłem z bólu, bo jednocześnie Nemsta przykrył mi dłonią usta.

– Ciiichooo! – ostrzegł mnie ledwie dosłyszalnym szeptem.

Nie wiem, jak to się stało, że właśnie on, który przecież mówił do mnie (co prawda bardzo cicho), pierwszy usłyszał szelest. Dochodził on od strony ścieżki przez moczary i bagna. Ktoś szedł od kolegiaty, wstąpił na wysepkę i aby skrócić sobie drogę do baraku, przedzierał się teraz przez wysoki miodownik. Jeszcze go nie było widać, jeszcze osłaniał go mrok. Czerń odzieży zlewała się z ciemną zielenią roślin. One to szeleściły, drapiąc mu ubranie.

– Dwóch! – szepnąłem na ucho Nemście.

Było ich dwóch. Drugi przekradał się po przeciwnej stronie kurhanu. Na wysepce rozdzielili się i obchodząc kurhan dwiema krawędziami Uroczyńska, zbliżali się do baraku.

Czego chcieli? Kim byli? Zwierzęta to, czy ludzie? Zwierzęta podchodziłyby znacznie ciszej. Byli to z pewnością ludzie z nie najlepszymi zamiarami, skoro wbrew ostrzegawczej tablicy dostali się na wysepkę. I to nocą. I to nie ścieżką, którą zwykliśmy chodzić.

Już raz zginęły nam narzędzia. Nemsta przywiózł nowe i one to chyba były celem wyprawy obydwu osobników. Tylko że tym razem słyszeliśmy każdy ich krok i mieliśmy szansę schwytania choć jednego z nich. Nas było dwóch i ich było dwóch. Oni, należało przypuszczać, byli uzbrojeni, ot, choćby w zwykłe kije, a my w piźdzamach, z gołymi rękami.

Oparta na moim ramieniu dłoń Nemsty drżała z podniecenia. I ja również byłem podniecony; zębami dzwoniłem, jakbym trząsł się z zimna. W wyrzuconej z wykopu ziemi namacałem sporych rozmiarów kamień i wsunąłem go w rękę Nemście, samemu wyszukując sobie inny.

Podkradający się byli coraz bliżej baraku. Od jednego z nich oddzielał nas kurhan, ale drugi szedł na wprost i nagle odróżniliśmy w mroku czarny zarys postaci. Posuwał się powoli, czujnie pochylony do przodu.

Co począć? W tej chwili był najbliżej nas. Jeszcze jeden krok, a minie nas, przybliży się do baraku. Lecz jednocześnie my będziemy stać na drodze jego ucieczki.

Nemsta znowu zacisnął moje ramię. Oznaczało to chyba, abym czekał nieruchomo, abym nie zdradził naszej obecności.

Jeszcze krok! Drugi. Trzeci. Czwarty. Piąty. Złodziej był już między nami a barakiem.

Teerazzz!

– Stój! Kto idzie? Stój! – wrzasnął Nemsta i gwałtownie poderwał się ze swego miejsca.

Jak na rozkaz, obydwaj równocześnie, z kamieniami w rękach rzuciliśmy się w stronę czarnej sylwetki złodzieja.

Scena, która teraz nastąpiła, nie trwała dłużej niż kilkanaście sekund.

Po okrzyku Nemsty czarna sylwetka przystanęła przerażona, skonsternowana. Na sekundę. Na tyle, aby dostrzec, że jest nas dwóch, że zamykamy sobą drogę ucieczki z wysepki. Złodziej musiał wybrać, musiał coś zdecydować. I wybrał Nemstę. Na nasz atak odpowiedział kontratakiem. Runął na profesora, uderzył go głową w piersi, przewrócił rozpędem i drogę ucieczki miał urotowaną.

Byłem tylko o cztery kroki od czarnej sylwetki. Z całej siły rzuciłem kamieniem. Trafiłem! W plecy, między łopatki! Nie krzyknął. Skurczył się tylko i przyspieszył biegu, sadząc przez Uroczysko ogromnymi skokami. Ten drugi uciekł wcześniej, spłoszony okrzykiem Nemsty. Jeszcze dwie sekundy i w ciemnościach na ścieżce do kolegiaty przycichł tupot uciekających nóg. Gonić ich nie było sensu.

– A łajdaki! Bandyci! – przeklinał Nemsta podniósłszy się z ziemi. Rozpiął guzik piźdzamy i rozcierał sobie ręką bolące miejsce na piersiach.

– Trafiłem go kamieniem – powiedziałem z dumą.

– Ja także. I co z tego? Uciekł. Nawet nie miałem czasu przyrzeć się jego gębie. Uciekł i na pewno nie zaryzykuje wrócić.

– Dziś w każdym razie na pewno nie – rzekłem autorytatywnie.

Drobiazgowo komentując zajście wróciliśmy do baraku. O dziwo! Nikt z ekipy nie przebudził się, nikt nie słyszał przeraźliwego wrzasku Nemsty i odgłosów bójki. Oczywiście, teraz nie było potrzeby budzenia kogokolwiek. Pełni wrażeń położyliśmy się na pryczach, przegadaliśmy z godzinę, a potem zasnąłem twardo, bez żadnych widziadeł. Rano Nemsta szczegółowo opowiedział o nocnej przygodzie.

Gdyby nie ból głowy redaktora i jego spacer na kurhan – wychwalał mnie – kto wie, czy dziś rano znowu nie obudzilibyśmy się bez narzędzi.

Babie Lato po raz pierwszy popatrzyła na mnie bez lekceważenia. W zamian za to było w jej wzroku nie mniej nieprzyjemne zdumienie: „No, no, kto by się tego po takim spodziewał...”

Głośno wyraził to samo ostrzyżony na „zero” dryblas z kwadratową głową:

– Że też podobna przygoda musiała się przytrafić właśnie redaktorowi? Na pewno uderzył pan złodzieja kamieniem? – pytał mnie prokuratorsko, podejrzliwie. – A nie mógł to pan wtedy, gdy bandzior przewrócił profesora, podbiec i schwytać go za kark? A w ogóle, dlaczego pan trafił bandytę kamieniem w plecy, a nie, na przykład, w głowę? Zamroczyłoby go to i mielibyśmy jeńca. A tak... – nie dokończył, gardząc moją nieudolnością.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

**HIPOTEZA NARKUSKIEGO • O BIESACH, ŚREDNIOWIECZU I KAPLICY
• GENIUSZ DRYBLASA • ODNALEZIONE SCHODY • WESTCHNIENIE
NIETAJENKI • POSTANAWIAMY ZABEZPIECZYĆ SIĘ PRZED KUWASĄ
• PRZEKRACZAM RUBIKON • CO ZNACZYŁ ŁACIŃSKI NAPIS?**

Nemsta mylił się mniemając, że całkowite ujawnienie fundamentów spod warstwy ziemi i trawy pozwoli mu domyślić się przeznaczenia tajemniczego budynku. Odkrycie fundamentów jeszcze bardziej zagmatwało i tak już niejasną sprawę. Tworzyły one bowiem niewielki kwadrat – trzy na trzy metry, co kazało sądzić, że z powodu zbyt małych rozmiarów budynek ów nie służył za pomieszczenie mieszkalne (nie znaleziono w nim zresztą nawet śladu paleniska). Nasuwała się myśl, czy nie stała tu jakaś wieża obronna, strażnica lub coś w tym rodzaju. Nie! I to przypuszczenie odpadało. Kolegiata posiadała przecież dwie bardzo wysokie wieże obronne.

Spory budził także odkryty wewnątrz budynku, w samym jego środku, prostokątny blok kamienny dużych rozmiarów, również niewiadomego przeznaczenia.

– Kie lichy? – głośno zastanawiał się Nemsta. – Jakaś ława kamienna? Stół?

Od samego rana metr po metrze dokładnie przeszukano grunt wysepki. Nigdzie indziej jednak nie znaleziono kostki, tajemniczy budynek stał tu widać samotny.

– Powiedzcie mi, jakim celom służył granitowy blok, a natychmiast wam powiem o przeznaczeniu całego budynekczku – twierdził Nemsta. Lecz nikt nie potrafił mu przyjść z pomocą.

Nietajenko w zadziwieniu cmokał wargami, Narkuski pomrukiwał swoje: „ciekawe, bardzo ciekawe...”

Spacerował z rękami założonymi do tyłu. Chodził jak kaczką, kolebiąc się, z jednej nogi na drugą przerzucając ciężar swego ciała. Być może taki spacer pomagał mu w myśleniu

W pewnej chwili zatrzymał się i nieoczekiwanie wypalił:

– To była kamienna podstawa ołtarza.

– Eee, austriackie gadanie. Ołtarz, hi, hi, – złośliwie zachichotał Nietajenko.

Nemsta ważył w sobie jakieś myśli, głęboko zaciągając się papierosem.

– Po wielu kościołach średniowiecznych podobne kamienne bloki służyły za podstawę ołtarza. Na kamieniu trzymało się drewniane obudowanie – podpowiadał mu Narkuski.

– Jeśli Narkuski ma rację, jeśli to rzeczywiście podstawa ołtarza – począł rozważać Nemsta – to ten budynek nie był niczym innym jak małą kaplicą. Ale po licha kaplica o czterysta metrów od kościoła?

Narkuski był pewny siebie.

– Oczywiście kaplica. Pyta pan: „po licha?”. Właśnie „po licha”. W umysłach ludzi średniowiecza cały świat roił się od przeróżnych lich, diabłów, złych duchów. Kto wie, jak stara jest legenda o diable Kuwasie? Na Uroczysku kurhan istniał wcześniej, nim zaczęto tu wznosić kolegiatę. Być może już wówczas wiązano go z osobą diabła Kuwasy. Uroczysko, bagna, dzika i samotna wysepka musiały budzić strach swym odosobnieniem. Ludziom średniowiecz niewiele trzeba było do wywołania w nich lęku. Zbudowali kaplicę na Uroczysku, żeby odgonić stąd złe duchy, być może diabła Kuwasę. Oto, moim zdaniem, cała tajemnica fundamentów i kamiennego bloku – twierdził Narkuski.

Argumentacja jego wydała mi się przekonująca. Nemsta potakująco kiwał głową, Nietajenko prychał jak niezadowolony kot i odszedł nie podejmując dyskusji. Studenci byli zachwyceni Narkuskim.

Ostrzyżony na „zero” dryblas z nudów szurnał łopata ziemię za rzekomym ołtarzem. Żelazo zgrzytało o kamień, aż dreszcz przechodził.

– Przestań pan! – powiedziałem ostro, widząc, że ma zamiar dalej zgrzytać.

Nie usłuchał mnie. Na przekór szurnał łopata po kamieniu. Raz, drugi i trzeci. Zacisnąłem zęby.

Nagle pochylił się i począł gorączkowo odrzucać kamienie. Byliśmy zdziwieni, ale nikt nie odezwał się ani słowem. A on pracował tak kilka minut, potem zaś nic już nie potrzebował wyjaśniać.

Spod kamieni, gruzu i granitowych kostek wyłoniły się za domniemanym ołtarzem trzy stopnie schodów kamiennych. Prowadziły gdzieś w głąb.

– Kopać! Kopać! – rozkazał Nemsta.

Rzuciliśmy się ze szpadlami do roboty, przeszkadzając sobie wzajemnie. Narkuski już krążył „lisko” wokół fundamentów, Nemsta uśmiechał się zagadkowo, a Babie Lato, chcąc mi dokuczyć, przymilnie wykrzywiła twarz do dryblasa.

– Jesteś wspaniały, genialny! Dokonałeś niezwykłego odkrycia! Dwóch odkryć! – rozpływała się nad nim. – Jedno to schody. Drugie: że nie należy słuchać redaktora. Odradzał ci przecież skrobanie kamienia?

Yhm – wyszczerzył zęby dryblas, ogromnie dumny z siebie.

Porównywałem Babie Lato z Hanką, drugą dziewczyną na Uroczysku. Bezsprzecznie Irena jest jednak ładniejsza – przyznaję. Ale Hanka przypomina mi Joasię z „Ludzi bezdomnych”, która w latach mej wczesnej młodości była dla mnie ideałem dziewczyny i kobiety. Ma subtelne, pełne gracji ruchy. Ostry, wyraźny profil, trochę zgarbiony nosek. Szczupła, może nawet chuda twarz i wielkie, ogromne oczy jak dwa szlachetne zielonkawe kamienie. Nosi ciemny długi i gruby jak przegub ręki warkocz rzucony na plecy. Często uśmiecha się takim nikłym, ostrożnym uśmiechem, aż lęk bierze przemówić do niej, żeby uśmiech nie uciekł jak spłoszony motyl.

Zaczął padać deszcz. Chmurzyło się od rana, noc była parna, dzień nastąpił duszny z zamglonym niebem. Teraz o dwunastej w południe spadły pierwsze krople. Wreszcie lunęło porządnie, strugami, i trzeba było przerwać robotę.

Korzystając z wolnej chwili Nemsta zwołał naradę kierownictwa ekipy. Usiedliśmy na pryzkach w naszym pokoju. Nemsta, Nietajenko, ja, Narkuski i Babie Lato. Zerkałem na Nietajenkę i męczyłem się pytaniem: gdzie on trzyma tę swoją kurę? Czyżby u siebie w pokoju?...

Biedak odczuwał chyba moje spojrzenia. Niespokojnie kręcił się na pryzcy, potem zagadał do mnie półgłosem:

– Kolego, braciashku. Myślałem o tym, co pan wtedy powiedział. Tak, tak rozważyłem wszystko. To był zasłużony wyrzut, nie neguję. Ach, ile już moja żona wycierpiała przez te zwariowane kury. Tak, tak... – ciężko westchnął.

Pełne smutku słowa Nietajenki były jak policzek za mą głupotę i chamstwo.

– Pan redaktor ma ciągle do kogoś pretensje. Nie trzeba się tym przejmować – pocieszała Nietajenkę Babie Lato.

– No, dosyć! Dosyć! Nie pora na kwasy i złośliwości – przerwał jej Nemsta. – Nasze sprawy na Uroczysku przybrały poważny obrót. Wypadek z ubiegłej nocy daje dużo do myślenia. Trzeba nam przemyśleć środki dla zabezpieczenia Uroczyska przed przyszłymi najściami złodziei. Myślę, że ci nocni napastnicy to ktoś z Opornej czy którejś z sąsiednich wiosek, gdzie ciągle jeszcze sądzą, iż przybyliśmy tu, aby wydobyć z kurhanu skarby Kuwasy. Nie widzę innej rady, jak zorganizowanie w okolicznych wioskach kilku pogadanek z archeologii, a przede wszystkim o celu pracy naszej ekipy. Wyjaśnić ludziom, dlaczego zjechaliśmy na Uroczysko. W sąsiedztwie mamy trzy czy cztery wioski. Czterech z nas zdolnych jest bez przygotowania wygłosić pogadanki. Pani Irenie pomoże redaktor. To znaczy – uśmiechnął się do mnie – ponieważ zorganizuje się pogadankę najprawdopodobniej późnym wieczorem, kiedy ludzie na wsi są po robocie, odprowadzisz panią Irenę i przyprowadzisz zdrową i całą.

Chciała zaprotestować, ale znowu jej przerwał:

– Liczę na to, że wspólna droga was pogodzi. Naprawdę nie chcę mieć tu żadnych niesnasek. To nie pomaga w pracy.

– He, he, he – bez przekonania zaśmiał się Narkuski. Miał zapewne na myśli swoje spory z Nietajenką.

– No, was obydwu to nawet nie siłą się pogodzić. Za starzy jesteście na to – machnął ręką Nemsta.

– *Vive diu*, jak powiada redaktor, braciaszku – dokończył złośliwie Nietajenko.

Nemsta spojrział na mnie zdumiony. Rozkaszlałem się, żeby pokryć zmieszanie.

– Trzeba by, jak sądzę, warty ustawić na Uroczysku rzekłem pośpiesznie. – Co noc dwóch spośród mężczyzn mogłoby stróżować. Jeden pół nocy i drugi pół nocy. Przy tym systemie reszta będzie wyspana i zdolna do pracy.

Zgodził się ze mną.

– I kłódkę! Jak najprędzej kupcie kłódkę do zamykania komórki z narzędziami – wtrąciła Babie Lato.

Zapisał sobie w notesiku. I na tym zakończyła się narada.

Na dworze deszcz ciągle padał rześście. Ale nad horyzontem chwilami niebo przecierało się i przeblyskiwał błękit.

Po obiedzie Nemsta poszedł po samochód do sołtysa w Opornej i pojechał do Gromadzkiej Rady, żeby omówić sprawę pogadank o archeologii, a my wszyscy, mimo deszczu, zabraliśmy się do odgrzebywania schodów w kaplicy.

Nie minęły jednak i dwie godziny, a ten i ów z nas przemókłszy do suchej nitki porzucił szpadel i zmykał do baraku. Odkopaliśmy jedenaście schodów, gdy Babie Lato zaproponowała przerwanie pracy i rozgrzanie się w baraku przygotowaną w kuchni gorącą herbatą z sokiem malinowym.

Zakończyliśmy pracę w miejscu, w którym schody załamywały się raptownie i zaczynała się krótka platforma półpiętra. Odkryta przez nas klatka schodowa zbudowana była z granitowych kostek i podobnie jak w kolegiacie narożniki jej obłożono białymi płytkami piaskowca. Staranne wykończenie budynekczka dawało dowód, że kiedyś był on do czegoś bardzo potrzebny. Hipoteza Narkuskiego o kaplicy dla wyświęcenia z Uroczyska diabła Kuwasy nie upadła. Ale jednocześnie było rzeczą dla każdego jasną, że chyba nie tylko lęk przed Kuwasą zadecydował o postawieniu tej budowli, że miała ona jeszcze jakieś o wiele ważniejsze przeznaczenie, sądząc po fakcie istnienia schodów i piwnicy, na którą spodziewaliśmy się niedługo natrafić.

Co w tej piwnicy znajdziemy? Czy wyjaśni się wówczas historia kaplicy?

Wysilając umysły najfantastyczniejszymi przypuszczeniami rozgrzewaliśmy się w jadalni gorącą herbatą w cynowych kubkach. Hanka, czyli „Joasia”, bo tak ją będę od tej pory nazywał, wyjęła w sionce mokry od wody warkocz. Gdy weszła do jadalni rozglądając się za wolnym miejscem, przełamałem swą nieśmiałość i zaprosiłem ją na ławkę obok siebie. Podziękowała tym swoim nikłym uśmiechem i skorzystała z zaproszenia. Jest na pewno

bardzo sentymentalna, skłonna do marzycielstwa – orzekłem zauważywszy jej długie rzęsy i trochę naiwne spojrzenie zielonkawych oczu.

– Czy wie pani – całkiem przełamałem w sobie nieśmiałość i swoim zwyczajem na oślep popadałem w drugą skrajność – że sprawa kaplicy na Uroczysku jest, moim zdaniem, niczym w porównaniu z zagadką, jaką kryje kolegiata?

Rozpocząłem zwierzenia:

– W kolegiacie widziałem wmurowany w ścianę kamienną płytę z zatartym napisem. Udało mi się, odczytać kilka słów pierwszego zdania. Łaciny nie znam, bardzo słabo uczyłem się w szkole. Teraz wstyd mi się do tego przyznać, tym bardziej że, jak pani zdążyła już chyba spostrzec, nie wszyscy na Uroczysku darzą mnie sympatią...

Kiwnęła głową i bezwiednie pośród siedzących w jadalni studentów zaczęła szukać wzrokiem Babiego Lata.

Mówiłem dalej, zdecydowany jednak pominąć tymczasem zupełnie sprawę skrytki:

– Nie miałem sposobu uzyskania tłumaczenia łacińskich wyrazów z kolegiaty. Co robić? Sądziłem, że jeśli tak sobie, w rozmowie, rzucę nagle te słowa komuś znającemu łacinę, ten zdziwiony odpowie polskim tłumaczeniem słów. I nie udało się. „Przerzuciłem się”, jak to się mówi przy grze w karty. Nietajenko o mało się na mnie nie obraził. To samo Nemsta. Jednym słowem, same kłopoty...

Śmiała się naprawdę szczerze i serdecznie...

– Niechże pan wreszcie powie te łacińskie słowa.

– Zna pani łacinę?

– Trochę. Ale jakoś sobie poradzę. W najgorszym wypadku zapytam kogoś, nie zdradzając pańskiej osoby.

Wyjąłem z kieszeni ołówek i napisałem na pudełku papierosów.

Vive diu vitamque tuam perpende...

– Ależ to proste. Nawet zupełnie łatwe słówka. *Żyj długo* – sylabizowała – *i życie swoje... rozważaj*. To wszystko? Dalej pan nie zna?

– Nie. Dalej napis jest prawie zupełnie zatarty. *Żyj długo i życie swoje rozważaj* – powtórzyłem.

Byłem rozczarowany, bo zdanie to nie wyjaśniło tajemnicy skrytki. I raptem pusty śmiech mnie ogarnął.

– A... Nietajenko myślał, że ja to w związku z jego kurami powiedziałem. I życie swoje „rozważał”, ha, ha – w przerwach między wybuchami śmiechu opowiadałem jej o rozmowie Nietajenką i o „filozoficznych” rozważaniach Nemsty.

Nagle wszedł do baraku Nemsta, podbiegła do niego Babie Lato i obydwójce zbliżyli się do nas, pokładających się ze śmiechu nad zapisanym pudełkiem od papierosów.

– Pan redaktor ciągle w doskonałym humorze – z przekąsem zauważyła Babie Lato.

– To, dobrze. To bardzo dobrze. Musi mu go starczyć do późnej nocy. Idzie dziś na pogadankę do Poświerka – oświadczył Nemsta. – Dziś wieczorem właśnie w Poświerku miał się odbyć odczyt lektora Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Lektor dzwonił do Gromadzkiej Rady, że nie może przyjechać, a tu ja zjawiłem się z propozycją pogadanki. Odczytu więc nie odwołano. Pojutrze organizujemy pogadanki w Opornej i Przygłowie. To już robota dla Nietajenki i Narkuskiego.

Wyrwał z notesu kartkę i położył ją przede mną na stole.

– Masz tu wyrysowaną drogę do Poświerka. Trzeba wam obejść bagna w kierunku na Czartorię, minąć jakąś starą, wypróchniałą wierzbę nad bagnami, wyminąć Czartorię u samego podnóża, a za górą jest kawałek lasu i już Poświerk. Odczyt odbędzie się w pałacu po obszarniku. Radzę wam wybrać się jeszcze przed wieczorem. Przy sposobności zerknij uważnie na pałacyk. Może zabytkowy? Pogadanka jest wyznaczona na ósmą wieczór.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

DROGA DO POŚWIERKA • STARA WIERZBA • GROBOWIEC NA CZARTORII • „MOGIŁA KSIĘDZA” • ZNOWU TAJEMNICZY BACHURA • ZOSTAJĘ TCHÓRZEM • KUWASA GROZI OGNIEM • „...A TY SPALEŚ, DURNIU”

Dzień zbliżał się ku końcowi. Wieczór był obrzydliwie szary, mglisty, zacinający w twarz deszczem i wilgotnym wiatrem.

Za kolegiatą skręciliśmy w lewo i powędrowaliśmy rozkiszłą od błota, wyjeżdżoną wozami drogą, wijącą się obok ogromnej połaci bagien. Przed nami w szarej mgle deszczu widzieliśmy białą, wapienną łysinę Czartorii i tymczasem był to dla nas jedyny drogowskaz, bo przez cały czas nie napotkaliśmy człowieka i nie było się u kogo upewnić, czy idziemy we właściwym kierunku.

Zgodnie z zapowiedzią Nemsty najpierw minęliśmy starą wierzbę przy drodze, na urwistej krawędzi obok moczarów. Gruba, że chyba trzech ludzi z trudem by ją objęło, z obciętymi gałęziami, z guzami na łbie, pochylona trochę w stronę bagien, wyglądała jak przeogromna wbita w ziemię maczuga Herkulesa¹³. Kora na niej była popękana w szerokie szczeliny, pełna blizn po jakichś straszliwych bojach. W środku całkiem była wypróchniała i pusta jak wydrążony z pnia ul pszczeli. W licznych otworach pogwizdywał wiatr i gdyby wyrwał ją z ziemi jakiś olbrzym-mocarz i dmuchnął w nią z całej siły, mógłby chyba grać na niej jak na prawdziwej wierzbowej fujarce.

Długo nie zamieniliśmy z Babim Latem nawet słówka, pozornie zajęci wyszukiwaniem najsuchszego przejścia między rozlanymi kałużami wody i błocka. Obydwoje oczekiwaliśmy, że zaproszenie do rozmowy wyjdzie od tego drugiego. Babie Lato opatulila się szczelnie w przezroczysty, nieprzemakalny płaszcz z kapturem, spod którego wychylał się tylko zaczerwieniony od chłodu koniec nosa i mokry złoty loczek przyklepiony do czoła. Postawiony kołnierz ceratowego płaszcza i mnie chronił przed deszczem. Kłopot miałem jedynie z

¹³ Herkules, Herakles (grec.) – mityczny bohater grecki odznaczający się ogromną siłą i przebiegłością.

kapeluszem, bo porywisty wiatr jakby nieustannie czatował, żeby mi zerwać go z głowy i ruszyć z nim w tany na bagna.

Kilkakrotnie już zdecydowany byłem przełamać milczenie i szczerze zapytać dziewczynę, dlaczego uprzykrza mi życie na Uroczysku. Lecz decyzja nie była nigdy wystarczająco silna. Osłabiała ją poczucie krzywdy, że przecież to nie ja, lecz Babie Lato zawiniła w całej sprawie.

U podnóża Czartorii trzeba było przeskoczyć przez niewielki rów wypełniony wodą. Ująłem dziewczynę pod łokieć chcąc po dżentelmeńsku dopomóc w przedostaniu się na drugą stronę. Odsunęła się ode mnie.

– Nie prosiłam pana o pomoc – powiedziała z niechęcią.

Zgrabnie przeskoczyła wodę i po drugiej stronie spróbowała załagodzić poprzednią opryskliwość.

– Jestem przekonana, że wolałby pan, aby na moim miejscu szła Hanka. Byłby pan na pewno rozmowniejszy.

Milczałem. I postanowiłem odtąd milczeć bez względu na to, czy ona zechce coś do mnie mówić. Dosyć już miałem jej uwag i niezasłużonych dokuczliwości. Zrobię, co mi Nemsta rozkazał – zaprowadzę ją i przyprowadzę z Poświerka, ale przez cały czas ani słowa ode mnie nie usłyszy. Na Uroczysku również będę stosował „politykę” milczenia.

– Jest pan milczący gbur – rzuciła znowu zaczepkę.

Ani słowa. Krocząc obok Babiego Lata wpatrywałem się w Czartorię, która z bliska wydawała się jeszcze dziksza niż z oddali. Dołem obrastały jej skalny grunt niewielkie świerki i sosenki, wyżej zaś leżały białe piargi kamienia, osypiska gruzu wapiennego, otwory płytkich jaskiń, strome wąwozy po wydobywym kamieniu. Smutna, posępna pustka. To gdzieś pośród tych osypisk wądołów skalnych i stromizn niegłębokich przepaści ukrywać się miał, w przekonaniu nocnego bajora spod kolegiaty, złośliwy diabeł Kuwasa.

Od strony moczarów Czartoria jest biała, skalista. Ale drugi stok jej spływa łagodnie w lasy, zieleniejące młodymi świerkami. Na niewielkim tarasie uroczy cmentarzyk ogrodzony ceglany murem. Czarne, wysokie tuje tulą się do drewnianego krzyża i do ostrych jak igielki wieżyczek na brzydkim pseudogotyckim grobowcu z kamienia. Obok grobowca, między tujami dwie ławeczki drewniane, skąd zapewne roztacza się wspaniały widok na okoliczne lasy i bagna. Stąd w pogodny dzień widać chyba nie tylko kolegiatę w Opornej, ale i naszą wysepkę na Uroczysku, kurhan. O, muszę tu kiedyś przyjść w pogodny dzień, usiąść na ławeczce, popatrzeć na okolicę...

Babie Lato widocznie myślała podobnie. Nie wiadomo, dlaczego westchnęła:

– Pięknie tam... na cmentarzyku.

Nie przerwałem swego milczenia. Obrzuciła mnie zdziwionym wzrokiem i chyba zrozumiała, dlaczego nie odpowiadam. Zmarszczyła brwi i obrażona przyśpieszyła kroku. Odtąd szliśmy nie obok siebie, lecz jedno za drugim.

Do celu już było zresztą bardzo blisko. Jeszcze pół kilometra świerkowym zagajnikiem, potem kawałek sosnowego lasu i raptownie otwarła się przed nami ogromna polana, z trzech stron zamknięta ścianami lasów. Pod lasem wśród wysokich topoli czerwony dach piętrowego pałacyku z białymi kolumnkami, trochę dalej wielki kwadrat zabudowań dworskich, dwa długie czworaki dla służby folwarcznej i dalej już pola aż po zamknięty lasami horyzont.

Pałacyk nie wyglądał na zabytkowy. Zbudowano go raczej niedawno na wzór staropolskich dworków, ale zeszpecono piętrem i brzydką facjatą. Właściciele pałacyku nie grzeszyli zbytkiem dobrego gustu, a – jak dowiedziałem się później od byłej służby folwarcznej – nosili piękne nazwisko z tytułem: baronostwo Połętowscy. Od siedemdziesięciu lat do dnia parcelacji byli posiadaczami Poświęcka z przyległościami, a przedtem handlowali zbożem i nazywali się po prostu Połęta.

Obecnie pałacyk prawie całkowicie zamieszkiwali parcelanci, jedna tylko duża sala, brudna i odrapana, nie miała stałych mieszkańców, pomijając kury i króliki, które przebywały tu bez nakazu gromadzkiej Rady i które uprzętnięto na krótko przed naszym przybyciem. Równocześnie wniesiono koślawy stolik, dwie lampy naftowe i kilka długich ławek. Znalazło się sporo bab, mężczyzn, nieco wyrostków i najwięcej dzieciarni, rozwrzeszczanej, łobuzerskiej, trochę brudnej.

Najważniejsze, że pogadanka udała się doskonale, zaciekała zebranych i na pewno rozjaśniła w umysłach sprawę naszego przybycia na Uroczysko. Babie Lato zna doskonale przedmiot, umie mówić gładko, ze swadą, obrazowo. Zaczęła pogadankę od legendy o diable Kuwasie i skarbach zakopanych przez niego w kurhanie na Uroczysku. „Tak, są skarby w ziemi, ogromne skarby. Tylko że trochę inne, niż to sobie niektórzy wyobrażają” – powiedziała. I tłumaczyła, kto to są archeologowie, jakich skarbów szukają w ziemi. Opowiadała, co nasza ekipa spodziewa się odkryć w kurhanie, wspomniała o kradzieży narzędzi, o nocnym napadzie na Uroczysko, o głupocie ludzkiej, która utrudnia prowadzenie badań naukowych.

Pogadanka obudziła duże zainteresowanie i ze strony słuchaczy padły potem pytania. Prawie wszystkie dotyczyły tego, co ewentualnie znajduje się w kurhanie, czyli, jak go tu nazywają, w „mogile księdza”.

– Mogiła księdza? Dlaczego: księdza? – dopytywała się Irena.

– Pewnie dlatego, że na Uroczysku pochowany jest jakiś ksiądz z kolegiaty – odpowiadali. Lecz nikt z obecnych nie pamiętał ani nie słyszał od ludzi starszych o podobnym fakcie. Księży z kolegiaty grzebano bowiem zawsze albo w samym kościele, albo też na cmentarzu w Opornej. „Mogiła księdza” jednak z dziada pradziada, z pokolenia na pokolenie nazywano w okolicy kurhan na Uroczysku. Żadnego innego wyjaśnienia dać nie potrafili.

– Mogiła księdza. Jest w tym jakaś prawda, jakieś echo dawnych zdarzeń – rozważała głośno Babie Lato, kiedy opuściliśmy pałacyk w Poświęcku. – Czy wie pan, że nazwa „ksiądz” to dawniejsze oznaczenie księcia, świeckiego panującego? Czy możliwe, żeby w

ciągu tylu stuleci przechowywała się wśród miejscowego ludu pierwotna nazwa „ksiądz”? Możliwe, bo przecież przyoblekła się ona później dla ludzi w zupełnie inną treść, przypuszczano, że w kurhanie leży ksiądz, duchowny z kolegiaty. A tymczasem najprawdopodobniej kurhan zawiera szczątki jakiegoś księcia plemiennego. O, muszę o tym powiedzieć Nemście. Prawda, że to szalenie ciekawe?...

Nie przytaknąłem, nie zaprzeczyłem. Twardo trwałem przy swoim milczeniu. Znowu się obrazila i spróbowała przyspieszyć kroku. Ale noc była bardzo deszczowa, mroczna jak wówczas, kiedy jechałem z Nemstą na Uroczyisko. Dziewczyna powędrowała przodem tylko kilka kroków i po chwili ześliznęła się do niegłębokiego rowu z błotem.

– Mookrooo! – pisnęła.

Uśmiechnąłem się szeroko, całą gębą, bo nie mogła zobaczyć mojej twarzy. Czarny jak smoła sosnowy las zasłonił za nami oświetlone okna w czworakach i pałacyku. Gęsta ciemność po prawej i po lewej ręce, przed nami zaś odrobinę jaśniejsza smuga – przecinka w lesie i w niej wyorana kołami droga z Poświerka.

Deszcz pogłębiał mrok i wkrótce również i ja straciłem orientację. Szedłem po omacku, ostrożnie wysuwając do przodu nogi. We dwójkę, trzymając się siebie, szłoby się o wiele łatwiej i prędzej. Lecz chciałem, aby moją pomoc dziewczyna przyjęła tym razem jako wyraźny akt łaski. Brodziła w kałużach wody, co chwila potykając się na wystających korzeniach, w koleinach, na kamieniach. Za każdym potknięciem groziło jej, że jak długa rozłoży się w błocie. I kiedy wreszcie w milczeniu ująłem ją pod rękę, nie zaprotestowała, zdawało mi się nawet, że jakby odetchnęła z ulgą.

„Dobrze ci tak” – myślałem z zadowoleniem.

Wędrowaliśmy ślimaczo, półsłówkami dając sobie znać, gdy ktoś z nas zboczył z drogi. Błoto i pomniejsze kałuże nie wchodziły w rachubę, brnęliśmy przez nie zachlapani do kostek. Lecz mimo wszystko wędrowka ta miała dla mnie dużo uroku. Przepelniało mnie radosne uczucie, że jest całkowicie zdana na moją łaskę i niełaskę, i że choć nie chce tego, to przecież musi dać się prowadzić pod rękę, kierować sobą. Świadomość jej uległości i pokory syciła moją ambicję.

Z lewej strony nagle pojaśniało. Pole. Z prawej czarna masa porośniętego świerkami podnóża Czartorii.

– Uwaga! Tu gdzieś w pobliżu powinien być rów z wodą – odezwałem się po raz pierwszy.

– Aha. Ten rów, przy którym chciał mnie pan wziąć pod rękę? – przypomniała sobie.

– A pani nie życzyła sobie mojej pomocy. Obrazila się na mnie.

– Uważałam, że jest pan niezdara.

– Z tego wynika, że obecnie zmieniła pani zdanie.

– Hm – chrząknęła niewyraźnie.

– Przypuszczam, że pani w ogóle pomyliła się co do mojej osoby – rzekłem.

– Czyżby? – powątpiewała.

– Znowu pani zmieniała przekonanie?

– Jest w panu coś, co mnie drażni, co budzi we mnie jakąś żywiołową niechęć – wyznała po chwili wahania.

– Słabo gram w siatkówkę, nie mam kwadratowej, ostrzyżonej na „zero” głowy...

Parsknęła śmiechem.

– Nie. Razi mnie pańska mrukliwość i niezdarność. Chwilami odnoszę wrażenie, że pan jest bardzo nieszczerzy, obserwuje nas, rozmawia z nami, ale myśli o nas zupełnie co innego, niż mówi. Przy tym wszystkim podejrzewam w panu sporą dozę mięczakowości, która budzi we mnie niechęć. Nie ujawnił jej pan jeszcze, lecz wyczuwam ją intuicyjnie. A lubię ludzi silnych, bardzo męskich, choć niekoniecznie muszą umieć doskonale grać w siatkówkę...

Nie było sensu kłamać. Dziewczyna okazała się lepszym psychologiem, niż to mogłem przypuszczać.

– Pani ma bardzo wiele racji.

Przystanąła.

– Wstrętne, że pan tak bezczelnie przyznaje się do wszystkiego.

– Więc nawet za szczerość mnie pani potępia?

– Taka „szczerość” oznacza wybaczenie sobie wszystkich wad, godzenie się na nie. A już przez krótką chwilę wydawał mi się pan sympatyczny.

– Kiedy?

– Jak się pan tak całą duszą śmiał z Hanką. Byłam strasznie ciekawa, co budzi w panu taką wesołość...

Przeskoczyliśmy przez rów. Z prawej strony szarzały moczary, droga odcinała się w szarzyźnie nocy czarną, głęboką krechę. Na bagnach pluskał deszcz, szemrała deszczem trawa i przydrożne zarośla.

Nagle przed nami, w ciemności, kilka głosów ryknęło skoczną piosenką. Gardła mieli ochrypnięte, każdy śpiewał jakby dla samego siebie, głosy były niedostrojone, fałszywe, właściciele ich musieli mieć dobrze „w czubie”. Od czasu do czasu przerywali śpiew, nawoływali się, przeklinali, klócili się o coś, wybuchali śmiechem.

Szliśmy naprzeciw siebie. Wyraźnie już rozróżniałem ich głosy. Pijaków było trzech, najwyżej czterech.

– „Gdybyś była mojjaaa!” – darł się któryś.

– „Moojjaaa!” – powtarzali przeciągle.

– Bachura chciał mi dać półtora tysiąca. Półtora za taką rzecz? – począł się raptownie oburzać jeden z nadchodzących. – Coś pan, panie Bachura, powiadam mu, gruby interes chcesz pan zrobić? Na obrazkach świętych rób pan interesy, nie na mnie...

„Bachura?” – przystanąłem nasłuchując.

– Z Bachura nie zaczynaj. Daje najwięcej i kłopotów nie ma. Chcesz, żeby cię milicja ciągała? W paradę mu nie włącz! Nie takim jak ty nochala utarł...

– A czego durnia z człowieka robi?

– „Gdybyś była mojjaaa!” – któryś zaczął od początku skoczną piosenkę.

– „Mooojaaa!” przyłączyli swe głosy, rozlazłe, pijane.

Bachura to jakiś tutejszy „spec” od interesów. Ciemnych interesów – doszedłem do wniosku. Może ma coś wspólnego z kradzieżą narzędzi, z napadem na Uroczysko?

– Zejdźmy im z drogi, dopóki nas nie zauważyli szepnąłem Babiemu Latu. – O tam. Tam są krzaki. Schowamy się za nimi i przeczekamy, aż przejdą.

– Boi się pan? – zadrwiła.

– Nie. Później pani wyjaśnić. Chodźmy

Pociągnąłem ją za sobą w gęstwą przydrożnych krzewów. Miałem nadzieję, że pijacy skończą skoczną piosenkę i znów wrócą do sprawy Bachury.

I nie omyliłem się.

– Bachura przyjdzie do mnie pojutrze. Na współnika mnie chce, jak Boga kocham przysięgał się ten sam, który przed chwilą oburzał się na Bachurę.

– Będziesz z nim różańce sprzedawał...

Ryknęli śmiechem. Dowcip musiał być w ich mniemaniu bardzo udany, bo aż po kilka razy go powtarzali.

Szli mimo nas szerokim, pijackim krokiem. Trzech ich było, roslých chłopów, twarzy nie widziałem, niewyraźnie białaty w ciemności.

Dowcip poprawił im humory. Zgodnie podjęli nową piosenkę;

– „Oj danaż moja dana, do samego rana...”

Ledwie zniknęli za zakrętem drogi, wyciągnąłem dziewczynę z krzaków.

– Czekam teraz na wyjaśnienia. Proszę... – wyraźnie drwiła sobie ze mnie.

Opowiedziałem przygodę na łąkach w dzień mojego przyjazdu na Uroczysko, powiedziałem o moich podejrzeniach w związku z osobą Bachury i że przed chwilą była jedyna okazja, żeby coś niecoś dowiedzieć się o tym osobniku. Słuchała mnie cierpliwie, nawet z uwagą. Potem rzuciła mi w twarz:

– Jest pan tchórz! Straszny tchórz! Ani słowa nie wierzę w te pańskie historyjki. Wymyślił je pan na poczekaniu. Wymyślił je pan, żeby upozorować swoje tchórzostwo. Po prostu zląkł się pan tych pijaków, ściągnął mnie pan z drogi w obawie, że mnie zaczepią, że będzie musiał pan mnie bronić. Jest pan tchórz, tchórz! – prawie krzyczała.

Byłem oszołomiony, kompletnie ogłupiały, nie wiedziałem, co powiedzieć, jak się bronić, czym potwierdzić prawdziwość swych słów.

– Tchórz! Tchórz! – obrzuciła mnie jeszcze raz swą pogardą i nie zwracając uwagi na błoto i kałuże pobiegła samotnie drogą obok bagien.

Powlokłem się za nią wolno, noga za nogą. Złość na dziewczynę, żal, że uważała mnie za tchórza, mieszały się ze sobą, przygłębiały mnie. Wściekły byłem na los, który mnie tu ciągle prześladował upokorzeniami. Właśnie w oczach tej jednej osoby, Babiego Lata, nie chciałem uchodzić za tchórza, za niezdarę. I wszystko jakby sprzysięgło się przeciw mnie.

– Wyjechać stąd! Wyjechać jak najprędzej! Zaraz jutro spakować walizkę i wynieść się z Uroczyska – postanowiłem gryząc ze złości wargi. – Chyłkiem uciec z Uroczyska. Chyłkiem, tak jak przystało na tchórza, za jakiego mnie uważa. I swą ucieczką potwierdzić jej sąd? I na zawsze już pozostać w pamięci dziewczyny jako tchórz? – reflektowałem się i wycofywałem decyzję.

Wlokłem się drogą nie dostrzegając niczego wokół siebie. Grząłem w błocku, o mało głowy nie rozbiłem sobie o wypróchniały pień starej wierzby, o mało nie ześliznąłem się po błocie w gęstą toń moczarów. Do baraku na Uroczysku dobrnąłem zbryzgany czarną mazią. Nawet na rondzie kapelusza niosłem grube skrzepy błota.

W naszym pokoju Nemsta siedział przy zapalanej naftówce, studiując jakieś rozłożone na stoliku szpargały.

– Na dworze wciąż deszcz? Jak wypadła pogadanka? – zapytał.

Niechętnie mruknąłem, że pogadanka bardzo się udała i że ciągle jeszcze jest wstrętna pogoda, choć deszcz już przestał padać. Moją mrukliwość zrzucił na karb sloty, na którą byłem narażony i której widome ślady dostrzegł na mym płaszczu i kapeluszu. Zagłębił się w swoje szpargały, a ja w milczeniu, ciągle przeżywając doznane upokorzenie, zająłem się przygotowywaniem do snu.

Przyniosłem z kuchni wody, umyłem się w miednicy, wypłukałem zęby, przebrałem się w pidżamę.

– O, już prawie dwunasta – zauważył nagle Nemsta i ziewnął szeroko.

– Wyznaczyłeś na dziś warty?

– Tak. Od dwunastej będzie czuwał Henryk. Ten wysoki, ostrzyżony...

„Dryblas z kwadratową głową” – uzupełniłem w myśli.

W naszym pokoju zrobiło się raptem widno jak w dzień. Struga czerwonego światła buchnęła do nas przez okno, rozlała się pochłaniając mętny, żółty blask naftówki.

– Pali się, czy co?! – krzyknął Nemsta.

Rzuciliśmy się do okna. Paliło się! Paliło się po drugiej stronie moczarów. Na tle czarnej nocy wzbijał się ku górze wysoki, czerwony od ognia słup dymu. Uderzany wiatrem to zginał się, to prostował jak język ogromnej pochodni, przygasał i znowu wybuchał jeszcze większy, silniejszy.

– Paaali sięęę! – zawołał Nemsta.

W baraku zawrzało od nawoływań i okrzyków. Wszyscy się już pobudzili i okryci czym kto miał pod ręką, wybiegli na Uroczysko. Płonący za moczarami ogień zdawał się szeroko rozlewać odbity w tysiącach bagiennych jezior, skradał się pod naszą wysepkę, wyrwał z

ciemności kolegiatę i tańcząc z wiatrem igrał sobie jej poczwarnym cieniem. Rósł na naszych oczach, coraz wyższy i wyższy, czerwonym czołem sięgając niskich, deszczowych chmur.

– Pali się któraś zagroda w Opornej – rzekł Nemsta, gdy szybko narzuciliśmy na siebie okrycia. On był ubrany, założył tylko płaszcz i cyklistówkę. Gorzej ze mną – na boscie nogi w pośpiechu wdziałem buty, na pidżamę wciągnąłem płaszcz i tak popędziliśmy w stronę pożaru. Za nami goniło jeszcze trzech „smarkaczy”.

– Oporna jest bardziej na prawo. Nic wiem, co się pali. Tu, gdzie widać ogień, nie ma żadnych zabudowań – tłumaczyłem Nemście, biegnąc ścieżką do kolegiaty

– Wydaje ci się tak w ciemnościach...

Dzyń!... dzyń!... dzyń!... dzyń!... panicznie zadzwonił gong pożarny w Opornej. Tak, miałem jednak słuszność. Oporna leżała daleko na prawo. A paliło się akurat naprzeciw nas, po drugiej stronie moczarów.

Słup ognia załamał się nagle. Ale za to rozgorzał jeszcze silniejszym blaskiem, rozżarzył się i otoczył różową aureolą iskier.

Na rozstaju dróg przy kolegiacie przystanęliśmy zmęczeni biegiem. Paliło się wyraźnie po lewej ręce, w stronę Czartorii. Od wsi pędziło kilku ludzi z bosakami, pobrzękiwały wiadra. Dołączyliśmy się do nich i dużymi krokami sadziliśmy przez pola na wprost parskającego gwiazdami płomienia.

Ktoś stanął jak wryty, a reszta o mało nie wpadła na niego.

– Pali się stara wierzba nad bagnami – obwieścił wszystkim Rozpoznałem go w odbłasku ognia. To ów Dziwak spod kolegiaty, w wojskowym płaszczu i rogatywce, kontuzjowany wielbiciel diabła Kuwasy.

Wierzba?... Postąpiliśmy jeszcze kilkanaście kroków. Tak, płonąła stara wierzba nad bagnami, ogień lizał jej ogromny, pusty w środku pień, żarzyło się próchno, języki ognia jak rozwichrzone włosy wiły się wokół maczugowatej głowy. Buchało od niej wielkim upałem, nie sposób było podejść bliżej niż na dziesięć kroków. Z Opornej przybiegło może z ośmiu ludzi, nas z Uroczyska było także kilku. Staliśmy gromadą, w milczeniu patrząc na buzujący płomień. Kora i cały pień wierzby paliły się jak sucha trzaska, nawet dymu wydzielaly niewiele, tylko od czasu do czasu buchnął żar, sypiący iskrami. Ugasić pożaru nikt by nie potrafił. Nie było zresztą sensu. Na co komu potrzebna spróchniała wierzba przy drodze?

Równocześnie chyba wszyscy zadawaliśmy sobie to samo pytanie: jakim cudem się zapaliła mimo deszczu i wilgoci? Czyżby podpalono ją rozmyślnie? Komu mogło zależeć na tym, aby spłonęła stara wierzba?

Ogień pożaru przeżarł korę, wgryzł się w pień. Jakby w ogromnej męce zaczęła się powoli łamać w swym najcieńszym miejscu, zginać ku dołowi. Już nie było na niej ani skrawka nie objętego żarem. Krótką chwilę stała w ruchliwej sukni ognia i pękła z hukiem, złamała się. Wielka głowa z guzami upadła na ziemię i otoczyła się kłębem pary z rozlanej na ziemi kałuży wody.

– Kuwasa podpalił swoją wierzbę! – nieoczekiwanie zagadał dziwak w wojskowym płaszczu i rogatywce.

Lubił siadywać w jej dziuplach. Czasami, jak kto nocą szedł tędy, to go słyszał. Gwizdał albo pohukiwał jak sowa i wołał na bagna. A teraz sam podpalił swoją wierzbę. Znudziła mu się albo znak jakiś chciał tym ogniem dać ludziom...

– Dziś zapalił wierzbę, a jutro podpali nasze chałupy – powiedziała jakaś okutana w chustkę kobieta.

Ktoś z tyłu niewidoczny w gromadzie, burknął:

– A wszystko bez to kopanie na Uroczysku...

Dopiero teraz zrozumiałem, jakie niebezpieczeństwo niosą ze sobą bajdy Dziwaka. Krzyknąłem na niego:

– Czego pan bzdury ludziom opowiada? Co ma z tym wspólnego diabeł Kuwasa? Wierzbę podpalamo dla żartu. Sama się przecież nie zapaliła. Za mokro.

Zapomniałem, że Dziwak jest głuchy. Nie zwracając na mnie uwagi, opowiadał wszystkim:

– Matka nieboszczka gadała, że jednego razu, jak się żenił Stacho Byczkowski z Opornej, ten, co to mu się rok temu zmarło; ślub brali w mieście i od ślubu jechali nocą w pięć furmanek. Woźnice dobrze byli pijani, a Kuwasa pijanych nie lubi. Zasiadł sobie w wierzbie, a mniejsze w niej były dziuple niż teraz. Weselnicy jechali drogą obok wierzby, a tu w pniu wierzby jak nie krzyknie, jak nie wrzaśnie. Popłoszyły się konie, wywróciły wozy, weselnicy pospadali do błota. O mało do nieszczęścia nie doszło... A teraz Kuwasa podpalił swoją wierzbę.

Ludzie milczeli ponuro wrogo. Z faktu pożaru wróżyli sobie jakieś nie wiadomo skąd nadciągające niebezpieczeństwo. Rozpalony kikut wierzby szerniał na końcu, zwęglił się i tylko, gdy podmuch wiatru uderzał, czerwieniał na chwilę, jak węgliki trybularzu.¹⁴ Mrok i ciemność nocy zwyciężyła blask ognia. Wierzba dopalała się, poczyniała dymić czarnym, śmierdzącym kopcem. Krople deszczu syczały w resztkach żaru, w kałuży przygasła gruzowata głowa starego drzewa.

Nemsta kiwnął głową na studentów i ruszyliśmy na Uroczysko. Wśród nas rozpoznałem Babie Lato, kulące się od chłodu w swym nieprzemakalnym płaszczu, Narkuskiego, Nietajenkę i Dryblasa. Za naszymi plecami poczęły odzywać się głosy:

– To bez nich. Bez to kopanie! Kuwasa się rozeźlił! Jutro podpali chałupy! W onegdajszym tygodniu Sobieszek widział Kuawasę, w psiej skórze chodził... Stara Romoska też Kuwasę oglądała. Wieczorem w oknie się jej pokazał... Widomy znak od niego, żeby mu skarbów nie ruszać... Sama się wierzba nie zapaliła. On ją zapalił.

Najwięcej jazgotały baby. Mężczyźni milczeli, widać mieli więcej zdrowego rozsądku. Nie chcieli się ośmieszać wiarą w istnienie Kuwasy. Ale i nie przeczyli babom.

¹⁴ Trybularz (z łac.) – mała kadzielnica, używana w czasie uroczystych nabożeństw.

– Zgadujcie, po co był ten pożar wierzby? Trzeba zwiększyć czujność. Diabeł rzeczywiście nie śpi – próbował żartować Nemsta. – Podпалиł drzewo, żeby wzbudzić do nas jeszcze większą wrogość.

– Trzeba było wyjaśnić ludziom, jak to jest naprawdę z tymi skarbami w kurhanie. Niepotrzebnie czekamy aż do specjalnej pogadanki – żalowała Babie Lato.

– Teraz? Kiedy ludzie są tacy podburzeni? Nawet by nam dojsć do słowa nie dali. Jeszcze by jakaś awantura wynikła – twierdził Nemsta. – Dlatego was tak szybko zabrałem od pożaru. Z Kuwasą nie ma żartów. Bosakiem lub wiadrem można dostać. Natknęliśmy się na niego oko w oko i diabelnie boli mnie klatka piersiowa. Taki diabeł to i zebra potrafi złamać.

– Tylko pan porządnie dziś w nocy uważaj – ostrzegął Dryblas, który miał stróżować obok baraku. – Kto wie, jakie kolejne diabelstwo wymyślił nasz prześladowca.

Nikt nie brał tych ostrzeżeń Nemsty na serio. Na dworze plucha, deszczysko, jak to się mówi, „psa z kulawą nogą żal wygnać z domu”. Komu by się chciało łązić po nocy w taką okropną pogodę? Chyba tylko legendarnemu diabłu. Ale my wierzyliśmy w Kuwasę z ciała i krwi, w ludzkiej postaci, tak jak i my podatnego na przykrości niewyspania i deszczu.

Okolo pół do drugiej w nocy Nemsta zdmuchnął w naszym pokoju płomyček lampy naftowej. Cały barak od dawna już pogrążony był we śnie i ciemności. Pod cieniutkim kocem szczękałem z zimna zębami. Przemarłem w drodze z Poświerka, do pożaru pobiegłem w pidżamie okrytej płaszczem. Byłem pewny, że jutro odpokutuję to ostrym katarem i kaszlem. Znałem swą skłonność do przeziębień.

W walizce pod pryczą miałem pudełko z aspiryną. Sięgnąć po nie nie mogłem nie wstając z łóżka, gorzej było z wodą do popicia kwaśnych pastylek. Po wodę musiałbym iść aż na koniec baraku. Trzęsąc się z zimna długo walczyłem ze swoim lenistwem. Wreszcie wstałem z pryczy i szybciotko podreptałem do kuchni, gdzie na ławce stały kubelki z wodą. Połknąłem dwie aspiryny, napiłem się wody blaszanym czerpakiem. Przy sposobności wyjrzałem na dwór, ciekawiło mnie, jak też w taki deszcz Dryblas ostrzyżony na „zero” zorganizował sobie wartownię.

Pomysłowo – przyznaję. Obok drzwi wyjściowych z baraku rozstawił leżak, nad głową umocował parasol i opatulony kocami wtulił się w leżak. Chłodno mu chyba nie było, od deszczu chronił go parasol. Drzemał więc sobie najspokojniej w świecie, jakby to nie on sam, tylko my jego mieliśmy pilnować. Dookoła noc deszczowa, nawet kurhan, o kilka kroków, wtopił się w nieprzeniknioną ciemność. Tam, gdzie jeszcze niedawno buzował ogień zapalanej wierzby, nie tli się teraz najdrobniejsza iskierka. Wszędzie ren sam czarny mrok.

Obudzić Dryblas? Obudzić i zawstydzić za drzemkę i nieuwagę? Byłoby to z mej strony zemstą za przykrości, które miałem z jego powodu. Dlaczego jednak mam kontentować się drobnostką, skoro mogę w pełni nasycić się „rozkoszą bogów”.

Po cichutku pobiegłem do swojego pokoju, wyrwałem z brulionu czystą kartkę papieru, wygrzebałem z kieszeni marynarki ołówek i po ciemku nabazgrałem drukowanymi literami:

BYŁEM TU, A TY SPAŁEŚ, DURNIU.

KUWASA

Kartkę złożyłem we dwoje, żeby na litery nie nakapał deszcz. Podkradłem się do drzemiącego i wsadziłem mu ją pod palce wyciągniętej ręki. Obudzi się, wyczuje pod palcami papier, weźmie do ręki, przeczyta i... jakby mu kto po gębie dał – radowałem się w duchu. Ale kiedy wracałem do pokoju, opadły mnie wyrzuty sumienia. Może jednak trzeba było obudzić Dryblasa, zamiast robić mu głupie kawały? Jeśli akurat tej nocy złodzieje zakradną się na Uroczysko i narobią szkody przez nieuwagę Dryblasa, czy i ja nie będę współwinny?...

„Eee, dzisiaj na pewno nie przyjdą” – rozgrzeszyłem się prędyutko i wślizgnąłem pod koc. Było mi już ciepło, prawie gorąco od wrażeń, zasnąłem natychmiast, jakbym zapadł w nicość.

ROZDZIAŁ ÓSMY

DIABELSKA SPRAWKA • CZASZKA WIELKOLUDA • ZEMSTA NAD DRYBLASEM • PRZYGNĘBIENIE BABIEGO LATA • PODEJRZENIA • ZEZNANIA W SPRAWIE POJAWIENIA SIĘ KUWASY

– Wstawaj! Wstawaj! – szarpnął mnie ktoś za ramię. – Wstawaj! No, obudź się już – wydierał się Nemsta ściągając mnie z łóżka.

Z trudem rozkleiłem powieki. W głowie huczało mi od niewyspania. Wczesny świt dopiero różowił się za otwartym oknem, od którego szło przejmujące zimno poranka. Nemsta zerwał ze mnie koc i czułem się, jakby ktoś oblał mnie kubelkiem chłodnej wody.

– Wstawajcie wszyscy! – pukał Nemsta w drewnianą ścianę pokoju. Potem znowu przyskoczył do mojej pryczy i począł cucić mnie ze snu.

– Oszaleć można! Jeśli tak dalej pójdzie, nadzy i bosi wywędrujemy z Uroczyska! Poduszkę spod głowy ukradną nam złodzieje!

Był już w spodniach, ale jeszcze w kurtce od pidżamy. Od czasu do czasu podbiegał do otwartego okna i krzyczał na kogoś.

– A pan niech się nie rusza z miejsca. Wszyscy to muszą zobaczyć...

No, dzień zapowiadał się ciekawie. Złazłem z pryczy, bolały mnie wszystkie kości. Nemsta nie pozwolił mi się umyć, zwołał ekipę przed barak. Otępiały, z młynem w głowie wyszedłem na dwór. I zaraz otrzeźwiałem.

– Patrzcie, dobrze się przypatrzcie – objaśniał Nemsta jak oprowadzacz po muzeum osobliwości.

Na leżaku owinięty w koc aż po czubek nosa leżał Dryblas z baranią miną, z oczyma wytrzeszczonymi ze zdumienia czy strachu.

– Widzicie go? Spał. Calutką noc przespał. Jak wygodnie się urządził. Trzy koce skądś wytrzasnął. Ciekawe, która z pań zlitowała się nad nim i odstąpiła mu swój koc. Żeby biedak nie zmarł przez noc. I parasol. Jak w Londynie – drwił z Dryblasa.

– Wyobrażacie sobie, kwadrans temu wychodzę na dwór i zastaję tego pana śpiącego w leżaku. Jeszcze nic złego o nim nie pomyślałem, może dopiero teraz nad ranem zadrzemał? Jaki piękny wstaje dzień. Różowiutki poranek. Cudna pogoda, wspaniale pójdzie dziś robota – cieszyłem się w duchu. Ale podchodzę bliżej do śpiącego. Co to? Pod jego nogami leży czaszka ludzka. Najprawdziwsza czaszka. Proszę zobaczyć...

Zdumienie odebrało mi oddech. Autentyczna, prawdziwa czaszka ludzka. Trochę żółtawa, leży w trawie u nóg Dryblasza i ziele na niego czarnymi oczodołami.

– Mało tego. Na kocu śpiącego widzę karteczkę. Podnoszę ją do oczu, liścik „miłosny”. „Byłem tu, a ty spałeś durniu”. Podpisano „Kuwasa”. Kuwasa przybył do nas w odwiedzinie, zostawił swoją „wizytówkę”. Jak wam się to podoba – pytał Nemsta, ale daleko mu było do żartów.

– A teraz chodźcie do komórki. Po naszych narzędziach zostało dobre wspomnienie...

Śmiechy ucichły, jakby każdemu zakrył ktoś ręką usta. Nikt nie chce wierzyć swoim uszom i oczom. Trącając nogami czaszkę w trawie, zaglądają do komórki i macają rękami po ścianach i ziemi w poszukiwaniu narzędzi. Po raz dziesiąty odczytują kartkę od „Kuwasy”. A Dryblas leży wciąż na leżaku jak sparaliżowany, wytrzeszcza w zdumieniu gały, minę ma jeszcze bardziej kretyńską niż zazwyczaj. Nawet się nie tłumaczy. Bo jak się wytłumaczyć? Spał i kwita. A w tym czasie złodzieje weszli na Uroczysko, zabrali narzędzia, położyli czaszkę. Dowcipni co?...

– Ciekawe. Bardzo ciekawe. – gada do siebie Narkuski. Podniósł z trawy czaszkę i bada ją jak antropolog.

– Co ciekawe? – denerwuje się Nemsta.

– W czaszce brak jest szczęki – stwierdza spokojnie Narkuski.

– Szczęki? Nam narzędzi brak! Ciekaw będziemy pracować? A może w ogóle zrezygnujemy z pracy, z badań z wszystkiego? – krzyczy Nemsta, wymyśla wszystkim. A przecież tylko Dryblas jest winien. No i ja, ale o tym na pewno nikt się nie dowie. Przecież badań grafologicznych¹⁵ nad kartką od Kuwasy nie będą chyba przeprowadzać?

Nikt się nie dziwi zdenerwowaniu Nemsty. Już raz narzędzia przepadły, roboty badawcze opóźniły się o kilka dni; potem wynikła sprawa z granitowymi kostkami. Nemsta zdecydował podzielić ekipę, co oczywiście jeszcze bardziej opóźni rozkopanie kurhanu, teraz znowu narzędzia zginęły, znowu opóźnienie w pracy.

– Jeśli w ciągu dwóch dni nie odnajdziemy narzędzi – oświadcza Nemsta – nie pozostaje mi nic innego jak jechać i kupić nowe. Może mi jednak doradzicie, z jakiej pozycji w budżecie mam wziąć sumę na zakup trzeciego kompletu narzędzi?

– Z pozycji „wydatki nieprzewidziane” – radzi naiwnie Nietajenko, co powoduje jeszcze większy gniew Nemsty.

¹⁵ Badania grafologiczne (z grec.) – badania nad charakterem pisma, pomocne przy ustaleniu tożsamości piszącego.

– Ostrzegam, że ostatni raz decyduję się jechać do Warszawy w takiej sprawie. „Ifa” nie ma tu garażu, stoi u sołtysa w stodole, bez żadnego zabezpieczenia, i gdy nią tu wracałem, coś mi nawalało.

Odwraca się na pięcie i odchodzi do swego pokoju. Powinienem właściwie pójść za nim, wytłumaczyć się jakoś, bo w gruncie rzeczy mianował mnie swoim zastępcą właśnie do spraw bezpieczeństwa na Uroczysku. Przyneknę mu, że sumiennie niż dotąd zajmę się odnalezieniem złodzieja – postanawiam obłudnie, kłamliwie. Dobrze wiem bowiem, że choćbym stał się najgorliwszym detektywem, i tak nic nie zdziałam. Gdzie ich szukać? Nie pozostawili najmniejszej co do tego wskazówki.

„Dzisiaj lepiej mu się na oczy nie pokazywać” decyduję tchórzliwie i pozostaję wśród studentów.

Babie Lato przypomina Narkuskiemu i Nietajence, że dziś wieczór i jutro mają wygłosić pogadanki w Opornej i Przygłowie.

– Pani wierzy w pozytywne skutki takiej pracy uświadamiającej? – podrwiwa z niej Narkuski.

– Wierzy pani, że złodzieje przyjdą akurat na mój odczyt, dowiedzą się prawdy o celu naszych badań, nagle ogarną ich wyrzuty sumienia i zwrócą nam narzędzia?

– W Poświerku z ciekawością słuchano tego, co mówiłam o naszych badaniach. Pan redaktor może poświadczyć – powołała się na mnie.

Ach, przypomniała sobie o istnieniu mojej osoby? Wzruszyłem ramionami:

– Jestem zbyt tchórzliwy, aby wyrażać swoje opinie.

Obrzuciła mnie pogardliwym spojrzeniem. Spodziewałem się tego i lekceważąco, jak gdyby nigdy nic począłem pogwizdywać przez zęby. Potem, żeby jej jeszcze bardziej dokuczyć, podszedłem do Dryblasa i powiedziałem głośno, aby wszyscy mogli mnie usłyszeć:

– Wczoraj rano pytał się pan, dlaczego to właśnie mnie, a nie na przykład panu trafiają się ciekawe przygody. Dziś otrzymał pan na to odpowiedź, prawda? Dlatego, że ja od czasu do czasu okazuję trochę czujności, pan zaś zbyt docenia słodką drzemkę. Zawrót głowy od sukcesów, co? Asystentka profesora Nemsty określiła pana jako genialnego odkrywcę i wobec tego uznał pan drzemkę za zasłużony wypoczynek? Ten koc, pod którym pan tak słodko drzemał, też zapewne należy do pani Ireny?

Przeholowałem odrobinę ze złościwością. Zrobiłem sobie z Dryblasa wroga na całe życie. Jak oparzony zerwał się z leżaka, myślałem, że zacznie się ze mną boksować. Ale on tylko porwał koc, zaklął i schował się w baraku. Jeśli ktoś tu jest tchórzem, to na pewno nie ja.

Sympatie wszystkich są zazwyczaj po stronie zwycięzcy. Tak też i było w tym wypadku. Wszyscy drwili z Dryblasa. Babie Lato odeszła na bok, zdawało mi się, że miała łzy w oczach.

„Dobrze jej tak” – myślałem, lecz czułem niesmak Stała o kilka kroków ode mnie, odwrócona plecami, tak że widziałem tylko jej jesienne włosy, nie uczesane po nocy, bezładnie rozrzucone na ramionach czerwonego szlafroka. Jak by to było wspaniale, żeby zamiast z pogardą spojrzała na mnie z radością, z uśmiechem!

Lecz dzielił nas ów niezasłużony, niezgodny z prawdą „tchórz”. Tego się chyba nie przebacza.

Narkuski trącił mnie w ramię, podsuwając pod nos żółtą czaszkę.

– Patrz pan. To ci łeb miał facet. Łeb jak dzban – cmokał z zachwyty wargami.

– Gdybyśmy wiedzieli, braciaszkowie, skąd wzięto czaszkę, łatwiej może trafiłoby się na trop złodziei – mówił Nietajenko. – Cmentarz jest tylko jeden na całą okolicę. W Opornej za drewnianą kaplicą.

– Podejrzewacie, że z grobu czaszkę wyciągnęli? Hm, ciekawe, bardzo ciekawe – mruczy Narkuski.

– A może z kolegiaty? W kolegiacie również są groby.

Przypomniał mi się głuchy Dziwak w wojskowym płaszczu. Czy wówczas, gdy paliła się wierzba, nieświadomie podburzył przeciw nam chłopów? A jeśli to zrobił celowo?...

Moja „wizytówka” Kuwasy wędruje z rąk do rąk. Każdy wymądrza się na jej temat:

– Pisał ją jakiś półanalfabeta – powiada Joasia – poznać po koślawych literach.

Jakby mnie kto szpilką dotknął.

– Dlaczego zaraz półanalfabeta? Po ciemku pisał i dlatego tak nabazgrał – powiedziałem.

– Ciekawe, bardzo ciekawe – kręci głową Narkuski. – W każdym razie ja jestem zdania, że złodziejom nie brak inwencji. Historia z podpaleniem wierzby to był majstersztyk.¹⁶ Dowcipne i ciekawe. A czaszka, he? Nie każdy wpadnie na pomysł, żeby podłożyć czaszkę. To jest niezwykle. To coś znaczy. Oni jakby przemawiają do nas symbolami. Najpierw podpalili wierzbę. Być może chcieli przez to powiedzieć: przestańcie kopać na Uroczysku, bo w przeciwnym razie grozi wam ogień. Teraz podłożyli czaszkę, znak śmierci. Powtórnie nas ostrzegają: grozi wam ogień i śmierć. A ile dowcipu jest w tej karteczce? „Byłem tu, a ty spałeś, durniu. Kuwasa”.

Joasia odciągnęła mnie na stronę, żeby nikt nie podsłuchał.

– Niechaj mi pan powie szczerze, co pan sądzi o tym wszystkim. Bo ja zupełnie zgubiłam się w domysłach. W diabła Kuwasę nie wierzę. Ale te zdarzenia z czaszką i pożarem przedstawiają się dla mnie tak niesamowicie... Aż boję się trochę.

Śmieszyla mnie. Bać się? Czego? Tymczasem chyba nikomu z nas nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Tajemniczy prześladowcy osiągnęli swój cel: pozbawili nas narzędzi, uniemożliwili pracę. Teraz dadzą spokój na dłuższy czas.

Powiedziałem to Joasi, nie zdradzając oczywiście, że śmieszyla mnie jej strach. Jest na pewno bardziej wrażliwa od Babiego Lata, nic dziwnego, że przeraża ją tajemniczość

¹⁶ Majstersztyk (z niem.) – przedmiot wykonany przez czeladnika przy egzaminie na majstra; w przenośni: dobrze wykonana robota.

otaczająca Uroczysko. Wolę taką wrażliwość, delikatność niż odwagę Babiego Lata, odwagę dokuczania innym.

– Jak pan sądzi? – zwrócił się do mnie Nietajenko. – Nemsta kazał poszukać narzędzi. Może więc po śniadaniu rozdzielimy się na grupy. Jedna pójdzie do kolegiaty i stwierdzi, czy nie otwarto tam jakiegoś grobowca, druga na cmentarz w Opornej?

Osobiście nie wierzyłem w skuteczność poszukiwań. Ale niech robią co chcą i tak tu na miejscu nie ma nic lepszego do roboty.

– Ja powiadomię milicję – oświadczyłem.

– A ja? Co ja mam robić? – pytała Babie Lato.

– Pani – rzekłem kłaniając się z przesadną kurtuazją – pani może robić co zechce.

I ciszej dodałem:

– Gdyby nie to, że gardzi pani moim towarzystwem, zaproponowałbym wspólne poszukiwanie narzędzi.

Udała, że nie usłyszała

– Dobrze. Pójdę z wami do kolegiaty – rzekła Narkuskiemu.

– Milicja! – zawołał ktoś.

Ścieżką od kolegiaty jechało do nas na rowerach dwóch milicjantów, a wśród nich młodzianki komendant. Czyżby jakimś cudem doszła do nich wiadomość o powtórnej kradzieży na Uroczysku? Nie. Przyjechali, żeby uzupełnić swe wiadomości w sprawie nocnego pożaru starej wierzby.

Znowu dokładnie spisali, kiedy i co nam ukradziono, obejrzeni cały teren wysepki, komórkę, gdzie leżały narzędzia, czaszkę, moją „wizytówkę” od Kuwasy.

Nemsta wyszedł z baraku.

– Jak obywatele sądzą, znajdziecie nasze narzędzia, czy na wszelki wypadek lepiej, żebym pojechał po nowe?

Bezradnie rozłożyli ręce. Owszem, zajmą się poszukiwaniem złodziei, ale nie mogą niczego obiecać. Wydawali się bardzo czymś zafrasowani; rzekłbym, nawet przygnębieni.

– Więc co robić? Grasuje w okolicy jakiś diabeł Kuwasa, robi szkodę, podpała wierzbę, kradnie nam narzędzia, a obywatele nic na to? Zupełnie nic?

Komendant jakby dla usprawiedliwienia się wyciągnął ze skórzanej raportówki kilka kartek papieru.

– A cóż możemy zrobić? O tym diable Kuwasie od tygodnia głośno na całą okolicę. Ten i ów twierdzi, że na własne oczy oglądał Kuwasę. Wezwaliśmy na posterunek, zapisaliśmy zeznania. W nocy wierzba się zapaliła. Kuwasa? Skąd można wiedzieć? Rano zadzwoniłem do Komendy Powiatowej, a tam jak nie wsiądą na mnie: „Powariowaliście? Za diabłem się uganiacie, a w okolicy bezkarnie grasuje banda, która robi bimber, czyli pędzi samogon”. Uszu nam natarli za Kuwasę. A wy też od Kuwasy zaczynacie...

Pokazał mi kartki, które wyciągnął z raportówki. Nosiły nagłówki:

„Zeznania w sprawie pojawienia się diabła Kuwasy”.

Zeznanie nr 1. Obywatela Feliksa Fontańskiego ze wsi Oporna. Lat 62.

„Niniejszym stwierdzam, że nijakiego obywatela Kuwasy nie znam ani z nim nie utrzymuję żadnych stosunków. Słyszałem o wymienionym od ludzi, że w okolicy ukrywa się od wielu lat niejaki Kuwasa, rzekomo diabeł. Onegdaj o jedenastej w nocy wracałem do domu od sąsiada, niejkiego Piotra Masłochy. Mieszka on na końcu wsi Oporna, a moja chałupa znajduje się niedaleko kaplicy, musiałem więc przechodzić obok parafialnego cmentarza. Noc była widna, księżycowa, nikogo po drodze nie napotkałem, tylko jak przechodziłem koło krzaków przy cmentarzu, nagle wyskoczył z nich ktoś wysoki na półtora chłopca i jak mnie zobaczył, przykucnął, a potem na czworakach uciekł na cmentarz. Nie wiem, kto to był, bo nie widziałem twarzy ani żadnych znaków szczególnych. Jak ludziom potem opowiadałem, twierdzili, że widziałem diabła Kuwasę”.

Zeznanie nr 2. Obywatelki Janiny Romoskiej ze wsi Oporna, lat 74.

„O Kuwasie słyszałam od ludzi starszych. Kuwasa jest diabłem, który osiedlił się w naszych stronach. Mieszka podobno na górze Czartorii, w starych wierzbach i po różnych dziurach. Czasami chodzi ubrany jak człowiek, ale ma rogi i ogon i bardzo wstrętną mordę. Czasami zmienia się w nietoperza. Dwunasta była. Dokładnie wiem, bo spojrzałam na zegar. Dzieciaki w izbie spały, a ja siedziałam przy piecu i patrzyłam w okno. Trochę drzemałam, ale nie spałam, na co mogę złożyć uroczystą przysięgę. Nagle cosik zapukało w okno i zobaczyłam przylepioną do szyby wstrętną twarz, skrzywioną, z błyszczącymi zębami i gorejącymi oczami. Twarz ta zaraz znikła. Kot śpiący na piecu zerwał się, nastroszył, zaczął fukać ze strachu i schował się pod łóżko. Po tym poznałam, że widziałam diabła Kuwasę”.

Zeznanie nr 3. Obywatela Ignaca Sobieszka z Opornej, lat 59.

„W dniu 4 lipca br. szedłem do Poświerka, żeby siostrze swojej, Annie Cumowej, zanieść «babkę» do klepania kosy. Była wtenczas dziesiąta w

nocy. Z moczarów koło Uroczyńska wyskoczył pies wielkich rozmiarów, wielki bury wilk. Ogon miał spuszczone, ale pysk zawarty. Nie szczekał na mnie, tylko przeskoczył przez drogę. Szelestu ani jego biegu nie słyszałem, bo jakby leciał w powietrzu. Jak opowiadałem o tym ludziom w Poświerku, mówili, że widziałem Kuwasę. A zaprzeczyłem temu – co może poświadczyć siostra moja Anna Cumowa z Poświerka, lat 40. Słyszałem, że diabeł Kuwasa sto lat temu został zabity kłonicą przez niejakiego Stacha z Poświerka, który rozpoznał go na bagnach, kiedy diabeł spał. Był Kuwasa ubrany za nietoperza i miał ogon. Niektórzy nie wierzyli temu i twierdzili, że Stach z Poświerka zabił nie Kuwasę, tylko obywatela Regierungsratha¹⁷, Niemca, który nosił nietoperza na głowie. Ja temu wiary nie daję i w Kuwasę nie wierzę, na co mogę złożyć przysięgę”.

Zwróciłem milicjantowi zeznania, zagryzając wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Żał mi było tych chłopaków w milicyjnych mundurach. Napotkali niezwykłą, fantastyczną historię i nie wiedzieli, jak się do niej zabrać.

– Z wierzbą też niezrozumiałe – żalili się nie ukrywając swego kłopotu. – Podpalił ją ktoś, czy jak? Ogień szybko wszystko strawił i śladu podpalenia teraz nie znajdziesz. Przeszukaliśmy dokładnie teren przy wierzbie. Nigdzie nie ma nawet szkiełka po butelce z naftą czy czegoś w tym rodzaju. Może sama się zapaliła?

Nie potrafiliśmy im pomóc. To my oczekiwaliśmy od nich pomocy. Odjechali niczego nie obiecując, z poczuciem własnej bezradności.

¹⁷ Regierungsrath (niem.) – radca rządowy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

**MACOCHA I PASIERB • AMBICJE KSIĘŻNEJ SALOMEI • NARKUSKI
ZOSTAJE WATSONEM • W POSZUKIWANIU ZŁOCZYŃCY • CZŁOWIEK
W CZARNEJ MASCE • OSTATNIA ZBRODNIA DZIWAKA**

Fragment manuskryptu profesora Nemsty

...Stalo się to w niedługim czasie po śmierci Bolesława Krzywoustego.

Zimą 1140/1141 roku księżna Salomea, wdowa po Krzywoustym, przebywająca po jego śmierci w Kruszwicy lub w Łęczycy, prosi na swój dwór Ottona ze Stuzzelingen, kiedyś słynnego rycerza, a obecnie mnicha wirtemberskiego klasztoru w Zwiefalten. Chce jakoby swą córkę, trzyletnią Judytę, wysłać do klasztoru w Zwiefalten pod opiekę Ottona. Ale ponieważ o losie córki książęcej zdecydować może tylko wiec książąt, z początkiem 1141 roku zwołuje księżna na swój dwór wszystkich swych synów.

Tyle fakty historyczne. Nie ma w nich nic z pozoru podejrzanego. Gdyby... gdyby nie inny ważny fakt. Na wiec książąt do Łęczycy przybywają ze swych dzielnic synowie Salomei: Bolesław Kędzierzawy i Mieszko, biorą w naradzie udział Kazimierz i Henryk Sandomierski, „primates regni”¹⁸ i tłum rycerstwa. Nie zaproszono tylko jednego spośród książąt, pasierba Salomei – Władysława II, który zgodnie z testamentem Krzywoustego sprawować miał, jako najstarszy, władzę zwierzchnią nad dzielnicami młodszych braci.

I teraz rozumie się już prawie wszystko. Nie chodziło oczywiście Salomei o wysłanie Judyty do klasztoru. To był jedynie pretekst do zwołania wiecu. Zależało Salomei na stworzeniu obozu braci przeciw senioralnej zwierzchności Władysława II. I jak uczy historia, obóz taki powstał na dworze księżnej Salomei na początku 1141 roku...

¹⁸ Primates regni (tac.) – pierwsi w królestwie, tu: książęta.

W osieroconej przedwczesnym zgonem Bolesława Krzywoustego rodzinie nie było zgody, owszem, zarzewie nieporozumień tliło się już w samych ściślejszych stosunkach rodzinnych – mówią źródła historyczne.

Krzywousty był żonaty dwukrotnie. Władysław II zrodzony z pierwszej jego żony, ruskiej księżniczki Zbysławy, jako najstarszy syn otrzymał w testamencie ojcowskim zwierzchnią władzę nad swymi przyrodnymi braćmi, zrodzonymi z drugiej żony Krzywoustego, księżnej Salomei. Była to kobieta bardzo ambitna, żądna władzy i zaszczytów, zazdrosna o tytuł „księżnej Polski”, spragniona władzy dla siebie i dla swych dzieci. Nienawidziła pasierba, nie mogła znieść myśli, że właśnie jemu, a nie jej lub któremuś z jej synów, przypadła największa władza.

Nienawiść między macochą a pasierbem podsyciła jeszcze obopólna niechęć do siebie Salomei i Władysławowej żony, Agnieszki. Pogłębiał ją też fakt, że Władysław jako zwierzchnik miał prawo do opieki nad swymi małoletnimi braćmi i zarządzania przynależnymi im dzielnicami do czasu ich pełnoletności, tymczasem opiekę tę i rządy przechwyciła w swe ręce księżna Salomea.

Tak więc w rodzinie Krzywoustego istniały dwa wrogie, przeciwstawne sobie obozy. Z jednej strony „wielki książę” Władysław II z żoną Agnieszką, z drugiej strony – jego macocha i bracia przyrodni. Zarzewie wojny tłące się nieustannie między tymi obozami rozgorzało wkrótce wielkim ogniem bratobójczych walk. Wojna między „wielkim księciem” a jego macochą i braćmi toczyła się krwawo i ze zmiennym szczęściem, obfitując w najbardziej dramatyczne momenty, jak oblężenie przeciwników Władysława w Poznaniu, rzucenie klątwy na Władysława przez sędziwego arcybiskupa gnieźnieńskiego Jakuba, jak wreszcie rozproszenie się wojsk Władysławowych, ucieczka „wielkiego księcia” do Niemiec i ostateczny koniec jego niedługiego i tragicznego panowania.

...W tym wszystkim niepoślednią rolę odegrać miała piękna romańska kolegiata, w wirze następujących po sobie wydarzeń jak klejnot rzucona między bagna, na zielony kobierzec łąk Opornej.

...Powstanie swe zawdzięcza kolegiata ambitnej księżnej Salomei. Swe kształty romańskie – jednemu ze stronników księżnej, biskupowi płockiemu Aleksandrowi, twórcy „polskich bazylik”, jak go nazywał kronikarz Wincenty Kadłubek.

Marzyło się księżnej Salomei, że po wypędzeniu pasierba posiadzie władzę nad całym krajem, marzyły się jej zjazdy możnych, którym będzie przewodzić. Jej pasierb Władysław posiadał Kraków – ona, Salomea,

musiała kontentować się ubogą Kruszwicą i jeszcze ubożuchniejszą Oporną. Nie zaspokajały one jej ambicji, nie miała gdzie przyjmować swych licznych stronników świeckich i duchownych, nie miała w swej dzielnicy godnego siebie zamku i kościoła. Jeśli do Władysława należał Kraków to ona, Salomea, stworzy sobie stolicę jeszcze wspanialszą, jeszcze piękniejszą. Ot, choćby w Opornej.

Na wiecu książąt w 1141 roku zapadła decyzja budowy ogromnej romańskiej kolegiaty. Ma ona pod każdym względem odpowiadać marzeniom Salomei: być wielką i obronną jak twierdza, aby, zanim Salomea zbuduje zamek, w kolegiacie mogły się odbywać bezpiecznie narady i zjazdy książęce, jak to określił historyk: kolegiata stać się miała warownym gmachem parlamentu. Parlamentu książąt zbuntowanych przeciw senioralnej zwierzchności najstarszego brata.

Wkrótce umiera Salomea. Lecz zmontowany przez nią obóz synów nie rozpada się, toczy zaciętą walkę z Władysławem. A wygnawszy go z kraju – jako pomnik zwycięstwa doprowadza do końca zaczęte przez ich matkę budowle.

W 1161 roku na uroczystości poświęcenia kolegiaty zjechał kwiat rycerstwa i duchowieństwa. Pod jej murami stanęli: arcybiskup Jan, biskup krakowski Mateusz, wrocławski Walter, Werner mazowiecki, Onold kruszwicki. Z książąt byli obecni: Bolesław Kędzierzawy, Henryk Sandomierski, Kazimierz Sprawiedliwy oraz pięcioletni Odon, syn Mieszka Starego. Wśród licznej rzeszy rycerstwa wyróżniał się Jaksza z Miechowa, słynny później uczestnik wypraw krzyżowych, na które wyruszył w 1162 roku.

Ale minęły lata, stronnicy Salomei wymarli, żadnemu z późniejszych władców Polski nawet przez myśl nie przeszło urzeczywistnić marzenia księżnej: zbudować obok kolegiaty zamek i gród równie jak kolegiata wspaniały. Nie zaistniała żadna historyczna potrzeba uczynienia z Opornej stolicy Polski, do czego dążyła Salomea.

I tak oto, gdy w sto lat później, podczas najazdu Litwinów spalony został doszczętnie gródek Oporna, pozostała jedynie warowna obronna kolegiata, piękna, ale zupełnie samotna, otoczona tylko przez bagna i podmokłe łąki, obsypane wiosną „wolimi oczkami” i kaczęncem. Wyrosła z chorobliwej kobiecej ambicji i jest jak klejnot rzucony przez czyjś kaprys w trawę, klejnot piękny, lecz bezużyteczny. Życie potoczyło się obok. Z daleka od wielkich miast i wygodnych dróg kolegiata skazana została na zapomnienie. A choć i w późniejszych latach znaleźć można w jej historii

niejedną bogatą w wydarzenia kartę, to przecież do większych, ważniejszych celów została stworzona.

Tyle tylko o genezie kolegiaty napisał Nemsta. Odłożyłem jego pracę z uczuciem lekkiego smutku, który snuł się między wierszami beznamietnej relacji historyka. Nie chciałem psuć sobie tego nastroju wnikaniem w dalsze kartki manuskryptu, gdzie zgodnie z zapowiedzią Nemsty omawiał on zagadkowe zniknięcie stauroteki. Bałem się, że ciekawość, jaka go wobec tego zadania gnębiła, i mnie również ogarnie, a wówczas pryśnie niepowrotnie i owa odrobina smutku otaczająca nikomu dziś niepotrzebną wielkość romańskiej budowli. Współczułem jej zapomnianej piękności i żał mi było nie spełnionych nigdy marzeń Salomei.

Zamknąłem ostrożnie cienki zeszyt manuskryptu i jakby zupełnie nowymi oczami spojrzałem na kolegiatę. Widziałem ją wyraźnie w blasku popołudniowego słońca, na tle przejrzystego błękitnego nieba, widoczną jak na dłoni z wysokości kurhanu, gdzie pólżąc na kocu czytałem od godziny. W myślach powtarzałem dopiero co poznane daty i świetne nazwiska.

Nad moją głową z furkotem przeleciały dwie pary kaczek krzyżówek. Na krawędzi bagien, przy ścieżce obok cmentarnego murku wyłoniła się gromadka ludzi i przysłoniwszy dłonią oczy, aby uchronić się od blasku słońca, rozpoznałem powracających z wioski Nietajenkę, Narkuskiego, Babie Lato i Dryblasę.

Czy natrafili choćby na najmniejszy ślad złodziei?

Przeciągnąłem się leniwie, ociążały od południowego skwaru. W baraku pobrzękiwały kuchenne naczynia, przypominając o rychłym posiłku. Panowała cisza, na rozgrzanej od żaru słonecznego wysepce poza mną nie widać było nikogo. Kto nie poszedł do wsi z doktorami, chronił się w chłodnym wnętrzu baraku.

Ziewnąłem szeroko, potem wolno zeszedłem z kurhanu. Po chwili młode, wesole głosy zmały ciszę Uroczyska. Nie czas i nie pora już dumać nad losami starej budowli.

Nietajenko i Narkuski mieli kwaśne miny.

– Diabła tam, panie kolego, odnajdzie się narzędzia. W kolegiacie grobowce są w najlepszym porządku. To samo na cmentarzu w Opornej. „Daremne żale, próżny trud”. W ślepy zaułek weszły nasze poszukiwania – złościł się Narkuski. – Nie obrabowanych grobów należało szukać, lecz ludzi, którzy ukradli nam narzędzia. Pół dnia straciliśmy na próżno.

Nietajenko jak zwykle znalazł się w opozycji.

– Podtrzymuję swoje poprzednie przekonanie. Najpierw trzeba ustalić miejscowość, z której pochodzą złodzieje. Można to zrobić jedynie trafiwszy na grób, skąd zrabowali czaszkę. Ot co, braciaszkowie mili. Groby w kolegiacie i w Opornej nie noszą śladów rabunku, znaczy to, że nie z tej miejscowości pochodzą złodzieje. W innych wioskach powinniśmy ich poszukać.

– Tylko beze mnie! Dosyć mam tej włóczęgi – pieklił się Narkuski, ogromną chustką w granatowe grochy ocierając spocono czoło i kark. Południowy żar dobrze mu się widać dał we znaki.

Babie Lato znowu przypomniała Nietajence, że wieczorem wygłosić powinien pogadankę w Opornej, a ponieważ nie był tegim mówcą, pośpieszył do baraku zrobić szczegółowe notatki. Dzięki temu natychmiast zakończył się spór.

– Detektyw od siedmiu boleści – z wściekłością parsknął Narkuski, gdy Nietajenko zniknął w baraku.

– Ledwie tylko weszliśmy do kolegiaty, zaczął ją mierzyć, na groby nawet okiem nie rzucił. Tylko na przekór mnie upiera się przy swoim. A tymczasem robota leży. Nemsta poszedł do kowala, żeby coś tam zespawać w motorze, i chyba jutro wyruszy do Warszawy po nowe narzędzia. Ot, bieda. Ciekawość pali mnie, jakbym siarki się najadł. Odkopaliśmy schody, jeszcze krok do piwnicy, jeszcze trochę, a będziemy wiedzieli, co to za budynek, i masz babo placek! Złodzieje!

Rozdrażniony upałem i Nietajenką musiał się przed kimś wywnętrzyć. Pociągnął mnie za sobą poza tylną ścianę baraku, gdzie było trochę cienia, przykucnął na trawie i począł mi się zwierzać:

– Głupstwo, panie kolego, palnąłem z tą kaplicą. Jaka to kaplica? Z piwnicą? W XII wieku ludzie nie byli znowu tacy strasznie zabobonni, diabłów się bali, owszem, nie tak jednak bardzo jak w XVII albo XVIII wieku. Nie do tego chyba stopnia, żeby z lęku przed Kuwasą kaplicę wymurować. I ten tutejszy Kuwasa także dziwny jakiś diabeł. O ile pamiętam, nie ma o nim żadnej wzmianki w „Żywotach diabłów polskich”, ani też w „Atenach”¹⁹ Chmielowskiego, a to przecież wielki „teoretyk” wszelkiego diabelstwa. Słyszałem o Borucie, Wilkołaku, Markocie, Harabie, Strojnale, Kierdosie, Śmieszku, Rokicie, Smółce, Wicherze, Rogalcu, Latawcu, Lelku Nocnym, Klekocie, Parkudzie... ale o Kuwasie ani słowa.

Zasepił się. Na grubym nosie lśniły mu krople potu. Wydawał się zmęczony, sennie przymrużył oczy, lecz czułem, że ukrywa w nich sporo złośliwej ironii. I nie omyliłem się ani trochę.

– A pan, kolego, na co czekasz? – zagadnął zaczepnie. – Młodyś, upał ci nie dokucza, jak nam starym. Dziennikarz to człowiek przenikliwy, sprytny, obrotny. Pokaż swoje zdolności, schwytaj złodziei, a wiekopomną sławę zyskasz..

Potem dodał od niechcienia:

– Irena starała się podważyć moje zaufanie do pańskich zdolności. Chyba nie gniewa się pan że poza jego plecami coś niecoś porozmawialiśmy o nim?

Syknałem cicho, jakby mi kto nadepnął na palce. Ogromnym jak u rzeźnika łapskiem Narkuski klepnął mnie najpierw w ramię, a później po łopatkach.

¹⁹ „Ateny” Chmielowskiego – encyklopedia „Nowe Ateny albo akademie wszelkiej scyencyi pełna”, napisana w połowie XV w. przez ks. B. Chmielowskiego zbiór bajek, przesądów i wszelkich bredni.

– Wierzę w pana. Mimo wszystko wierzę. Fajtlapa, słyszałem o panu, rzekomo i tchórz. A jednak wierzę. Taki już jestem łatwowierny człowiek.

Pośpiesznie usunąłem się spod zasięgu jego ręki. Dość już miałem tej nie zasłużonej niczym poufności. Ale nie chciałem mu tego okazać. Ostatecznie wierzył we mnie albo udawał, że wierzy. Kto wie, ilu już Babie Lato zdążyła przekonać o moim tchórzostwie i całkowitej nicości. W tej sytuacji nawet taki sojusznik może się przydać.

– Owszem, mam pewne podejrzenia i koncepcję co do złoczyńców – niedbale wycodziłem przez zęby.

– Wspaniale! Wspaniale! – zahuczał basem i mocno zamachnął się ręką. Na szczęście nie dosięgnął moich pleców. Słucham więc o tych podejrzeniach i koncepcjach. Cały zamieniam się w słuch.

I wygodnie rozsiadł się pod ścianą baraku.

Koncepcji żadnych, rzecz jasna, nie miałem. Podejrzenia niewielkie i wątpliwe. Ale słowo się rzekło, powrotu nie było.

– Dziwak. Tajemniczy Dziwak. Ten, który wówczas, gdy paliła się stara wierzba, bajdami o diable Kuwasie o mało nie podburzył przeciw nam chłopów.

Starannie unikając wszelkich kompromitujących mnie szczegółów opowiedziałem o pierwszym swym zetknięciu się z Dziwakiem podczas nocnych odwiedzin kolegiaty, o jego tajemniczym zachowaniu się, wariactwie. Łączność Dziwaka z faktem napadu na Uroczysko i kradzieżami narzędzi nie była trudna do uzasadnienia.

– Jest porządnie pomyłony na punkcie Kuwasy. Wierzy w jego istnienie i działalność, wierzy więc również i w to, że kurhan zawiera Kuwasowe skarby. Chce nas stąd wypłoszyć, żeby skarby zostały nie naruszone. Może chce tych skarbów dla siebie? Może obłąd jego jest tylko udany?

– Hm. Ciekawe. Bardzo ciekawe...

Wyglądał na przekonanego o winie Dziwaka, a w każdym razie przejął się moimi podejrzeniami. Nie miał pod ręką moich pleców, klepnął się więc tylko we własne kolana.

– Tak. Będę pańskim Watsonem²⁰ – zdecydował.

Takiego obrotu sprawy bynajmniej sobie nie życzyłem.

– Kiedy ma pan zamiar zająć się sprawą tego Dziwaka? – zapytał rzeczowo.

– Kiedy? Zaraz po obiedzie – palnąłem z miejsca, mając nadzieję, że ze względu na upał da mi święty spokój.

– Wspaniale! Nic mnie nie może odstraszyć od tego przedsięwzięcia. Tak, będę pańskim Watsonem.

Swe zadowolenie wyrażał szerokimi zamachami rąk. Strach brał, gdy się widziało ich grubość i wielkość, każdy palec jego dłoni był jak sporych rozmiarów drewniany klocek.

²⁰ Watson (ang.) – postać powieściowa, przyjaciel i pomocnik Sherlocka Holmesa.

I tak oto wypadło mi wyruszyć na poszukiwanie złodziei. Trzeba było ratować swój honor i tę odrobinę wiary, którą niektórzy pokładali we mnie, mimo podstępnej propagandy Babiego Lata.

Narkuski, odkąd postanowił, że będzie Watsonem (zaiste, nie mam żadnych ambicji, aby uważano mnie za Sherlocka Holmesa), nie odstępował mnie ani na krok. Podczas obiadu siedzieliśmy obok siebie, a on przyjaznym uśmiechem i lekkimi szturchnięciami w plecy zachęcał mnie do nieskapienia sobie jadła.

– Kto wie, kiedy ukończymy nasze poszukiwania. Kto wie, kiedy zjemy następny posiłek – przewidywał i pod tym pretekstem skonsumował podwójną porcję. Apetyt miał hipopotama.

Dziwiła mnie taka gorliwość w tropieniu złodziei. Nie bardzo wierzyłem, że chodzi mu tylko o odnalezienie narzędzi i wznowienie badań kaplicy. Raczej skłonny byłem przypuszczać, że przez fakt odkrycia złodziei pragnie zatriumfować nad Nietajenką. Wciągnął mnie w orbitę swych prywatnych niechęci, poganiał, i nie pozostawało mi nic innego jak rzeczywiście dokonać niezwykłego czynu. Wbrew umiejętnościom skromnego, sentymentalnego dziennikarzyny i przyszłego historyka sztuki.

Naprzeciw nas przy długim stole w jadalni siedziała Babie Lato. Zapewne dziwiła ją nieoczekiwana przyjaźń, jaką obdarzał mnie doktor Narkuski. Nadskakiwał jej Dryblas. Ale był zbyt skompromitowany dzisiejszego ranka, aby mogła mu się odwzajemnić choćby uśmiechem sympatii.

Nemsta nie przyszedł na obiad. Czyżby awaria motoru okazała się poważniejsza, niż przypuszczałem? W takim razie wyjazd jego opóźni się i sprawa odnalezienia narzędzi stawała się bardzo pilna.

Po jedzeniu wstaliśmy z Narkuskim od stołu.

– Zabrać latarkę elektryczną i scyzoryk? – pytał Narkuski.

Co on sobie u licha wyobrażał o tych poszukiwaniach? Złość mnie na niego brała. Na chybił trafił powiedziałem:

– Scyzoryk może się przydać.

Chwilę staliśmy niezdecydowani na środku jadalni. Po raz któryś już stwierdziłem, że cała ta historia nie ma najmniejszego sensu, nie jest ani mądra, ani dowcipna.

– Ha, trudno! Chodźmy, panie doktorze – oświadczyłem wreszcie. Jego czerwona, pucłowata gęba jeszcze bardziej pokraśniała z radości.

– Idziemy! – wykrzyknął w zapale. – Pani Ireno! – zwrócił się do Babiego Lata. – Niech nam pani życzy powodzenia. Wyruszamy na niebezpieczną wyprawę!

Skrzywiła się ironicznie. Rozzłoszczony, siłą wyciągnąłem go z jadalni.

– Nie jest pan Watsonem, ale gadatliwy babą! – zawołałem.

Ostro ruszyłem przed siebie ścieżką z Uroczyiska. Po paru krokach gniew mi przeszedł. Ci naukowcy są trochę jak dzieci doszedłem do wniosku. Narkuski dogonił mnie ze skruchą na obliczu. Jego milczenie miało zastąpić przeprosiny za gadatliwość.

Niższy ode mnie przynajmniej o piętnaście centymetrów starał się choć we własnym mniemaniu dorównywać mi wzrostem i, jak tylko potrafił, żyrafio wyciągał głowę. Przy tym nos śmiesznie wystawiał do przodu jak wyżeł, który w napływającym wietrze stara się wyróżnić zapach zwierzyny.

Skoro zostałem Holmesem, obowiązywała mnie metoda dedukcji.²¹ Wędrując z Narkuskim w stronę Opornej zacząłem głośno snuć rozważania:

– Gdzie może ukrywać się tajemniczy Dziwak? Pierwszy raz zetknąłem się z nim o dwunastej w nocy koło kolegiaty. Nie mógł wiedzieć, że będę tam akurat tej nocy. Jest to pierwszy dowód, że najprawdopodobniej mieszka gdzieś w pobliżu. Drugi raz widziałem go koło płonącej wierzby. Przybiegł do niej równocześnie ze mną. Jest to dowód, że mieszka nie dalej od wierzby niż my na Uroczysku. Ile jest z Uroczyska do wierzby? Myślę, że nie więcej niż półtora kilometra. W tej samej odległości, gdzieś w wiosce Oporna, należy szukać tajemniczego Dziwaka.

– Wspaniale! Wspaniale! – zachwycał się doktor. Nie powiem, aby nie pochlebiały mi te okrzyki.

Minąwszy kolegiatę zboczyłem w lewo do spalonej wierzby. Obok zwęglonych szczątków, czarnych i cuchnących spalenizną – przystanąłem.

– Niech pan liczy swoje kroki. Na tysiąc pięćsetnym metrze da mi pan znak. W pobliżu będzie mieszkanie Dziwaka.

Poszliśmy do wioski. Z nieba lał się istny żar, ale dręczenie upałem Narkuskiego sprawiało mi przyjemność. To za twoją ambicję triumfowania nad Nietajenką, za to klepanie mnie po plecach – mówiłem sobie, patrząc, jak oblewa się potem. Szedł z odkrytą głową i jego czarna jak smoła czupryna skupiała promienie słoneczne. Mnie kapelusz chronił czoło i głowę i w ogóle, młodszy i szczuplejszy, lżej znosiłem upał. On jednak nie skarżył się nawet ani słowem, z namaszczeniem i uwagą licząc stawiane kroki.

Czterysta metrów od wierzby mineliśmy kolegiatę. Pod murem cmentarnym dwóch wiejskich wyrostków grało w karty. Na nasz widok zerwali się z miejsc, jakby czymś przestraszeni, potem jeden z nich krzyknął do nas:

– Panowie, dajcie trochę Kuwasowego złota!...

I przeskoczywszy mur uciekli za kolegiatę. Tam przeleźli przez niewysokie ogrodzenie cmentarza i zbiegli na pola.

Nie zwróciliśmy na nich najmniejszej uwagi. Prace na Uroczysku były ośrodkiem zainteresowania mieszkańców okolicznych wiosek i zapewne tylko umieszczona na ścieżce tablica z ostrzegawczym napisem chroniła nas przed inwazją ciekawych.

Po przejściu tysiąca metrów w gardle zmęczonego doktora sapało coś i pogwizdywało jak w zapchanej fajce. Piaszczysta droga prażyła się w słońcu i nagrzane powietrze ledwie dostrzegalnie drgało nad osypującymi się koleinami. Ale jeszcze kilkanaście metrów i oto

²¹ Metoda dedukcji (z łac.) – metoda rozumowania polegająca na wyprowadzaniu z ogólnego sądu szczegółowych wniosków.

skończyła się męka Narkuskiego, weszliśmy w ulice wsi ocienioną topolami, klonami i lipami. Zagrody były tu ubogie, drewniane, z grubo ociosanych bierwion ułożonych na zrąb, pokryte wyblakłą barwą wapna z dużą domieszką niebieskiej farbki. Słomiane dachy, z żółtymi łatami, jak wielkie i ciężkie garby zdawały się uciskać ściany, spychać je w ziemię, gdzieniegdzie aż wykrzywiając okienka, które wówczas przybierały filuterny, wesoły wyraz niby przymrużone porozumiewawczo oko ludzkie. Przed każdą chałupą od strony drogi był niewielki ogródek rozgrzebany przez kury, ze skąpą zielenią i kępkami zakurzonych kwiatów. Za chałupami podwórka z zielonymi kałużami cuchnącej gnojówki, obudowane w czworokąt ścianami drewnianych obór, chlewików i stodół, dalej zaś sady i paśniki przegrodzone żerdziami i wążutki strumyk cienka niteczką spływający ku bagnetom.

Wieś spoczywała w popołudniowej drzemce i gdyby nie żałosny ryk pozostawionej w sadzie krowy, robiłaby wrażenie wyludnionej. Na środku drogi w wygrzebanych dołkach chłodziły się stadka kur i nawet psy, w swobodnych pozach wyciągnięte w cieniu chałup, na nasz widok ledwie raczyły podnieść pyski, szczeknąć lub tylko niechętnie obnażyć zęby.

Narkuski oblizywał spieczone wargi i liczył, wytrwale liczył. A choć nie starał się już wyciągać głowy, aby dorównać mi wzrostem, i stupudowy ciężar upału przyciskał mu ją do ziemi, to przecież nie zgubił nic z podobieństwa do czujnego wyżła. Był to teraz nie wyżeł wietrzący zdobycz, lecz wyżeł na śladzie, z wilgotnym od gorąca nosem, zwieszonym nad świeżym tropem.

Wreszcie stęknął radośnie.

– Stop! To tutaj...

Lecz ja nagle zapomniałem zupełnie, po co tu przyszedłem, nagle straciłem poczucie czasu i rzeczywistości. Jak pod narkozą można by mnie ciąć i kłuć, a nie odczuwałbym większego bólu. Tak zawsze działało się ze mną, gdy zobaczyłem coś pięknego, gdy na ten widok ogarniała mnie wielka radość.

Oto trzy kroki od nas obok wyszczerbionej szczęki niskiego płotu, w gęstwinie dzikiego bzu, stał Chrystus Frasobliwy, drewniany świeatek na krzywym pieńku. Chyba przed dwustu laty z bezdusznego klocka drewna wyciosał go dłutkiem jakiś tutejszy nigdzie nie uczony rzeźbiarz-artysta. Tchnął w klocek swą samorodną umiejętność, przyodział rzeźbę w swój własny chłopski smutek.

Wysoki na łokieć Chrystus, z głową wielką od kłopotów, przykucnął na kamieniu, chudziutką ręką wsparł policzek i zamknawszy oczy pogрузił się w swym ogromnym smutku, w żalu nad światem pełnym łez i niedoli. Ileż prawdziwej i tragicznej rozpacz kryło się w delikatnym skrzywieniu wielkiej głowy, w grubych promieniach zmarszczek rozchodzących się od przymkniętych oczu, w zagięciu łokcia, w płacziwej fałdzie ust i w ręce bezsilnie opuszczonej na spiczaste od głodu kolano. Wielki, pijacki nos nie śmieszył, lecz jakąś rzewność wywoływał swym nieudolnym rysunkiem, płaszcz ze zwiniętych w pukle włosów i fałdzistej brody okrywał mu piersi i nagie barki, na biodrach tylko niewielka opaska chroniła

przed słońcem i chłodem. Chudzina, biedaczek, żebra mu można było zliczyć pod cienką skórą. Spracowane, kostropate palce rąk i to ogromne zmęczenie w całej przycupniętej figurce, i ten niezgłębiony frasunek nad losem człowieczym. Nie płakał, nie rozpaczał załamując ręce, a tylko się w swej boleści frasował pańską pychą i pogardą, pańskim bogactwem i samowolą, chłopskimi dybami i plagami, kijami ekonomów, ich oszustwem i nieustępliwością. Frasował się nieurodzajem, deszczem, który spadł nie w porę, słońcem, które wypaliło, słońcem, po której wygniło...

Latami chudzinę smagał wiatr i deszcz, i mróz, i śnieg, aż szerniał jak ziemia i stał się szary jak troska, aż sam stał się jednym wielkim smutkiem i frasunkiem.

I teraz, bezradny i samotny, jakby sięgnął ciepłą dłońią po moje serce...

Nie danym mi było jednak dopełnić pięknego przeżycia. Narkuski całym ciężarem swego beczułkowatego ciała wpełchnął mnie w gęstwą bzu, silnie otoczył ramionami i owiał gorącym szeptem:

– Spójrz pan! Człowiek w czarnej masce.

Oprzytomniałem. I dopiero teraz syknąłem z bólu, odtrącając od swej dłoni pijawki palców doktora. Ale jeden rzut oka wystarczył, abym przebaczył mu zadany mi ból.

W poprzek piaszczystej drogi, wymijając stado drzemiących kur wolniutko przechodził poszukiwany przez nas Dziwak. Tak, to był on, on na pewno, choć na twarzy miał czarną maskę. W zielonej rogatywce, bez płaszcza, w którym widziałem go koło kolegiaty i później obok płonącej wierzby, w koszuli tylko, w zielonych wojskowych bryczesach, wsuniętych w harmonijkę wysokich butów. Rozpoznać go było łatwo nie tyle po skłonności do rzeczy wojskowych, ile po charakterystycznie starczo przygarbionej sylwetce, która wryła mi się w pamięć jeszcze owej nocy pod kolegiatą. Poznałem go teraz z całą pewnością, mimo czarnej maski uczepionej pod daszkiem rogatywki.

Rozszerzonymi z ciekawości oczami, wtuleni w krzak bzu, śledziliśmy z Narkuskim każdy jego nich.

Nie widział nas. Szedł spokojnie, wolniutko, a jego spokój i powolność ruchów zdawały się nam ostrożnością człowieka skradającego się dla dokonania przestępstwa.

Na skraju drogi, w tym miejscu stykającej się z sadem ogrodzonym wysokim płotem, Dziwak przykleknął, rozsunął źle przymocowane sztachety i przez zrobioną w ten sposób dziurę wsunął swą niewielką postać. W sadzie stęknął prostując grzbiet, zakaszłał cicho, a potem poczłapał ścieżką między drzewami. Każdy jego postępek, każdy krok potwierdzał nasze podejrzenia, ba, zwiększał je wielokrotnie. Nie była to zwykła, niewinna wędrówka za zwykłą, niewinną sprawą. Uczciwy człowiek nie kryje twarzy, nie wchodzi do sadu dziurami w płocie.

Nie mieliśmy żadnych wątpliwości. Czarna maska na twarzy Dziwaka najlepiej demaskowała jego przestępcze zamiary. To on dwukrotnie skradł nasze narzędzia, to on podpalił samotną wierzbę. To on skradał się teraz do wypełnienia nowej, kolejnej zbrodni.

Jeszcze kilka jego powolnych kroków i oto drzewa w sadzie zasłoniły go przed naszymi oczami. Wtedy pochyliwszy się ku ziemi, aby uniknąć wykrycia, przeskoczyliśmy drogę. Najpierw ja, a za mną Narkuski dostaliśmy się do sadu przejściem wskazanym przez Dziwaka. Tu padłem plackiem na ziemię, pociągając za sobą do ziemi pękatą osobę doktora.

Dziwak wędrował przez sad oddalony od nas najwyżej o dwadzieścia metrów. Odwrócony plecami nawet nie domyślał się naszej obecności. Człapał noga za nogą, rozglądając się po konarach drzew owocowych jak ogrodnik, który interesuje się przyszłym zbiorem. Sad był rozległy, z altanką grubo obrośniętą dzikim winem. Nieco dalej stała gromada żółto pomalowanych uli.

– Tylko cicho! Ostrożnie, na litość Boską – sapał mi nad uchem Narkuski.

Mniemaliśmy, że Dziwak zmierza do altanki, lecz nie, wyminął ją obojętnie i dopiero wówczas raptem skręcił w bok, chowając się za zielonymi od liści ścianami.

– Za nim! Prędeż! – rozkazałem.

Na podobieństwo olbrzymich zajęcy wielkimi skokami dopadliśmy altany. Ale co teraz?

Gestem ręki dałem do zrozumienia Narkuskiemu, aby przykucnął. Zmęczony, zziębnięty, otwartymi ustami ciężko chwycił powietrze. Przycisnąwszy się do ściany altany zacząłem pełznąć do najbliższego narożnika, skąd znów mógłbym ujrzeć postępkę Dziwaka. Winna latorośl na altanie, od lat nie obcinana, sypała mi na głowę kurz i zeschnięte liście, do spoconej twarzy przylepiały mi się grube koronki starej pajęczyny. Gdzieś nade mną uporczywie bzykały owady i przyjemnie pachniało jałowcowym dymem.

– Ooooch, oooch! – w pewnej chwili zajęczał Narkuski.

– Oooo! – okrzyk bólu wzniósł się do góry i raptem umilkł, jakby doktor stłumił go w sobie resztką silnej woli. Potem Narkuski zbulgotał dziwacznie, zapiszczał skarżąc się na coś cicho.

Malutką chwilą oddzielony od widoku Dziwaka nie byłem ciekaw skarg doktora. Jeden wysięk ramion i oto ostrożnie wysunąłem głowę spoza narożnika...

– Cholera! Idiota! – głośno zakląłem do siebie.

I nie kryjąc się dłużej wstałem z ziemi, ocierając rękawem twarz z kurzu i przylepionych pajęczyn.

Dziwak klęczał przy ulu, pod którym dymiło pudełko z rozżarzonymi węgielkami. Wykurzał z ula pszczoły i przed ich żądlami krył twarz w czarnej pszczelarskiej masce.

– Idiotyzm – powtórnie określiłem wszystkie nasze domysły.

Koło głowy bzyknęło mi coś zgryźliwie, złowróźnie. Zrozumiałem nagle przyczynę dziwnych jęków i bulgotów doktora.

– Uciekaj pan, bo potną! Do altanki! – zawołał Dziwak.

Nie wahałem się z przyjęciem zaproszenia. Sterroryzowany pszczelimi żądlami, jak łania prysnąłem w ciemne wnętrze altany.

– Wiedziałem, że mnie pan odwiedzi, wiedziałem – gonilo mnie spod uli radosne powitanie czlowieka w czarnej masce.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

MÓWIĘ WIERSZE • „LETNISKO Z ATRAKCJĄ” • RIMBAUD • „KSIĘGA TRUCICIELA” • SPOSOBY NA CZARY • KTO PLANUJE MORDERSTWO? • JAK ZGINĄŁ KUWASA • DIABEŁ I URZĘDNICY JEGO KRÓLEWSKIEJ MOŚCI • PO CZYM POZNAĆ OPĘTANEGO? • EGZORCYZMY

Siedzieliśmy pod oknami niewielkiego domku, na szerokiej ławie w cieniu rozłożystej lipy. Tuż obok stał szczerbaty płot i prawie ręką dosięgnąć można było krzaku bzu z frasobliwym światełkiem. Z miejsc na ławie widzieliśmy piaszczystą drogę i sad z altaną i ulami, gdzie Narkuskiego użądliły pszczoły. Biedny doktor przykładał teraz do obolałego karku chustkę zmoczoną w occie i od czasu do czasu twierdził, że czuje, jak mu szyja puchnie od utkwionych w niej żadeł. Dziwak, czyli innymi słowy Klemens Just, kościelny z Opornej próbował leczyć doktora. Wyciągnął mu z karku trzy żądła, doradził przykładanie kompresu z octu, a gdy i to nie dało rezultatu, przyniósł z domu okrągły, koślawy stolik i półtoralitrowy baniaczek z porzeczkowym winem. Justowa, żona Dziwaka, tęga, wesoła kobieta z dwoma miłymi dołkami na policzkach, nakryła stolik obrusem i napełniła winem gliniane kubki, podobne do doniczek na kwiatki.

– Prosit!²² – krzyknął doktor. Zapominając o bólu i spuchliznie, jak kleszcz przypiął się do kubka.

– Na frasunek dobry trunek – dodał tonem wyjaśnienia. Bał się, że niezbyt pochlebnie ocenię jego ochoczość do wina.

Tu, pod lipą, popołudniowy upał stawał się łagodny. Chłodne, trochę cierpkie wino gasiło pragnienie i napełniało radością jak widok czegoś pięknego. Świat w mych oczach wypiękniał od razu po drugim pełnym kubku. Uczynił się kolorowy na podobieństwo łowickiej wycinanki. Było zielono, żółto, rdzawo, lilaróżowo i niebiesko. W cieniu drzewa siedzieliśmy jak pod kloszem z seledynowego szkła, a obok spod gęstwy liściastej kopuły, spadały ostre promienie słońca i drgały na źdźbłach trawy i dzikim bzie.

– Ostrożnie z winem. Jeszcze kubek, a będę gadał wiersze – ostrzegałem lojalnie.

²² Prosit! (z łac.) – na zdrowie, niech służy!

Just nie słyszał z powodu głuchoty. Narkuski klepnął mnie po ramieniu. Wskazał palcem gęstwę liści nad naszymi głowami.

– Nie każdy, kto pod lipą, to zaraz Kochanowski.

Dotknęła mnie ta uszczypliwość.

– Jan z Czarnolasu także z Jóstem przy winie siadywał. Z Jóstem Gracem, skarbnikiem królewskim. Zna pan: „Do Jósta”? No, cyk, panowie – trąciłem się kubkiem z kościelnym Justem:

– „Wiesz, coś mi winien; miejże się do flaszki – Bo cię wnet włożę, Juście, między fraszki”...

Myślę, że mistrz z Czarnolasu nie obraził się za małe przekręcenie rymu.

Flaszki na stoliku nie było, tylko baniaczek. Poza tym Just i tak niewiele słyszał, co się do niego mówiło. A swoją drogą bez upomnień sprawnie przelewał wino z baniaczka do kubków.

– Wiedziałem, że mnie pan odwiedzi, wiedziałem – z zadowoleniem kiwnął głową. – Od razu, jak pana nocą zobaczyłem koło kolegiaty, odgadłem, co pan za jeden. Ja mam nosa, panie, ho, ho! Na węch człowieka rozpoznam. Ten będzie słuchał o Kuwasie, oj będzie chętnie słuchał, pomyślałem. Odgadłem, no nie? Na letniaki do mnie tu jeden co roku przyjeżdżał. Przed wojną to było, panie. Tyż taki jak pan. Chudy, wysoki, w okularach. Gruby interes chciał ze mną zrobić. Ale potem cała awantura z tego wynikła. „Ty – powiada do mnie – Kuwasę będziesz udawał nocami, a ja ogłoszenie dam w gazecie. – Ty – powiada do mnie – wynajmiesz od chłopów wszystkie wolne izby w chałupach, a potem trzy razy drożej letnikom odnajmiemy”. I zrobił tak, panie. Zaraz pokażę...

Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni mocno sfatygowany portfel, a z portfela żółty od starości zatłuszczony wycinek z gazety:

UWAGA!

LETNISKO Z ATRAKCJĄ!

Dzikię ustronie, zabytek architektury romańskiej!
Co noc ukazuje się tu autentyczny diabeł!
Miłośnicy poszukiwania skarbów pod ręką mają
kopiec z legendarnymi skarbami diabła **KUWASY!**

A wszystko to za niewielką opłatą!

Wiadomość: Z. R., Warszawa. Żabia 18.

– Przeczytał pan? Letników do nas tego roku najechało, że za grube pieniądze chłopci każdy kąt odnajmowali. Myśmy też niemało zarobili. Tylko że potem awantura była. Trzy

noce diabła udawałem i koło kolegiaty straszylem. Jedna letniczka zemdląła ze strachu. Na czwartą noc mąż tej letniczki przyczał się, wyrznął mnie kołkiem i wszystko się wydało. Komary też się ludziom dały we znaki, ktoś rozgłosił, że od komarów malarii można dostać. I po tygodniu jakby wymiół letników z wioski. Ani jeden nie został.

Nalał nam wina. Odeszła mnie jednak ochota od picia. Zirytowała mnie ta historia. Dziwak owiany nimbem Kuwasy sympatyczniejszy mi się wydawał od tego łapczywego na grosze współnika przedwojennego oszusta. Justowa bystrzejsza była od swojego męża i natychmiast wyczuła zmianę w moim nastroju. Głośno huknęła na męża:

– Pleciesz, pleciugo. Co ty, głupi, myślisz, że ten pan chce z tobą ludzi oszukiwać?

Do Justa doszedł widać jej krzyk. Zaczął się sumitować:

– Przecież ja sam ze siebie tego nie robiłem. To tamten mnie namówił. Tamten. A jak ludzie byli tacy głupi, że wierzyli, to miałem nie brać pieniędzy? Dużo, myślisz pan, zarobiłem? Tamten wszystko zabrał i uciekł, jak się zrobiła awantura. Oj, miałem potem za swoje. Wstydu i urągań od ludzi. – Just aż się za głowę złapał. Swoim zwyczajem mówił chaotycznie, mieszał jedno z drugim.

– Ubogi ze mnie człowiek; kawałek sadu, kilka uli i ten domek to cały mój majątek.

Narkuski, któremu dobrze się już z głowy zaczęło kurzyć, a nos i policzki okryły się purpurą, poczał się ze mnie natrzęsać:

– Od razu pana Just rozpoznał: na węch. Może pan też da ogłoszenie do gazety? „Letnisko z atrakcją”, hi, hi, hi...

Ledwie mnie Justowa wybroniła:

– Nie to chciał mąż powiedzieć – wyjaśniła spoglądając z urazą na doktora. – Jego trzeba zrozumieć. Od czasu kontuzji, co ją miał w czasie wojny, bo granat się koło niego rozpękał, to myśli mu się czasem płaczą. Mąż mówił, że ten pan to z takich, co bajd o Kuwasie lubiejają słuchać. Chłop mój ciągle by gadał o Kuwasie. Ale nikt go nie chce słuchać. A jak znajdzie chętnego, to cieszy się, jakby przyjaciela napotkał.

Dziwak przecząco zamachał rękami. Doszło do niego tylko jedno słowo „Kuwasa” i nabrał podejrzeń.

– Nie słuchaj jej pan. Ona zawsze mi na złość mówi: „zdechł twój Kuwasa, zdechł”. A on żyje. Kto to słyszał, żeby diabła kłonicą zabili?

Rozczulił mnie tą wiarą w Kuwasę. Jednym tchem wychyliłem kubek i rozanielony aż ręce rozłożyłem, żeby uściskać kościelnego.

– Kooochany Dziwaku. Gaadaj mi, gaadaj, ile tylko zechcesz. „*Duch jakże piękny popadł w obłąkanie*”.²³

Gdzieś na drodze zagrał klakson samochodu. Narkuski zerwał się z ławy i ciężkim truchtem pobiegł za dom.

²³ „Duch jakże piękny popadł w obłąkanie” – cytata z szekspirowskiego Hamleta

– *Późno już, bólem brzucha z objęć snu wyrwany, Brat Kalotus księżowskie swe porusza ciało* – wyrecytowałem przypomniawszy sobie „Przykucnięcia” Rimbauda.²⁴ I po raz pierwszy w życiu odkryłem dodatnią stronę rozmowy z człowiekiem, który źle słyszy.

Nie chodziło jednak o ból brzucha. Za domem była furtka na drogę, po której płosząc kury i raz po raz trąbiąc, w tumanie kurzu nadjeżdżał Nemsta.

Narkuski zatrzymał go bez trudu. Gorzej było z nakłonieniem do udziału w naszej biesiadzie. Pozostawiwszy samochód na skraju drogi, z niechętną miną dał się Nemsta przyprowadzić do stolika pod lipą. Narkuski tłumaczył mu zawile:

– Pijemy na cześć Kuwasy, rozumiesz? Dziwak nie okazał się Dziwakiem, rozumiesz? Nie, nie tak. To znaczy Dziwak rzeczywiście jest dziwakiem, tylko że nie on ukradł nasze narzędzia, rozumiesz? On jest totumfackim diabła Kuwasy. Zdajesz sobie z tego sprawę? „Letnisko z atrakcją”. Hi, hi...

Zataczając się ze śmiechu klapnął na ławkę. Nie wiem, czy Nemsta zrozumiał coś z tych wyjaśnień. Z jednego tylko na pierwszy rzut oka zdał sobie sprawę. Z tego, co jeszcze do niedawna było w pustym baniaczku.

– Ech, wyyy! – rzekł krótko. Ale bez najmniejszego akcentu potępienia.

– Hm. Ciekawe, bardzo ciekawe – radośnie chrząknął Narkuski, widząc, jak gościnnie Just nadbiega z nowym baniaczkiem.

Rychło zaspokoił ciekawość kubkiem wina.

Pocziwego Dziwaka – bo tak będę go nadal nazywał – wyraźnie radowała nasza liczna obecność. Przybycie brodatego Nemsty wprawiło go w jeszcze lepszy humor i ukazało, jak bardzo jest gościnnie. Z żywością, której się po nim nie spodziewałem, co kilka minut dreptał do domu i coraz to przynosił nam coś nowego: wczesne jabłka, talerz wiśni; nawet słoik z małosolnymi ogórkami postawił na stoliku, gdyż, jak mu się wydawało, Narkuski na coś takiego miał właśnie ochotę. Czuł w każdym z nas, można by rzec, potencjalnego słuchacza swych bajd o Kuwasie i stąd chyba ta jego radość i gościnność.

W pewnej chwili stuknął się dłonią w czoło, znowu pobiegł do domu, a wróciwszy wręczył mi gruby skórzany notes.

– Oj, ta moja głowa, biedna głowa. Na śmierć zapomniałem. Toż ja ten zeszyt już trzy dni temu znalazłem. Obok kolegiaty leżał pod samiotkim murem. W skórze, zaraz sobie pomyślałem, że któryś z panów go zgubił. A najpewniej to pan, bo i ja tam pana widziałem, i żona gadała, że klucze panu dawała do kościoła. Odnieść zamiarowałem na Uroczysko, jakoś zeszło mi, potem na śmierć zapomniałem... Dawno go pan zgubił, prawda? Jak go znalazłem, był całkiem zamoknięty od deszczu. W środku pisanie trochę się zamazało...

Sam nie wiem, dlaczego od razu nic powiedziałem Justowi: „Nie, to nie mój notes”... Ale tyle gadał, że zdążyłem notes przekartkować. Nie wszystko w nim deszcz zatarł i zamazał. Przeczytałem kilka zdań i aż mi dech zapało ze zdumienia.

²⁴ Jean A. Rimbaud (1854-1891) – wybitny poeta francuski.

Niewyraźnym mruknięciem przyznałem się do zguby i podziękowałem za odnalezienie. Oszołomiony, jednym haustem wychyliłem kubek i kilkakrotnie odetchnąłem potężnie, czując, że robi mi się gorąco. Jak przez ścianę słyszałem głos Nemsty wyrzekającego na partactwo miejscowego kowala, że podwozie w „Ifie” nadwerężone i nie potrafił czegoś tam zespawać. Narkuski śmiał się, jakby trzmiel huczał.

Księga truciciela, księga truciciela uparcie powtarzałem w myślach, nie znajdując innego określenia dla skórzanego notesu.

Nikt nie dostrzegł stanu mych uczuć. Narkuski i Nemsta, zajęci rozmową, nawet nie zauważyli wręczenia mi notesu. Just szczęśliwy, że zwrócił mi zgubę, wyciągnął znowu z portfela wycinek z gazety i przy wtórze śmiechu doktora tym razem Nemście opowiadał historię „letniska z atrakcją”.

Dyskretnie podniosłem się z ławy. Jakby dla rozprostowania kości poszedłem w sad, między drzewa. I dopiero w obrośniętej winem altance, niewidoczny dla nikogo, łąpczywie rzuciłem się na treść trochę zamazanych stroniczek notesu.

Kartka za kartką potwierdzały określenie, które narzuciło mi się już po kilku przeczytanych zdaniach.

Zapiski robione były atramentem, pismem wykształconego człowieka. Również dobór słów świadczył o sporej kulturze piszącego. Mimo to jednak z początku narzuciło mi się przypuszczenie, że robił je dziad-zielarz z szałasów na łąkach. Ich bzdurność i naiwność były miejscami aż humorystyczne:

SPOSÓB NA WRZODY OD CZARÓW. *Gdyby się tak w wrzody i złe znaki otworzyły i gubić nie chciały, a bóle były srogie, w taki sposób z tym postępować: dodać psiego sadła 4 deka, kapłoniego 12 deka. Jemioły, leszczyny dwie garście usiekawszy drobno, utłuc dobrze na sok i włożyć to do glinianego garneczka, przyłożywszy do tego wzwyż mianowanego dwojakiemu sadła. Zmieszać to dobrze wespół i w garneczku mocno zawiązać, niech całe dwa miesiące postoi na słońcu i będzie z tego jakoby balsam zielony, który należy przykładać.*

SPOSÓB NA ZACZAROWANIE I CZAROWNIKA. *Wziąć chorego od czarów uryny garnuszek niemący, do którego włożyć garść dużą ziela zwanego Durant i zalepiwszy pokrywą na wierzchu garnka, przystawić do ognia i z wolna warzyć, a tak na czarownika, co chorobę zadał, przypadną bóle i mdłości.*

INNE REMEDIUM. *Dostać świeżo zniesionego kurzego jajka, choćby jeszcze i ciepłe było, włożyć je do garneczka i w moczu swoim do ognia*

przystawić, aby to wszystko zawrzało. Kiedy już do połowy wywre, tedy to na ciekącą wodę wylać, a w jaję uczyniwszy dziurę, w mrowisko włożyć, a tak to maleficium²⁵ zginie i chory zdrowym zostanie.

INNE REMEDIUM. *Wziąć paproci korzeń, warzyć go w ługu, z dębowego popiołu uczynionym, trzy albo cztery kropelki krwi z lewego ucha od szczenięcia młodego dodać. Jeśli chory mężczyzna, to z pieska, a jeśli kobieta – od sabaczki. I to przykładać na bolące miejsce.*

Moc leczniczą przeciw czarom mają: ziele rosiczki, bylica osobliwie biała, ruta polna. Można też ścilię albo cebulę. Dioscorides przeciw czarom w drzewiach zawiesić, albo też skórę z głowy psa...

Zastanawiająca była swoboda, z jaką właściciel zgubionego notesu posługiwał się łacińskimi słowami. Nie, to nie dziad-zielarz – doszedłem do wniosku. Dziad z łąk, brudny, niechlujny, w żadnym razie nie wyglądał na człowieka znającego łacinę.

Wśród bzdurnych i humorystycznych zapisek o lekach przeciw czarom pełno było i innych. One to właśnie napełniały przerażeniem i kazały sądzić, że właściciel notesu nic leczeniem, lecz raczej truciem się zajmował:

NARECZNICA SAMCZA. *Rośnie w cienistych lasach. Kłocze ma masę żywiczną z trucizną. Zalażyć, a będą mdłości, wymioty, biegunka, drgawki i utrata świadomości.*

SOSNA ZWYCZAJNA. *Z terpentyny dawka śmiertelna dla dorosłego – 100 g.*

OSTROŹKA POLNA. *Wywoła drgawki.*

CIECIORKA PISTRA. *Nasiona spowodują mdłości, wymioty, drgawki i śmierć.*

Brrr! Straszne!...

BUKSZPAN. *Wymioty, biegunka, śmierć z uduszenia.*

WILCZOMLECZ. *Rośnie w zbożach, w zaroślach. Szkodzi sercu.*

²⁵ Maleficium (łac.) – zły uczynek, przestępstwo, tu: urok rzucony przez nieżyczliwą osobę.

SZCZWÓŁ. *Rośnie na śmietniku, rumowiskach, na przydrożach. Omylić go można z pietruszką. Cały truje, czyni ospałym, daje podwójne widzenie, paraliżuje od dołu do góry, po 4 godzinach śmierć od uduszenia.*

NAPARSTNICA. *Truje wywar z liści. Na śmierć 2,5 g liści do wywaru...*

I tak dalej, i tak dalej. Im dalej czytałem, tym nieprzyjemniej mi się robiło. Rady, wskazówki, sposoby przyrządzania napojów, które chyba całe armie mogłyby wytruć. I co najciekawsze, a raczej najniebezpieczniejsze, rady te i przepisy nie dotyczyły (rudnych do otrzymania środków chemicznych, ale środków prostych, najłatwiejszych do uzyskania, ot, najczęściej spotykanych roślin, które po przyrządzeniu mogłyby działać jak najstraszniejsza trucizna.

BIELUN. *Rośnie na śmietniskach. Truje korzeń i nasienie. Dusi śmiertelnie.*

POKRZYK WILCZA JAGODA. *Kilkanaście jagód spożyć, najpierw będzie gorączka, padaczka, szal, a potem śmierć od uduszenia.*

Poczułem, jak po skroni spłynęła mi duża kropla potu. Kim był właściciel „Księgi truciciela”? Dlaczego robił te okropne zapiski? Kogo miał zamiar truć? Czego szukał koło kolegiaty? Czemu kręci się w okolicy Uroczyska? Czy jego obecność związana jest z naszym pobytem na wysepce? A może to właśnie on podaje się za Kuwasę, straszy ludzi, aby ich przeciw nam podburzyć, zapalił wierzbę, dwukrotnie ukradł narzędzia? Chciał nas wypłoszyć z Uroczyska, a gdy mu się to nie udało, czy nie spróbuje chwycić się innych, bardziej radykalnych sposobów, na przykład jednej z licznych znanych mu trucizn?

Narzuciły mi się dziesiątki pytań. Ale na żadne z nich nie byłem w stanie dać zdecydowanej odpowiedzi. I nie to było jeszcze najgorsze. Nie wiedziałem również, jak wypada mi postąpić, jak przeciwdziałać niebezpieczeństwu. Czy całą sprawę odnalezienia „Księgi truciciela” zachować w tajemnicy i samemu za wszelką cenę starać się odkryć jej właściciela? Lecz jeśli nie uda mi się tego dokonać (nie widziałem zresztą sposobu), jeśli mimo mej czujności truciciel osiągnie swoje, otruje nas wszystkich lub tylko kogoś z naszej ekipy? Czy wezmę na swoje sumienie czyjaś śmierć lub ciężką chorobę?

Nie, nie. Po stokroć nie. Wszyscy członkowie naszej ekipy muszą dowiedzieć się o odnalezieniu „Księgi”, wszyscy muszą być uprzedzeni o niebezpieczeństwie.

Ale swoją drogą poważniej niż dotąd powinienem zająć się zdemaskowaniem diabła Kuwasy. Można go było bagatelizować, gdy straszył, gdy kradł narzędzia i płatał złośliwe figle. Teraz jednak chodziło o życie ludzkie. O życie wszystkich członków ekipy.

...Zawisło nad naszymi głowami podwójne niebezpieczeństwo. Podwójne, bo nie wiadomo było, skąd na nas spadnie, kto je przyniesie.

Dziwak odpadł z kręgu osób podejrzanych. Okazał się poczciwym zdziwaczalym kościelnym. O jego zupełnej niewinności przekonywał mnie choćby fakt, że właśnie on wręczył mi „Księgę truciciela”. Więc może jednak dziad-zielarz? Nie, w żadnym wypadku nie mogłem uwierzyć, aby wygląd ciemnego, brudnego chłopa był tylko maską, pod którą ukrywał się wykształcony przestępca. Owszem, dziad zdolny był do zbrodni, wysłał nas przecież na śmierć w bagnach, zdolny więc również byłby i do otrucia. Znał się chyba również na trujących właściwościach roślin. Ale to na pewno nie on poczynił te wszystkie straszne zapiski w notesie. Więc kto? Kto?

Ktoś z jego otoczenia, ktoś żyjący z nim blisko.

Bachura...

Tak, Bachura! Jest najprawdopodobniej człowiekiem wykształconym, dziad-zielarz przekazał mu swoje wiadomości o roślinnych truciznach, a tamten zapisał je w notesie, który następnie zgubił. Obydwaj, dziad-zielarz i Bachura, są ludźmi, od których należało się spodziewać niebezpieczeństwa. I w tym kierunku powinno iść śledztwo w sprawie diabła Kuwasy.

Odnaleźć dziada-zielarza. Odkryć, kim jest Bachura. A tym samym zdemaskować złośliwego, zbrodniczego diabła Kuwasę.

Wstrząśnięty podejrzeniami i świadomością grożącego nam niebezpieczeństwa, a jednocześnie mocnym postanowieniem unieszkodliwienia Kuwasy – wróciłem spacerkiem do stołu pod lipą.

Trwała tu w najlepsze wesoła, beztroska zabawa. Nemsta nieustannie gładził swoją czarną brodę, co było u niego oznaką najwyższego zadowolenia. Odrywał ręce od brody tylko wtedy, gdy sięgał po kubek z winem, które pił powolnymi, statecznymi łykami. Narkuski czerwony na gębie siedział napuszony jak indor, a jeśli ktoś powiedział cokolwiek wesołego, najpierw poczynął trząść mu się brzuszek, a potem przykładał kubek do ust i bulgotał winem, Dziwak opowiadał Kuwasowe historyjki, zgrywając się przy tym jak kiepski aktor, modulując głos i przewracając gałkami oczu, kiedy chciał wywołać wrażenie grozy i strachu.

Cichutko przysiadłem na ławie i nieśmiało sięgnąłem po wino. Czułem, jak po pierwszym kubku odwaga powolutku rozlewa mi się po żyłach. Jeszcze kubek i spoczywająca w mej kieszeni „Księga truciciela” wydała mi się mniej niebezpieczną. Po trzecim zaś kubku czułem się tak pewny siebie, jakby zamiast Dziwaka siedział koło mnie tajemniczy Bachura, po którego wystarczyło sięgnąć tylko ręką i aresztować.

Tymczasem Dziwak opowiadał:

– Za pruskich rządów to było, kochani panowie. Za Prusaków, co jak te pluskwy rozleźli się po kochanej Polsce. Tam, gdzie pałac koło Poświerku, fortalicje²⁶ chcieli wybudować, czy jak to się tam u nich nazywa. Bez całutki miesiąc ponoć okopy chłopom ryc kazali, a

²⁶ Fortalicja (z łac.) – mała warownia.

naganiali przy tym do roboty, że i siódme poty ludziom wychodziły. Chłopów z całej okolicy spędzili, batami bili, żeby robota szła prędzej, żeby prędzej te ich okopy były gotowe. A Kuwasa, kochani panowie, jak to Kuwasa. Ludziom krzywda, jemu radość. Za Prusaka się przebierał, po prusku szwargotał, przy robotach się kręcił i najwięcej chłopów prał batem po plecach. Wieczorem zaś, kiedy ludzie zmęczeni do wiosek się rozchodzili, on na bagna zmykał, światełka zapalał, wodził ludzi po sapach²⁷, w topiel wciągał i ciągle szkody robił. A rady na niego nijakiej. Kto diabłu zdzierży? Kto diabła zmoże? Kto diabła przechytry? Oj, zdało się ludziom, że ostatnie biedy na nich przyszły. Klęli też na Kuwasę. I jednego mu nie mogli darować, że polski diabeł z Prusakami się pokumał, że wespół z nimi szkodzi narodowi.

A był wśród pracujących na fortalicji jeden odważny śmiałek żwawy i bystry. Stacho go nazywali. Okoliczne bagna i chrapy²⁸ znał jak swoje pięć palców u ręki, ścieżki i ścieżynki, drogi i dróżki przez, moczary. Chwalił się też Stacho przed ludźmi, że niech no jego Kuwasa spróbuje nocą mamici, to pokaże, co potrafi. Nawet i diabłu nie daruje i nie da się ukrzywdzić. A jak przyjdzie co do czego, to i kłonicą mu przyłoży. Taki to był ten Stacho...

Jednego razu zdarzyło się, iż ów Stacho powracał wozem z roboty do domu, bo tego dnia przyszło mu własnymi końmi pracować przy fortalicji. Zmachał się przy robocie, utrudziły się i konie. Śmiga więc Stacho bacikiem nad końskimi karkami i spieszy do domu na kluski z mlekiem. Drogę chciał skrócić, a ponieważ znający był dobrze, dróżką konie poprowadził. Noc była, panowie, piękna jak rzadko, pogodna, księżyc na niebie wisiał jak rybie oko...

Nagle, co to? Koło trzciny stoi coś czarne, wielgachne, okropne, istny potwór. Gęba przeraźliwa, wywiedła jak stary liść kapusty, żółta jak u trupa. A w gębie sterczą cztery zęby dwucalowe i fajeczka cuchnąca siarką. Na głowie potwora nietoperz w najlepsze sobie siedzi. Ubrany był potwór z pruska, ichnią modą w aksamitnym kaftanie z wielkimi, białymi guzkami, w także majtki spięte u kolan białymi sprzączkami; nóżki cieniutkie jak u kozła oblekał paskudnik w czarne jedwabne pończochy i pantofle zdobne w białe zapinki. Miał też ten bies nie jeden ogon, ale dwa ogony: jeden, jastrzębi, spadał od stanu kaftana, a drugi, jakby woli, zwieszał się spod tkwiącego mu na głowie nietoperza.

„Wszelki duch Pana Boga chwali” przeraził się nasz Stacho.

Koniska jego, jak tylko poczuły zapach siarki, stanęły dęba, skoczyły w bok, poplątały postronki i w bagno się wtarabaniły gwałtownie, aż Stacho na łeb, na szyję z woza się na ziemię skolebał.

„W imię Ojca i Syna. To ty, Kuwaso?” – zapytał Stacho rezolutnie, bo i rezolut z niego był wielki.

„Ja. Ja. Ja” – wymruczał potwór i pod sam nos Stachowi pyknął ze śmierdzącej fajeczki.

W gadanie z diabłem się Stacho nie wdawał. Wyrwał kłonicę z woza, machnął nią raz i drugi, i prosto w okropny łeb paskudnika dziobnął. Powalił go w błoto, aż mu ono na twarz,

²⁷ Sapy (ludowe) – bagna.

²⁸ Chrapy (ludowe) – nieużytki, zarośla.

prysnęło. Zaraz też wrzasnęło na bagnach jakieś ptactwo, czarny nietoperz zeskoczył z głowy potwora. Dogonił go Stacho, bułami w błoto wdeptał.

Potem w te pędy, nie oglądając się za siebie, wyprowadził konie z chrapów, rozplatał postronki, przyprzągnął konie do woza i pojechał do wioski. A kiedy zdrów i cały do domu przybył, pochwalił się ze swego czynu.

Ludzie jak to ludzie. Jeden uwierzył, drugi za przechwałki przyjął Stachowe gadanie. Niektórzy nawet i wyśmiewać się ze Stacha zaczęli:

„Ty głupi, czy co? Diabła kłonicą żeś zabił? Oj, durny, durny, byle czego nie opowiadaj, bo jeszcze złego wywołasz i szkody sobie napytasz...”

A Stacho nic, tylko ciągle opowiada, że diabła Kuwasę ubił na bagnach. „Kto chce – powiada – zobaczyć go zabitego, niech rankiem pójdzie ze mną na moczary”. I co, panowie, myślicie? Nie znaleźli się odważni? Ciekawość nawet strach przewycięży. Kilku chłopów o świtanu ruszyło ze Stachem na bagna. Ino im serca w piersiach tłukły, żeby diabeł nie ożył i nie rozprawił się z nimi za Stacha. Z diabłem wiadomo przecie, niełatwa sprawa. Na trzęsawiskach odwaga ludzi opuściła. Do samego krzaka, gdzie Stacho ubił Kuwasę, dojsć nie śmieli, tylko obeszlą go z boku i z daleka spoglądali. Ano, prawda się okazała. Na błocie leżało cosik czarnego, straszdyło okropne, a nie opodał i nietoperz z przetrąconym skrzydłem. Postalą ludźmi trochę, popatrzyli, poszeptali i ruszyli na fortalicję do roboty, jak co dzień. Gęb jednak na kłódkę zamkniętych nie trzymali, ale opowiadali innym, co też słyszeli i widzieli. Rozniosło się po ludziach, że Kuwasa zabity, że nie będzie nikomu dokuczał... Tymczasem dozorczy robót chodzą wśród ludzi i pytają, czy nie spotkali gdzieś prześwietnego Regierungsratha, który wyszedł wczoraj wieczorem na spacer w stronę trzęsawisk i jeszcze do dziś nie wrócił. Potem Prusaki aresztowały i Stacha, i tych chłopów, co rankiem martwego Kuwasę poszli oglądać. Do więzienia ich wtrącili, jako że prześwietnego Regierungsratha zamordowali na trzęsawiskach. A zaś Regierungsrathowi wielki grobowiec na Czartorii wybudowano...

Skończył Just opowiadanie. Zapewne na astmę trochę cierpiał, bo ze zmęczenia poświstywało mu w piersiach jak w fujarce.

– Nie do wiary. Nie do wiary – pięścią w stół walnął zachwycony Nemsta.

– Ciekawe, bardzo ciekawe – kręcił głową Narkuski.

A więc na Czartorii, w grobowcu wśród tui, spoczywa prześwietny radca rządowy? – przypomniałem sobie wędrówkę z Ireną.

– A co było potem? Co było potem? Powiesili Stacha Prusacy? – wrzeszczałem w ucho Dziwakowi.

Nie odpowiedział, nie dosłyszał zapewne moich pytań. Chwycił ze stołu baniaczek, resztę wina rozlał do naszych kubków i podreptał do domu, po nową porcję.

– Kuwaaasooo, czy ci nie żaaaaal??? – zapiałem pijackim tenorem.

Nemsta i Narkuski natychmiast podjęli tę bojową „góralską” piosenkę, o której najbardziej stateczni ludzie przypominają sobie po którymś tam kieliszku. To, że „górala” zastąpiłem Kuwsą, było jak najbardziej na miejscu i na czasie. „Piosenka została uterenowiona” – rzekłby mój naczelny redaktor.

Dziwak wrócił pod lipę z pełnym baniaczkim w jednej ręce, a z podartymi papierzyskami w drugiej i powiewał nimi jak zdobycznym sztandarem.

– Moja kobieta powiada: „zdechł twój Kuwasa, zdechł”. A on żyje, panowie. Kto to słyszał, żeby diabła kłonica zabił? Nie diabła Stacho zabił, tylko prześwietnego Regierungsratha. Sądził go Prusacy za morderstwo, a on zaprzysiągł, że diabła zabił. Głupiego kmiotka przed sądem pruskim udawał, a przecie całej prawdy dojść nie było trudno. Ten ich Regierungsrath bardzo się chłopom dał we znaki, batem ich prał, wymyślał, kopał co opieszalszych. Niemało też chyba za skórę zalazł Stachowi. A że rezolutny był to chłopak, wieczorkiem napotkał samotnie idącego Regierungsratha i utłukł go kłonicą. Z zemsty i ze złości. Potem, jak się wszystko wydało, głupiego udał, a mądrzejszy był jak sędziowie pruscy. I co myślicie, panowie? Na śmierć go skazali? Nieprawda. Sześć tygodni aresztu dostał. Tu, w tych papierach, wszystko jest powiedziane. Cyrkularz²⁹ to dla księży, co mieli go ludziom w kościele odczytać. Dawny ksiądz mi to pokazał, a jak umarł, to mu zabrałem i u siebie cyrkularz trzymam. Nikt mi już nie powie, że zdechł mój Kuwasa...

Miał rację Just. W starym podartym cyrkularzu wyraźnie było napisane:

...Te wszystkie powody wzięwszy pod uwagę prześwietny Kriminalgericht³⁰ w wyroku swym stwierdził, że pracowity Stacho w zamiarze rozmyślnego morderstwa na osobie Regierungsratha jego królewskiej mości króla pruskiego za niewinnego uznany został. Jednakże za zabójstwo bez złego zamiaru na karę sześciu tygodni aresztu skazał...

I dalej powiadamiano ludność polska:

...iż osoby w stroju czarnym, nie krajowym, w aksamitnych z metalowymi jasnymi guzami kaftanach, również w aksamitnych do kolan majtkach, czarnych pończochach i pantoflach ze sprzączkami nie są bynajmniej diabłami, biesami, Kuwasami lub innego rodzaju złymi duchami, lecz urzędnikami. Że ludzie ci nie noszą na głowach nietoperzy, ale stosowne kapelusze trzyrożne. Że również nie są dwuogonowcami, ale że to, co za ptasi ogon poczytywano, są to poły od kaftana a to, co się na plecach

²⁹ Cyrkularz (z łac.) – okólnik.

³⁰ Kriminalgericht (niem.) – sąd karny.

wałęsa, jest to narodowy niemiecki harcap.³¹ Że więc się zaleca dla nich wszelki szacunek i poważanie...

– Mądry czy głupi kmiotek, he? – zawołał z triumfem Dziwak. I dodał: – Żyje Kuwasa, czy go zabito, he?

– Żyje – potwierdziliśmy chórem. Chciałem zaintonować: „sto lat, sto lat”, ale Narkuski mi przerwał. Przypomniał sobie, że jest naukowcem, i zaczął wyjaśniać:

– Gdyby tak ten Stacho wpadł w ręce sadu wojskowego, ani chybi, że odpowiedziałby swoją głową. Miał szczęście i stanął przed sądem kryminalnym. Pruski kodeks kryminalny miał tyle przeróżnych paragrafów, że i skończyło się tylko na sześciu tygodniach aresztu. Ciekawe w tej sprawie jest i to, że u owego Kuwasy albo Regierungratha widziano cienkie jak u kozła nóżki. Otóż dawniej uważano, że diabeł właśnie za kozła się najczęściej przebiera. Nawet ksiądz Chmielowski w swoich „Nowych Atenach albo Akademii wszelkiej scyencyi pełnej” twierdzi: *Czart najbardziej się delektuje osobą kozła...* Nie zawsze jednak kozła udaje. W tychże „Atenach” napisano, że diabeł dał się widzieć św. Antoniemu Pustelnikowi w postaci zwierząt drapieżnych, św. Pachomiuszowi w postaci koguta, św. Hilarionowi w postaci pliszki, Apellesowi Pustelnikowi i Wiktorowi jawił się jako urodziwa panna. *A bierze czart na siebie ciało z powietrza, z grubych waporów³² ziemskich. Ot, co. Czart częstokroć choć nie ma gęby i języka, przecież uformowawszy sobie ciało z powietrza i grubych waporów ziemskich mówi w tym ciele mową artyficyjną³³, która się zdaje mieć voces articulatas³⁴, a nie są takie.* Pod różną też postacią może czart wejść w człowieka. Gdy zaś w niego wstępuje, jak powiada ksiądz Chmielowski, *ma diabeł do człowieka ingres³⁵ którędykolwiek, najczęściej jednak przez usta at per secessum, czyli przez odbytnicę, i tymiż wychodzi miejscami. A jeśli permittente Deo, czyli za pozwoleniem Boga, wstępuje czart w człowieka, wtedy czyni go opętanym i jest w nim albo w całym ciele, albo też w którejś części, najbardziej w sercu, w duszy zaś być nie może, bo dusza jest nierozdzielna.* Diabły zresztą to są osobniki bardzo towarzyskie. Wystarczy, że jeden się do człowieka dostanie, a woła za sobą całą czeredę. Święty Ubald, sławny egzorcyta, wypędził raz ze swej pacjentki aż czterysta diabłów, ot co...

Zrobiło się nudno i sennie. Nadchodzący wieczór niebieskim popiołem przyprószył wokół nas seledyn liści. Uczyniło się szaroróżowo, jakby ktoś pod wielki klosz powietrza włożył papierek lakmusowy. Just przymknął powieki gotów do drzemki. Nemsta pił drobnymi łykami nachyliwszy głowę do kubka, zagłębiając się w swoją brodę i własne myśli. Tylko ja jeden byłem cierpliwym słuchaczem gadaniny Narkuskiego.

– Po czym poznać opętanego przez diabła? – rozwodził się z pijacką wytrwałością. – Ksiądz Chmielowski takie wymienia znaki opętania: *Jeśliby kozłęciny przez trzydzieści dni*

³¹ Harcap (z niem.) – warkocz noszony przez mężczyzn w XVII i XV wieku.

³² Wapory (z łac.) – wyziewy.

³³ Artyficyjny (z łac.) – sztuczny, nienaturalny.

³⁴ Voces articulatas(łac.) – dźwięki artykułowane.

³⁵ Ingres (z łac.) – wejście, wstęp.

jeść nie chciał... Jeśli ma oczy straszne, członki słabe... Jeśli nie chce mówić psalmu „Miserere mei Deus...”³⁶ Niektórym głowa dziwnie ciąży... Innym mózg ściśniony bardzo zdaje się... Innym coś wydaje się rzucać w żołądku jak gałka albo jaszczurka, żaba, skąd womity ciężkie... Czasem nad miarę dyskursują, a nie wiedzieć, co by to był za dyskurs.

Nagle Nemsta przechylił do końca kubek z winem, a potem objął mnie czule.

– Kochany, drogi. Z Ireną cię ożenię. Ożenimy cię z moją asystentką. Gody weselne wyprawimy...

Poderwałem się przerażony.

– Co? Co? Oszalałeś? – wybełkotałem.

– Ożenię cię. Ożenię z Ireną – powtarzał z uporem, choć niewyraźnie bo język miał od wina stwardniały. Przy tym „głowa ciążyła mu dziwnie”.

– Oszalał! Zły duch, Kuwasa go opętał! – wrzasnąłem.

Narkuski z ogromną powagą powstał z ławy, wyciągnął ręce nad głową Nemsty.

– Mów psalm *Miserere mei Deus*...

Brodacz przecząco pokręcił głową.

– Ożenię... ożenię go z Ireną – mruczał.

Wówczas Narkuski rozpoczął „egzorcyzmy”³⁷:

– *Apaga Satanas!* Zgiń, przepadnij, szatanie! Zły duchu, opuść ciało poczciwego człeka. Zaklinam cię! *Coniuro te!*...

³⁶ *Miserere mei Deus* (łac.) – zmiłuj się nade mną, Boże.

³⁷ *Egzorcyzmy* (z łac.) – zaklinanie złych duchów, wypędzanie diabła przez zaklęcie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

**ZNIKNIĘCIE NIETAJENKI • PRZEKONUJĘ JOASIEŃ O ISTNIENIU
DIABLÓW • JAK ZOSTAŁEM KUWASĄ • IDIOTKA • NARKUSKI ŻĄDA
TORTUR • DZIWNE POSTĘPOWANIE BABIEGO LATA •
ARCHITEKTURA I HISTORIA • POD CZYM „WSZYSTKO ZOSTAJE
ZŁOŻONE”? • DIABEL W GROBOWCU • NOCNA WYPRAWA NA
CZARTORIĘ • CO ODNALEŻLIŚMY W GROBOWCU
REGIERUNGSRATHA**

Następnego dnia rano zauważyliśmy zniknięcie doktora Nietajenki. Nie wrócił na noc na Uroczysko. Mało tego. Okazało się, że pogadanka w Opornej nie odbyła się, bo doktor nie zjawił się na nią. Zniknięcie Nietajenki musiało nastąpić po godzinie szesnastej. O drugiej po południu widziano doktora na obiedzie, o trzeciej Dryblas zauważył go oglądającego przed barakiem podrzuconą czaszkę. Nikt nie widział doktora po godzinie szesnastej. Nikomu nie opowiedział się, dokąd i po co odchodzi.

Nie pozostało mi nic innego jak powiadomić całą ekipę o znalezieniu „Księgi truciciela”. Ostrzegłem przed niebezpieczeństwem, nawoływałem do czujności. I trzeba przyznać, zarówno fakt zniknięcia Nietajenki, jak i ów notes z przepisami na trucizny, w połączeniu z tym wszystkim, cośmy do tej pory przeżyli uczyniły ponure wrażenie. Na Uroczysku zapanował grobowy nastrój.

Nemsta szukając rady zamknął się ze mną w pokoju.

– Nie wiem, czy potrzebna jest ta panika. A może Nietajenko po prostu gdzieś się zawieruszył i niedługo nadejdzie? Ja go znam. Straszny dziwak. Może usłyszał o jakiejś rasowej kurce i polazł po nią na dziesiątą wieś.

(Ach, więc i on znał kurzą manię doktora?)

– Co zaś do tego dziwnego notesu – zastanawiał się Nemsta – to rzeczywiście ciekawa sprawa. Należy być ostrożnym, kto wie, jakiego figla gotuje nam Kuwasa. Ale co począć? Czekać z założonymi rękami? Prace na Uroczysku ledwie rozpoczęte, czas ucieka; nie mamy

narzędzi. Chciałem dzisiaj, mimo iż resory w wozie mam nadszarpnięte, wyruszyć do Warszawy po nowe narzędzia. Czy jednak wolno mi to teraz zrobić?

– A kiedy ewentualnie wróciłbyś z Warszawy?

– W nocy. Najpóźniej jutro rano.

– Jedź! Niebezpieczeństwo nie jest chyba aż tak wielkie, żebyś musiał tu siedzieć i czekać, nie wiadomo zresztą na co. Jeśli Nietajenko nie zjawi się na Uroczysku do południa, dam znać milicji...

I Nemsta pojechał do Warszawy.

Całe przedpołudnie dowiadywałem się w okolicznych wsiach o doktora, potem odwiedziłem posterunek milicji. Nigdzie nie napotkaliśmy nawet najdrobniejszego śladu, który wskazałby nam, gdzie znajduje się Nietajenko. Dwóch milicjantów natychmiast wsiadło na rowery i pojechało do okolicznych wiosek. Byłem bardzo niespokojny, ale nadrabiałem miną. Podsycanie paniki w naszej ekipie nie służyłoby niczemu dobremu. Podczas obiadu żartowałem, gadałem głupie dowcipy, byle tylko otrząsnąć studentów i Narkuskiego z ponurego nastroju. Ale dowcipy moje były stare, brodate jak Nemsta.

Minęła godzina druga po południu, polem trzecia. O Nietajence nie było ani widu, ani słyhu. Niepokój mój wzrastał coraz bardziej, choć ciągle nie traciłem nadziei, że jeszcze chwila, a objuczony kupioną gdzieś kurą, jak gdyby nigdy nic, przywędruje do nas na Uroczysko.

Tymczasem zmęczony przedpołudniowym poszukiwaniem spróbowałem uspokoić nerwy lekturą. Grzebiąc w książkach przywiezionych przez Nemstę odnalazłem słownik łacińsko-polski i polsko-łaciński i rozłożywszy koc na trawie zacząłem dla zabicia czasu i niepokoju tłumaczyć łaciński napis z nagrobka.

Chłopcy z naszej ekipy kręcili się po wysepce jak wilki w klatce. Od czasu do czasu ktoś znowu wyruszał na poszukiwania i po pewnym czasie wracał zniechęcony, zrezygnowany. Pozostawało tylko czekać. Czekać, aż Nietajenko powróci sam albo odnajdzie go milicja, która lepiej od nas znała tutejszą okolicę.

Dzień był tak jak wczoraj upalny, bez chmurki. Leżałem rozebrany i ostre strzały promieni razily mnie szybko, pozostawiając na skórze czerwony ślad świeżej opalenizny. Łacińskich słów było niewiele, zresztą znałem już ich znaczenie i mało czasu zajęło mi odnalezienie ich w słowniku. Zachęcony łatwością tłumaczenia, postanowiłem spróbować, czy nie uda mi się odcyfrować dalszej części napisu. A nuż okaże się, że zawiera on wyjaśnienie sprawy skrytki?

...Minęła godzina czwarta po południu. Na skraju wysepki usiadła Joasia z warkoczami. Nie usiadła, a raczej przykucnęła, zgnębiona i przybita. Wydała mi się uosobieniem rezygnacji, jak świątek koło domu Justa był uosobieniem frasobliwości. Podeszedłem do niej ze słowami pociechy.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczy pani. Nietajenko zaraz nadejdzie. Zawieruszył się gdzieś, już go dobrze poznałem. Okropny dziwak. Za rasową kurą gotów pójść na koniec świata...

Spojrzała na mnie oczami pełnymi łez.

– A ten Kuwasa? Czy on mu krzywdy nie zrobi? Czy on nas nie otruje?

– Proszę się nie obawiać. Kuwasę unieszkodliwię tymi oto rękami – pokazałem jej palce brudne od ołówka, którym zapisałem w notesie łacińskie wyrazy.

– A mnie w szkole uczyli, że nie ma diabłów...

O cudna naiwności! Naiwności wspanialsza od rozumu i rozsądku. Babie Lato, mimo swej niewątpliwej urody i przepięknych włosów, jakże jest szpetna ze swym rozsądkiem i złośliwością w porównaniu do Joasi, naiwnej, bez najmniejszej rysy zła w dziewczęcym charakterze. Jak szczerzy jest jej lęk o Nietajenkę, o nas wszystkich.

Czułem, jak ogarnia mnie czułość. Miałem ochotę ucałować grube warkocze dziewczyny i okazać tym, jak bardzo mi się podoba, jak wiele uczuć we mnie obudziła. Lecz zabrakło mi odwagi. Stłumionym ze wzruszenia głosem mówiłem:

– Nie ma diabłów? Są, są. Oczywiście, że są. Jakże nudne byłoby życie bez diabłów, jakże rozsądne i wyrozumowane, pozbawione fantazji i romantyki. Są, są diabły! Pojawiają się czasem w postaci kozła. Niekiedy jawią się nam w postaci pliszki, zwierząt drapieżnych, koguta, a nawet jako urodziwa panna. Ot, patrzę i nie wiem, a może w postaci pani kusi mnie właśnie Kuwasa, abym ucałował pani warkocze? Mam ochotę i lękam się...

Czarne rzęsy nakryły jej oczy. Pochyliła głowę, jakby dając pozwolenie na pocałunek. Mówiłem dalej:

– A może to mnie czart w tej chwili opętał? *Bierze on ciało na siebie z powietrza, z grubych waporów ziemskich.* Lecz gdy trzeba, równie łatwo może wnikać w człowieka przez usta i *per secessum*...

Tu nakryłem sobie dłonią usta, gdyż to ostatnie słowo wydało mi się bardzo nie na miejscu. I byłbym znowu wzniósł się wysoko na fali swego, jak mi się wydawało, uwodzicielskiego krasomówstwa, ale ktoś gwałtownie chwycił mnie za ramię i zatrzymał w pół słowa.

Obejrzałem się. Obok mnie stali Dryblas, Babie Lato, Narkuski i dwóch „smarkaczy”. Mieli groźne twarze. Dryblas podsunął mi pod nos mój własny brulion, który, zanim podszedłem do Joasi, pozostawiłem na kocu.

– A to? Poznaje pan? – podetknął mi jeszcze pod nos „list od Kuwasy”. – Poznaje pan? – huknął na mnie. Kartka tego listu została wyrwana z pańskiego brulionu. O tu, z tego miejsca. To pan pisał list od Kuwasy! Ten sam charakter pisma. To pan list mi podrzucił. I czaszkę! Wszystko. Pan ukradł nasze narzędzia. Pan jest diabłem Kuwasą!

– Fiuuu! – gwizdnąłem przeciągle.

– Bez wykrętów! Wiemy wszystko! Mamy niezbite dowody. Proszę się przyznać, gdzie pan uwięził doktora Nietajenkę.

Parsknąłem śmiechem. Śmiech wstrząsnął mną jak atak febry. Skuliłem się na ziemi i śmiałem się do rozpuku.

– Ja jestem diabłem Kuwasą? O rrraaany! – aż dygotałem od wybuchów radości.

Lecz prócz mnie nikomu nie było do śmiechu. Otoczyli mnie ciasno i stali nade mną jak kat nad dobrą duszą.

– To pan pisał? – jeszcze raz Dryblas podsunął mi „list od Kuwasy”.

– Tak. Ja pisałem.

– Ooo! To on pisał – z triumfem rozejrzał się dokoła.

– Z pańskiego brulionu wyrwana jest ta kartka?

– Oczywiście.

I znowu triumf Dryblasa.

– Pan podrzucił mi czaszkę? Pan ukradł narzędzia? Pan jest Kuwasą!

– Nie. Po trzykroć: nie!

– Kłamstwo! On łże!

Poderwałem się z miejsca. Spowaźniałem.

– Hola, młody człowieku. Tylko nie zapędzaj się za daleko – rzekłem z pogroźką w głosie.

– Więc proszę nam wytłumaczyć...

– Nie będę się tłumaczył! – krzyknąłem obrażony. – A w każdym razie nie przed wami. Nie trzeba było zarzucać mi kłamstwa. Przyjedzie Nemsta, wtedy wyjaśnię. Tymczasem na tym koniec. Kropka.

Zamilkli skonsternowani. Wreszcie Dryblas, który ze zrozumiałych względów pałał do mnie największą nienawiścią, zauważył nieśmiało:

– Może by tak poddać go średniowiecznym torturom? Zaraz prawdę wyśpiewa. Znam się na tym. Niedawno zdawałem egzamin z okresu średniowiecza.

– Zwariowałeś?... – mruknęła Babie Lato.

– To wielkie świństwo, że zajrzałeś do mojego brulionu. Kto wam pozwolił? – napadłem na Dryblasa.

Na chwilę zmieszał się. Ale natychmiast przystąpił do kontrataku:

– Stało się to dla dobra sprawy. Cel uświęca środki.

– Wygodne, bardzo wygodne.

Z pogardliwą miną odwróciłem się od nich i zapaliłem papierosa.

Podszedł do mnie Narkuski. Żeby zrobić mi na złość, udawał, iż bierze na serio całe tę historię. Najwyraźniej kpił sobie ze mnie w żywe oczy i wykorzystywał moją nieszczęśliwie dobrą sytuację dla wywarcia zemsty. Za co? To się zaraz wyjaśniło.

– Ja, redaktorze, zawsze pana podejrzewałem. Kto to słyszał, żeby człowieka i naukowca w moim wieku wlec w najgorszy upał w poszukiwaniu wyimaginowanego złoczyńcy? I kim okazał się Dziwak? Poczciwym kościelnym, na którego pan rzucił kalumnie. A dzięki komu zostałem pożądlony przez pszczoły? Za sprawką Kuwasy? He, he, he... A z czyjej to winy spojono mnie wczoraj winem? Gdyby mnie pan tam nie zawlókł, nie poznalibyśmy Justa, nie pilibyśmy wina, od którego boli mnie dziś głowa i wątek myśli się płące...

– Zauważyłem to – wtrąciłem.

Chrząknął.

– Tortury? Hm... – zamyślił się. – To nie jest najgorszy pomysł. U Kitowicza znajdujemy doskonały opis, jak się takie rzeczy robiło w dawnej Polsce. W miastach pryncypalnych pod ratuszem była zwykła piwnica do tego celu używana. W jednej ze ścian osadzono hak żelazny z kółkiem, *wysoko od ziemi na półtrzecia łokcia*. W drugiej zaś ścianie podobny hak z kółkiem, ale umieszczony na łokieć od ziemi. Na środku piwnicy stawiano stołek i na nim sadzano delikwenta. Kat wiązał mu w tyle ręce, wiązano mu też razem obie nogi, a końce tego powroza przywiązywano mocno do kółka niższego. Przez postronek u rąk przekładano inny powróż, długi, łojem posmarowany dla lekkiego pomykania. Tenże powróż przez kółko wyższe bywał przewlekany pojedynczo, a koniec jego trzymał kat. I potem ciągnął za powróż. A u delikwenta ręce poczynały się wyłamywać ze stawów ramion, *podnosić się ku górze tyłem głowy i stawały z nią w równej wysokości*. He, he... lecz nie to było jeszcze najboleśniejsze. Najboleśniej było po torturach, kiedy kat ręce wyłamane ze stawów na powrót nabijał *w stawy, kolanem między łopatki tłocząc i rozmaicie wierząc*.

– Ufff! – stęknąłem.

A Narkuski, rad z efektu, dodał:

– Czarownice w ten sposób mordowano, żeby prawdę wyznały. A pan, redaktorze, także ze złymi duchami, a w każdym razie z tym diabłem Kuwasą, jesteś w dobrej komitywie.

Udając obojętność poczęstowałem go papierosem. Do rozmowy wtrąciła się Joasia. Przez cały czas patrzyła na mnie przerażonym wzrokiem jak na zbrodniarza. Teraz odezwała się swym smutnym głosikiem:

– Pan redaktor i mnie również wydał się podejrzany. Tak... dziwnie do mnie mówił. Twierdził, że istnieją diabły. A przecież diabłów nie ma, prawda?

„Idiotka!” – pomyślałem.

Nie mogąc znieść jej naiwno-durnego spojrzenia, wzruszyłem ramionami i odszedłem na bok.

Dryblas perorował:

– No, proszę! Jeszcze jeden dowód oskarżający. Sam tworzył mit o diable Kuwasie, wmawiał w nas istnienie diabła, żeby odwrócić uwagę od swoich niecných sprawek.

– Co z nim więc zrobimy? – zapytał ktoś rzeczowo.

– Na tortury! Na tortury! – dopominał się Narkuski.

– Może zamknąć w komórce? – słodko zaproponowała Joasia.

Długo sprzeczekali się i dyskutowali przeróżne projekty. Chodziło o moją osobę, ale ani słowem nie wtrącałem się do tych rozmów. Swą obojętnością starałem się okazać całkowite lekceważenie dla tego, co postanowią. Ostatecznie zresztą zwyciężył w nich zdrowy rozsądek. Aż do przyjazdu Nemsty „skazali” mnie tylko na „areszt domowy” bez prawa wydalania się z terenu wysepki Uroczyska. Oficjalnie zakomunikował mi to Dryblas. Sprzeciwiłem się:

– Figa z makiem. Pójdę, gdzie zechcę. Chroni mnie konstytucja. Nikt w Polsce nie ma prawa więzić obywatela bez nakazu prokuratora. Macie taki nakaz?

Zabiłem im klina. Zaczęli się naradzać od nowa. Babie Lato przerwała dyskusję.

– Dajcie już spokój temu wszystkiemu. Ja go przypilnuję. Nie ucieknie, nie ma obawy.

– O wa! – wtrąciłem ironicznie, złożyłwszy przy tym kurtuazyjny ukłon w jej stronę.

Rozeszli się powoli, z niedowierzaniem, jakby bojąc się, że im natychmiast umknę, „nagle syknę, świsnę i dam nura” – jak napisał Tuwim o poecie opętanym. Pozostała przy mnie Babie Lato.

– Czemu przypisać pani łaskawość dla mej Kuwasowej osoby – zapytałem.

Nie od razu odpowiedziała, widać nie przygotowana na podobne pytanie.

– Zrobiłam to... ze współczucia.

– Zbytek łaski!

– Odwrócił się od pana i zdradził towarzysz pańskich eskapad kryminalnych, doktor Narkuski. Również i pewna młoda osoba z długim warkoczem, w której ostatnio pan gustował, jeśli się nie mylę, zrobiła panu poważny afront. Żal mi pana.

– Upokarza mnie pani współczucie.

– Nie sędzę. Nie zachowuje się pan jak bohater średniowiecznych romansów i jedyne, czym kobieta może pana obdarzyć, to współczucie.

– Nawet w roli diabła Kuwasy nie wydają się pani godzien zainteresowania?

– Ba. Gdybyż to była prawda...

– Jak to? Więc nie przemówiły do pani „niezbite dowody”? Ależ naprawdę, to ja pisałem „list od Kuwasy”.

Gotów byłem w tej chwili przyznać się nawet do podrzucenia czaszki, podpalenia starej wierzby i straszenia babki Romoskiej z Opornej, byle tylko wydać się Babiemu Latu człowiekiem interesującym.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nic z tego nie rozumiem. Lecz nie pan ukradł nasze narzędzia.

– Skąd to głębokie przekonanie?

– Jeśli wyjaśnię, poczuje się pan dotknięty. Po prostu jest pan na to zbyt wielkim ślamazarą...

– I tchórzem – uzupełniłem z sarkazmem.

Zarumieniała się, zawstydzona przypomnieniem chwili, gdy nazwała mnie tchórzem. Potrząsnęła głową rozsypując na ramiona jasne kędziory.

– Dzisiaj rano z takim przekonaniem opowiadał pan o „Księdze truciciela” i o owym Bachurze, że zwątpiłam, czy wówczas słusznie nie uwierzyłam w jego istnienie. Teraz przepraszam.

Przeprosiny zaskoczyły mnie do tego stopnia, że zapomniałem języka w gębie. Na krótko, rzecz jasna. Widok ładnej kobiety zazwyczaj bowiem raczej ożywczo oddziałuje na moją wymowę. Tak stało się i tym razem. Widziałem jej pełne, może nieco zbyt pełne czerwone usta, krągłą twarz, jasną i tylko z delikatnym cieniem rumieńców na policzkach, oczy w chwili przeprosin bez śladu zwykłej w nich złośliwości, nos szczupły, trochę orli i ciemne, wyraźne zakosy brwi. I te włosy o barwie miodu z orzechami, pewnie jak puch miękkie w dotyku.

– Czy wie pani, jak ją od dawna w myślach nazywam? – zagadałem nieoczekiwanie. – Babie Lato. Tak. Babie Lato. Nasunęła mi to określenie barwa pani włosów. Czynią one panią złotą, jesiennie złotą i dlatego właśnie owa jesiennosc babiego lata. Sądzę, że najwłaściwiej przyrównać kolor pani włosów do starego, szlachetnego złota... i

Opuściła oczy, znowu zarumieniona. Tym razem zapewne pod wpływem moich komplementów. O, znam was, kobiety!

– Mnie babie lato – ciągnąłem – kojarzy się nie ze starością, z siwizną, lecz właśnie ze złotym kolorytem jesieni, z jej łagodnością, spokojem, pięknem...

– Jest pan sentymentalny. To cecha, której również nie cierpię – przerwała mi krótko.

Umilkłem skonfundowany. Poszedłem szybko do pozostawionego na trawie koca i zabrałem z niego łańskie słowniki.

– Idę do kolegiaty – oświadczyłem sucho.

– Dobrze. Pójdę z panem – zgodziła się bez szemrania. Wydało mi się, że głos jej znowu jest przepaszający i pokorny. Ale przestałem ufać własnym wrażeniom. Kobiety są podstępne, zdradliwe, nigdy nie można być pewnym, co o nas myślą.

– Nie ręczę, czy nie zdecyduję się umknąć – ostrzegłem ją lojalnie.

Nie odpowiedziała. Ruszyliśmy ramię przy ramieniu ścieżką do kolegiaty.

– Martwię się o doktora Nietajenkę – szepnęła.

– Pół dnia go szukałem. Wreszcie zawiadomiłem milicję. To i tak dużo jak na człowieka, którego wszyscy o coś podejrzewają.

– Głupstwa! – machnęła ręką.

– Wcale nie głupstwa – wybuchnąłem. Wezbrała we mnie gorycz. – Niczym nie zasłużyłem, żeby traktować mnie jak jakiegoś zbrodniarza. Czego chce ode mnie ten Dryblas albo ta Joasia z warkoczem?

Uśmiechnęła się.

– A więc nie tylko mnie zdążył pan obdarzyć przydomkiem? No, Dryblasowi, czy jak go pan nazywa, sporo pan nadokuczał.

– A pani? Co pani zawiniłem, że nieustannie prawi mi pani złośliwości? Taki już mój los. Wszystko ciągle sprzysięga się przeciwko mnie. Staralem się odnaleźć złodzieja i Narkuskiego pożądlify pszczoły. Mówilem Joasi komplementy, bo bardzo mi się podobała, a ona zaczęła mnie podejrzewać. Podobają mi się pani złote włosy. Też niedobrze. Jestem bowiem sentymentalny, czego pani nie cierpi.

– Straszne. Rzeczywiście, wszystko sprzysięga się przeciw panu – bez przekonania pokiwała głową.

– Można wiedzieć, co takiego podobało się panu w tej... no, jak tam, „Joasi”? – zapytała przekrzywając główkę jak ciekawy wróbel. – Przecież to gęś.

– Ach, tylko na to pani zwróciła uwagę? No cóż, będę szczery. Podobało mi się w niej to, czego pani nie posiada. Łagodność, skłonność do sentymentalizmu, marzycielstwo, uprzejmość, której pani brakuje.

– Rozczarował się pan, prawda?

– Trochę. Okazała się głupia. To wszystko.

– Jakiż pan okrutny w swoich sądach – rzekła z wyraźnie udanym oburzeniem.

Prowadziła ze mną nieuczciwą grę. Czulem to. Dlatego straciłem ochotę do rozmowy. Powiedziała niedbale, rozglądając się po okolicy:

– A w ogóle... Babie Lato to ładna nazwa. I przy bliższym poznaniu okazuje się pan bardziej interesujący.

Doszliśmy do kolegiaty. Zmieniła temat rozmowy:

– Czy nie uważa pan, że kolegiata nie ma w sobie nic kościelnego? Jest ogromna, wspaniała, monumentalna, a jednocześnie nie ma w niej nic uroczystego. Robi wrażenie nie kościoła, lecz raczej twierdzy. Starej twierdzy.

Skinałem głową. Przebiegłem wzrokiem po chropawych kamiennych ścianach. Okna ganków i triforiów biegnących bocznymi nawami były kiedyś strzelnicami. Czworokątne wieże posiadają u góry dwuarkadowe przezrocza³⁸, a wyżej przezrocza aż z trzech arkad, aby ukrytej wysoko straży jak z baszty obronnej łatwiej było obserwować okolice. Wieże te zresztą inaczej umieszczono, niż zwykle się to robić w kościołach. Stały one w narożnikach, aby z ich kilku strzelnic można było bronić prócz frontu również i ścian bocznych. W ten sposób zostały wysunięte na sposób baszt broniących dostępu do bram w dawnych rzymskich fortyfikacjach. Nie tylko dla modłów zbudowano tu kolegiatę, ale chyba przede wszystkim dla obrony.

Opowiedziałem Babiemu Latu o tym, co wyczytałem z pracy Nemsty. O ambitnej księżnej Salomei, o jej pasierbie Władysławie II, o stworzonym przez Salomeę obozie przeciw senioralnej zwierzchności Władysława, „wielkiego księcia” Polski. Główną siedzibą tego obozu i jakby stolicą ówczesnej Polski miała być twierdza kolegiaty w Opornej.

³⁸ Przezrocze dwuarkadowe – otwór okienny przedzielony filarkiem.

Przeznaczono ją na obronne miejsce zjazdów zwolenników Salomei i to właśnie odbiło się najwyraźniej na architektonicznym kształcie kolegiaty, któremu podobnego nigdzie indziej nie znajdzie. Poza Oporną nie ma budowli romańskiej, gdzie by w takim stopniu jak tutaj zastosowano emporę boczne, triforia, gdzie by były tak szerokie i rozległe ganki podobne do balkonów, stanowiących jakby piętro, jakby lożę w wielkim teatrze. Lecz miała to być loża dla uczestników zjazdów, dla możnych świeckich i duchownych, członków antysenioralnego obozu.

Rzecz z pozoru dziwna. Historia Polski, historia dziedzina tak zdawałoby się odległa od architektury – pozwalała wyjaśnić architektoniczne szczegóły budowli, jej odmienność od innych tego typu zabytków. Ale czy kiedykolwiek zrozumiemy zagadkę skrytki z kamienną płytą?

Przywitawszy się serdecznie z kościelnym Justem i jego żoną, zabrałem od nich klucz do kolegiaty i poszliśmy parać się sylabizowaniem zatartego napisu. Nie chciałem być pochopny, ale wydało mi się, że moje zwierzenia o Salomei, o zagadce kolegiaty i jej skrytce nawiązały jakby między mną i Babim Latem nić sympatii. Słuchała mnie z zaciekawieniem i odnosiła się do mnie bez zwykłej u niej złośliwości. Wyznała szczerze:

– Przypuszczałam, że pan podobny jest do jednego z moich znajomych, również dziennikarza. Dziennikarstwo zrobiło z niego wstrętnego typu. Myśli tylko o swych artykułach i reportażach, na każdego człowieka patrzy tak, jakby chciał go wykorzystać w artykule. Nie ma w nim nic ludzkiego, czy pan mnie rozumie? I pan także wydawał mi się taki oschły, nudny, nie potrafiący po ludzku żyć, bawić się, ot, choćby grać w siatkówkę, a wiecznie tylko węszący we wszystkim tematy dla swej gazety. Omyliłam się.

Zamieniliśmy się rolami. To ona teraz prawiała mi komplementy.

W starym, zardzewiałym zamku zapiszczało głośno sto diablików. Z mrocznego wnętrza buchnął na nas zwykły tu zapach zleżałego kurzu, grzybów i pleśni. Zamilkliśmy. Każdy szept dźwięczał jak kaskada spadającego z wysoka strumienia wody. Delikatnie ująłem w rękę ciepłą dłoń Babiego Lata i obchodząc wybrzuszone półokrągłe sklepienie grobowców, poprowadziłem dziewczynę w koniec bocznej nawy, gdzie w ścianie wmurowana była płyta.

W uszach dzwoniła cisza. Głęboka cisza kamiennej studni. Półmrok panował tu zielonkawy, studzienny i chłód przenikliwy, piwniczny. Czuję się jak na cmentarzu, świadomy, że stąkam koło dziesiątków grobowców. Jakie imiona nosili ludzie zmienieni na pewno w proch pod półokrągłymi sklepieniami z czerwonej cegły? Jakie były ich myśli, czyny, marzenia? Pogrzały się w ciszy, w odwiecznej ciszy, w głębokim mroku śmierci. W ciszy i mroku, w chłodzie kamiennego zimna, którego przedsmak dawało wnętrze starej budowli.

I jakąż radość przynosiła obecność tuż przy moim ramieniu pięknej dziewczyny, żywej jak samo życie. Zdawało mi się, że z jej ciepłej dłoni przenika do mnie owa niewytlumaczona radość, która pozwala odczuć, zrozumieć właśnie ów pośepny, przytłaczający półmrok starej

świątyni. Dziewczyna odnosiła chyba podobne wrażenie. Nie uciekała z dłonią, przeciwnie, jeszcze bardziej zbliżała się do mnie. Byliśmy tu sobie najbliżsi, my dwoje młodych i żywych, wobec otaczającej nas zimnej martwoty kamienia.

– To tu – szepnąłem ledwie dosłyszalnie.

Wykuty w płycie kanonik w birecie na głowie miał zwróconą ku nam zatartą i niewyraźną twarz. Promyk słońca sączący się na płytę z umieszczonego wyżej okienka wąskiej strzelnicy nadawał tej twarzy wyraz złośliwy jak u Mefista.³⁹

Ale tym razem trafił swój na swego. Na złośliwość kanonika Babie Lato odpowiedziała złośliwością. Pokazała mu koniec języka.

Parsknąłem śmiechem. Prysnał przykry, przygnębiający nastrój.

Dziewczyna przyklękła i wodząc palcami po ledwie widocznych literach napisu, poczęła sylabizować;

– *Vive diu vitamque tuam perpende...*

– To już znam. Żyj długo i życie swoje rozważaj.

Dalej czytanie szło oporniej. Już przy pierwszej literze następnego wyrazu nie było między nami zgody. „V”, „i” czy też „N”? A dalej? Dalej było „A” – tego byliśmy zupełnie pewni. Lecz potem – „T”, „O”, czy również „A”?

Próbowaliśmy najróżniejszych sposobów odczytywania zatartych liter. Zamykaliśmy oczy i jak niewidomi, wodząc palcami po ledwie uchwytnych wypukłościach, staraliśmy się odkryć podobieństwo do znanych nam liter. Nie dawało to dobrych rezultatów. Już lepiej było dokładnie wpatrzeć się w zarys liter i przy odnajdywaniu ich kształtów dopomagać sobie palcami. Ale wtedy oczy zaczynały łzawić od zbyt intensywnego wpatrywania się w jeden punkt. W kolegiacie panował przecież półmrok.

Ostatnia litera wyrazu: „T” czy „r”?...

Na marginesie jednej z kartek słownika zapisałem wszystkie litery. I te, co do których mieliśmy pewność, i te, które budziły wątpliwość.

„Viaaot”.

„Nator”, inna wersja „Viatot”.

Nie byliśmy pewni, czy wyraz ma sześć, czy też pięć liter. „Viaaot”. Nie znalazłem takiego wyrazu w słowniku. Nie było także słowa „Viatot”.

Otworzyłem słownik na „N”, szukając „Nator”. Długo wodziłem palcem po stronicach:

Nato... Natta... Natu... Natura... Nie, nie ma „Nator” – oświadczyłem zrezygnowany.

Babie Lato miała więcej ode mnie wiary we własne siły. Odebrała mi słownik i jeszcze raz przyjrzała się wypisanym słowom.

– Ależ z pana gapa! – wykrzyknęła. Ani „Viatot”, ani też „Nator”. Niech pan zamieni trzy końcowe litery pierwszego wyrazu z końcówką drugiego. *Viator*. Tak to jest właściwe słowo. *Viator, viatoris*, rodzaj męski – podróżny, który odbywa drogę, albo inaczej wędrowiec. Dotychczas odczytany napis brzmi: Żyj długo i życie swoje rozważaj, wędrowcze...

³⁹ Mefisto, Mefistofeles (z grec.) – szatan.

Z nowym zapalem zabralismy sie do dalszej roboty. Ale i teraz, szla nam jak z kamienia, a raczej jak z zatartego kamienia. Nastepnego slowa po *viator* zupełnie nie udało nam się odczytać, później było *felix* i kilka nieczytelnych słów, potem *omnia sub parva*, znowu jakiś całkowicie zatarty wyraz i wreszcie dwa końcowe: *iacere vide*.

Na podstawie odczytanych przez nas słów napis przedstawiał się więc teraz następująco:

Vive diu vitamque tuam perpende viator
felix
omnia sub
parva iacere vide.

Odcyfrowanie tego fragmentu zajęło nam prawie trzy godziny. Wieczór zajął do kolegiaty wcześniej niż gdziekolwiek indziej i połączył się z jej zwykłym piwnicznym mrokiem.

Babie Lato tłumaczyła:

felix – szczęśliwy
omnia – wszystka
sub – pod
parva – mała
iacere – leżeć, spoczywać
vide – zobacz.

Przy zakończeniu zawahała się:

– Przypuszczam, że występuje tu forma *accusativus cum infinitivo*.⁴⁰ Czasownik stoi wtedy w bezokoliczniku, a rzeczownik w czwartym przypadku. Tę formę stosuje się po *verba sentiendi et dicendi*, a więc również i po *video*. No, rzeczownika nie znamy, więc nie wiemy, w jakim on jest przypadku. Ale wydaje mi się, że to zdanie tak należałoby tłumaczyć. Zobacz, że wszystko pod małą... leży.

– Doskonale! Wspaniale! – uradowałem się hałaśliwie. – Potwierdza to moje przekonanie co do skrytki, zobacz, że wszystko leży pod małą... Ale pod czym? Pod czym, u licha? Może pod małą płytą?

– Ba – roześmiała się dziewczyna. *Parva* jest rodzaju żeńskiego. I „płyta” również. Tylko że jedno jest po polsku, drugie po łacinie. A to, co jest po łacinie rodzaju żeńskiego, nie zawsze jest w tym samym rodzaju w polskim języku. Nie ma co, wygodnie pan sobie dopasował. Dlaczego akurat pod małą płytą, a nie pod czymś zupełnie innym? Dlatego, że tak

⁴⁰ *Accusativus cum infinitivo* (łac.) – forma składniowa, w której podmiot występuje w bierniku, a orzeczenie w bezokoliczniku; formy tej używa się po słowach wyrażających czynność myślenia i mówienia.

jest panu wygodniej? Bez odczytania tego jednego brakującego wyrazu zupełnie nie rozumiemy całego końcowego fragmentu.

Z niechęcią spojrziałem w miejsce, gdzie tkwił ów nieczytelny, zatarty wyraz, który mógł nam wiele wyjaśnić. A w każdym razie powiedzieć, gdzie znajdowało się owo wszystko, które miał na myśli autor łacińskiego napisu. Może pod słowem „wszystko” rozumiał on jakieś ukryte skarby? Ledwie dostrzegalna już twarz kanonika w birecie wydawała mi się jeszcze bardziej złośliwie skrzywioną. Smutny i zniechęcony zatrzasnąłem słownik łaciński.

– Chodźmy – powiedziałem cicho do dziewczyny.

Na cmentarzysku obok kolegiaty był jeszcze dzień, choć już nieco zszarzały, jak wypłowiała chusta. Było tu rozkosznie ciepło w porównaniu z chłodem starych murów. Upajająco zapachniała nam lipa, odetchnąłem pełną piersią.

Dziewczyna próbowała mnie pocieszać:

– Może jutro uda się panu zrozumieć i to brakujące słowo? I może będzie pan *felix* – szczęśliwy, jak jest w tym napisie.

– Nie wierzę w swoje szczęście – rzekłem z goryczą. – Chcę zrobić dobrze, a wychodzi źle. Okazało się, że jestem diabłem.

Parsknęła śmiechem.

– Rzeczywiście. Z pana taki diabeł jak ze mnie anioł.

Zaprotestowałem:

– Ma pani anielskie włosy...

– Nie lubię komplementów. Zresztą pan przedtem powiedział, że moje włosy są jesienne.

Oddaliśmy klucz Justowi i powędrowaliśmy z powrotem na Uroczysko, przyjemnie gawędząc. Tuż przed wysepką ostentacyjnie wziąłem dziewczynę pod rękę prowadząc z nią wesołą rozmowę. W najlepszej komitywie wkroczyliśmy do baraku. Dyżurni akurat rozdawali kolację.

Dryblas zmierzył mnie z początku podejrzliwym wzrokiem, a potem, gdy zauważył, jak zaprzyjaźniłem się z Babim Latem, w spojrzeniu jego dostrzegłem wrogość.

– Widzę, że gra pan na zwłokę? – krzyknął do mnie surowo. – Ale i tak nie wykręci się pan od kary – machnął „Listem Kuwasy”. – I niech pan się wreszcie przyzna, gdzie jest doktor Nietajenko – prawie wrzasnął na mnie, widząc, że wymieniam z Babim Latem uśmiechy.

– Więc jeszcze nie wiadomo, co stało się z Nietajenką?

– Niech pan nie udaje. My wiemy, że pan wie, gdzie jest doktor – krzyczał Dryblas.

I wszyscy obecni w jadalni pod wpływem jego krzyku patrzyli na mnie podejrzliwie.

A ja naprawdę zupełnie nic nie wiedziałem o Nietajence. I może nawet większy od nich czułem niepokój, bo ja jeden w pełni zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które wisiało nad Uroczyskiem. Nikt lepiej ode mnie nie orientował się, że wokół Uroczyska krążył

jakiś nie znany nam, tajemniczy nieprzyjaciel, Bachura, dziad-zielarz, czy może ktoś jeszcze, złośliwy i groźny.

Ale i ja, podobnie jak tu wszyscy, byłem bezradny i nieświadomy, gdzie szukać wroga. Nie wiedziałem także, gdzie znaleźć Nietajenkę.

Pod gradem krzyżujących się w powietrzu spojrzeń odebrałem od dyżurnego należną mi kolację i przysiadłem się do Babiego Łata, która zajęła miejsce przy długim stole, naprzeciw Dryblasa i Narkuskiego. Z ust dziewczyny zniknął uśmiech. Martwiła się przedłużającą się nieobecnością Nietajenki. Zapytałem ją o coś, odpowiedziała mi krótko, zdawkowo. Czyżby i w niej wrzask Dryblasa zasiał znowu nieufność wobec mojej osoby?

Naprzeciw mnie kilka par wpatrujących się we mnie wrogich oczu. Nie byłem winien, a przecież czułem się dziwnie nieswojo, jakbym rzeczywiście popełnił jakąś zbrodnię. Na kolację mieliśmy kluski i zsiadłe mleko. Kluski rosły mi w ustach i pęczniały, przeżywałem je jak gumę do żucia.

Korzystając z mego milczenia Dryblas wygadywał, co mu tylko ślina przyniosła na język:

– W tej całej sprawie interesuje mnie jedno. Co panu zawinił doktor Nietajenko? Przecież to człowiek o anielskim sercu, muchy nie jest w stanie skrzywdzić...

Jeszcze chwila, a moja łyżka i talerz z kluskami byłyby wylądowały na kwadratowej głowie Dryblasa. Na szczęście nie doszło do tego. Do jadalni wpadła Joasia. Wyglądała na przerażoną. Włosy nastroszyły się jej jak u czarownicy na średniowiecznych rysunkach. Zadyszana i zmęczona, jakby odbywała bieg maratoński, na podobieństwo ryby chwytła powietrze w półotwarte usta.

– Boże! Jakie to straszne. Okropne! – jednym tchem wyrzuciła z siebie.

Zerwaliśmy się od stołów.

Czyżby przynosiła jakąś złą wieść o Nietajence?

Otoczyliśmy ją ciasnym kręgiem, ale zadyszana nie była w stanie powiedzieć nam nic sensownego.

– To było okropne. Straszne! – powtarzała.

– Na Boga! Mów! – Narkuski nie wytrzymał. Chwycił Joasię za ramiona i zaczął nią potrząsać.

Jeszcze bardziej się przestraszyła, poczęła bełkotać coś bez związku. Ciężką, naprawdę ciężką chwilę przeżyłem, zanim jako tako przyszła do siebie i mogła nam opowiedzieć o tym, co się jej przydarzyło.

– Poszłam na spacer. Aż na Czartorię, na tę górę, no wiecie... Tam jest taki piękny grobowiec. I tuje. I ławeczka... Usiadłam, bo tam tak pięknie, ślicznie. Wieczór był... niebieski, a potem różowy...

– Na Boga, mów do rzeczy – jęknął zrozpaczony Narkuski.

– Mówię przecież. Siedzę na ławeczce i tak tam przyjemnie było, ślicznie, że zaczęłam sobie nucić... A tu jak coś wrzaśnie w tym grobowcu... Strasznie krzyknęło... Okropnie! O Boże! – Joasia twarz zakryła rękami.

– Diabeł. Chyba diabeł siedzi w tym grobowcu. Diabeł Kuwasa – dopowiedziała. – Uciekłam stamtąd. Ile tylko sił mi starczyło – zakończyła.

Jadalnia aż zatrzęsała się od śmiechu. Wszyscy spodziewali się jakiejś okropnej wieści o Nietajence, a tymczasem... Gromki śmiech długo dudnił w jadalni.

Schwyciłem za rękę Babie Lato. Zdziwiła się zobaczywszy na mej twarzy nie uśmiech, lecz powagę.

– Niech pani wyjdzie przed barak. Ale zaraz, natychmiast. I proszę od kogoś pożyczyć latarkę elektryczną. Tylko ani słowa – szepnąłem jej do ucha.

– Wiem, gdzie jest Nietajenko – szepnąłem jej znowu i nie czekając na efekt mych słów wymknąłem się z baraku.

Na dworze już było prawie całkiem ciemno, nad moczarami poczyną się unosić mgła. Czyste, nocne niebo jarzyło się gwiazdami. Od bagien ciągnęło chłodem i wilgocią. Brzęczały komary, a poza tym trwała cisza, od czasu do czasu przerywana głośniejszym wybuchem śmiechu, dochodzącym do mnie przez otwarte okna jadalni.

Zapaliłem papierosa, z przyjemnością patrząc, jak w spokojnym powietrzu jego niebieski dym wolno odpływa ode mnie cieniutką strugą. Na skraju moczarów zagadały żaby, rechot wzmagał się, gęstniał i raptem umilkł. Znowu zapadła cisza, mącona głosami z baraku.

Czekałem na Babie Lato chyba z dziesięć minut. Zadeptywałem papierosa, gdy trzasnęły drzwi i stanęła przy mnie. Wcisnęła mi w rękę ciężką, dużą latarkę elektryczną.

– Pożyczyłam. Skłamałam, że mi coś upadło w pokoju, a w lampce naftowej zabrakło nafty...

Wziąłem ją za rękę i szybkim krokiem prowadziłem z Uroczyska.

– Więc jednak wiedział pan, gdzie jest Nietajenko? – powiedziała z wyrzutem w głosie. – Dlaczego pan to ukrywał przed nami?

– Nie wiedziałem. I nie wiem, gdzie on jest.

Przystanąła.

– W takim razie dokąd pan mnie ciągnie?

– Boi się pani? – zapytałem drwiąco.

– Skądże. Ale...

– Ale jednak od niedawna nabrała pani nieufności do mojej Kuwasowej osoby?

– Bzdura! – fuknęła jak gniewna kotka i urażona szybko poszła naprzód.

Ścieżka przez moczary była jak ciemna grobla przegradzająca jezioro mgieł. Gdy dotarliśmy na wzgórze kolegiaty, znowu doznałem wrażenia, jakbym znajdował się gdzieś bardzo wysoko pod głęboką kopułą nieba, na którym jak na aksamitnej oponie ktoś rozsypał

garście srebrnych opilków. U mych stóp słało się kłębowisko białych chmur, a pod nim, gdzieś, jakby bardzo nisko, była ziemia z wysepką Uroczyńska.

Od kolegiaty skręciliśmy w stronę starej wierzby. Spoza spiczastych wież wypęłzył nagle księżyc, zasrebrzyła się mgła na moczarach, błysnął złotem spalony na węgiel kikut Kuwasowej wierzby. Na bagnach zakwiliła przebudzona dzika kaczka, jednostajnie zarechotały żaby.

Dotknąłem ramienia dziewczyny.

– Czy już domyśla się pani, dokąd idziemy?

– Nie.

– Nie?... Na Czartorię. Do grobowca.

Zaśmiała się nieprzychylnie.

– Co za odwaga? Chce mnie pan przekonać, że nie lęka się diabła?

Miałem na końcu języka ostrą replikę, ale się powstrzymałem. Z Babim Latem niczego się nie wygra złością.

– I znowu niezasłużenie próbuje mnie pani urazić – powiedziałem ze smutkiem w głosie.

– Czy naprawdę dała pani wiarę tym wszystkim bzdurstwom, które plótł o mnie Dryblas? W tej chwili zaczynam żałować, że zaproponowałem pani nocną wycieczkę na Czartorię. A nuż nie odnajdziemy Nietajenki? Będzie pani miała do mnie wielką pretensję. A ja właściwie prawie zupełnie nic nie wiem w tej sprawie. Kiedy Joasia opowiedziała swoją przygodę, przypomniałem sobie, co twierdził Nietajenko: że poszukiwanie złodziei trzeba rozpocząć od odnalezienia grobu, skąd zrabowano czaszkę. Może usłyszał o grobowcu na Czartorii, a ponieważ, jest uparty, więc aż tam zawędrował?

– Lecz co robiłby tam tak długo? I dlaczego wystraszył dziewczynę?

– Nie wiem. Nic nie wiem. Chcę mieć jednak czyste sumienie i zbadać każdy ślad, każde nawet najdrobniejsze przypuszczenie. Jeśli jednak uważa pani, że nie warto poszukiwać na Czartorii, niezbyt daleko odeszliśmy od Uroczyńska i może pani zawrócić...

Szliśmy drogą wijącą się wzdłuż nierównej krawędzi bagien. Po lewej ręce stał nieruchomy tuman mgły, po prawej pola i łąki pogrążone w nocnym mroku. W poświacie księżycyca nieustannie przydeptywaliśmy swe wydłużone cienie.

Obejrzałem się za siebie. „Księżyc świecił jak rybie oko” – przypomniałem sobie ładne porównanie z Justowego opowiadania o diable Kuwasie. Czy to właśnie w podobną noc przed przeszło stu laty Stacho z Poświerka napotkał na bagnach Regierungsraha jego królewskiej mości? Fatalnie skończyło się dla pruskiego dygnitarza owo nocne spotkanie. Na zawsze odtąd zamieszkał w murowanym grobowcu na Czartorii. Miał podobny do nietoperza kapelusz i „dwa ogony” jak Kuwasa. Sprytnie wykręcił się Stacho. A może był w tym wszystkim złośliwy figiel diabła Kuwasy? Kto dzisiaj, po przeszło stu latach, dojdzie prawdy? Chyba nie ja, któremu raz za razem diabeł płata głupie żarty i który, o ironio losu, sam został okrzyknięty Kuwasą.

Dreptałem w milczeniu obok Babiego Lata i było mi bardzo markotno.

Przegroził nam drogę rów z wodą. Babie Lato w milczeniu poprosiła o pomoc: wzięła mnie pod rękę i razem przeskoczyliśmy wodę.

Oświetlona księżycem Czartoria była tuż przed nami zwartym masywem stały niskie, młode świerki, z boku szarzały piargi wapiennego kamienia z czarnymi czeluściami rozpadlin i wądołów. Obeszliśmy podnóże góry i w miejscu, gdzie jej stok spływał łagodniej, poczęliśmy się piąć drogą wiodącą do starych kopalń, pieców wapiennych i tarasu z grobowcem Regierungsratha. Droga była wyboista, pełna kamieni i skał. Spływająca z góry woda wryła w niej płytki wąwóz, pod nogami szeleścił drobny piasek i osypujący się żwir. Na wprost nas wyłaniał się z ciemności mur odgradzający cmentarzyk i czarna plama wysmukłych tui. Nisko w dole pozostawało kłębowisko mgieł bagiennych. Wyobraźnia pobudzana ciemnością i bladym światłem księżyca wyłuskiwała wśród krzewów kształty zaczajonych postaci, nieruchomo oczekujących naszego nadejścia.

Dopiero teraz doszedłem do wniosku, że źle zrobiłem, tak od razu ulegając myśli wyruszenia na poszukiwanie Nietajenki. Trzeba było przedtem wypytać przestraszoną dziewczynę o szczegóły jej przygody. Trudno przypuścić, aby uległa jakiemuś złudzeniu. Ktoś starał się ją wystraszyć i osiągnął cel. Dlaczego to zrobił? Czy miało to jakiś związek ze zniknięciem Nietajenki? Czy ten ktoś znajduje się jeszcze obok grobowca na Czartorii? A jeśli tak – to jak zareaguje na nasze nadejście?...

Zwolniłem kroku. Babie Lato zaśmiała się cicho, nerwowo.

– Ciągle mam wrażenie, jakby tam obok grobowca stał ktoś wśród drzew i przyglądał się nam... – powiedziała nieswoim głosem.

Przystanąłem.

– Może lepiej, jeśli pójde dalej sam? – szepnąłem

– Nie, nie – ścisnęła mnie za rękę i nie wypuszczając jej ze swych dłoni pociągnęła w stronę grobowca.

Pogodna, księżycowa noc pozwalała doskonale widzieć cały cmentarzyk. Niski, półtorametrowej wysokości mur z białego wapiennego kamienia obejmował niewielki kwadrat ziemi, ze stojącym pośrodku, prostokątnym jak pudełko, grobowcem z cegły. Stromy dach grobowca zrobiony był z półkolistej, drobnej dachówki, z boków strzegły go wysokie, pseudogotyckie wieżyczki. Placyk z grobowcem był zupełnie pusty, tylko przy murze koło dwóch ławeczek sterczały żalobne wysokie tuje. Mrok tam panował i nawet dwudziestu ludzi mogło się ukryć w ich cieniu. Sam grobowiec wysokością swoją przewyższał średniego wzrostu mężczyznę. Do jego wnętrza prowadziły duże drzwi od frontu, drzwi z jednej żelaznej płyty. W bocznych ścianach widniały malutkie zakratowane okienka, służące do wentylacji wewnętrznego pomieszczenia.

W rozwalonej bramie cmentarzyska zatrzymaliśmy się niezdecydowani. Chwilę nasłuchiwaaliśmy, ale dokoła nas trwała cisza. Wyraźnie słyszałem bicie własnego serca, dłoń moja ciągle spoczywała w uścisku rąk dziewczyny.

Zrobiłem nieśmiały krok w kierunku grobowca. Nic. Cisza, spokój. Wróg nie ujawniał swojej obecności.

Jeszcze jeden krok. Znowu przystanąłem nasłuchując. Raptem przytuliliśmy się do siebie. Załomotało coś gwałtownie wśród gałęzi, skrzeknęło. Spłoszony ptak wyleciał z ciemności, bezszelestnie poszybował nad naszymi głowami i znowu przepadł w mroku. Gałęzie długo kołysały się groźnie, tajemniczo...

Cisza i otaczający nas spokój działały przygnębiająco. Seledynowy blask księżyca podkreślał smutek zakątka. Podobnie jak w pustej kolegiacie czuło się tu swe odosobnienie. I może właśnie dlatego dziewczyna ciągle trwała przytulona, łaskocząc mój policzek ciepłem swego oddechu i dotykiem swych puszystych włosów. Miała przymknięte oczy, jakby cała chciała się wsłuchać w ciemność i wychwycić z niej każdy, nawet najdrobniejszy szelest. Ale przecież nie mogła nie być świadoma, że dawno już przepadł w mroku spłoszony ptak, a ona ciągle trzymała mnie za ręce, ciągle jest przytulona do mnie.

Raptem odsunęła się, jakby dopiero teraz zrozumiała, że bliskość nasza nie powinna trwać tak długo. Puściła moją rękę...

Zdecydowanym krokiem podszedłem do drzwi grobowca. Zapaliłem latarkę elektryczną. Krążek ostrego światła ujawnił przede mną zardzewiały skobel, zatknięty kawałkiem drewna. Na sekundę zastanowiłem się: właściwie czego szukam w tym grobowcu?

Wyjąłem patyk ze skobla. Nie zdążyłem nawet powiedzieć pół słowa, gdy ktoś szarpnął ostro drzwi od wewnątrz, otworzył je, wpadł na mnie całym ciałem i odepchnął tak silnie, że aż zatoczyłem się na trawnik i upadłem.

– O Jezu! – krzyknęła Babie Lato i jak oparzona odskoczyła.

Dostrzegłem tylko czarną sylwetkę, szopę rozwianych włosów. Potem znalazłem się pod ciężarem ciężkiego ciała, które przygniotło mnie do ziemi. Kościste palce ujęły mnie za gardło.

– Mam cię, braciszku – dyszał ktoś nade mną. Piekący ból krtani i czerwony mrok w oczach. Dusilem się.

– Pan doktor? Pan Nietajenko?! – głos dziewczyny przedarł się przez szum, który począł mi brzęczeć w uszach.

Ból krtani ustąpił. Odetchnąłem.

Nietajenko uwolnił mnie od siebie i podniósł się z klęczek.

– To wy, redaktorze? – rzekł zdziwiony, przyjrząwszy się mojej sfatygowanej figurze.

– Niestety, to ja... – westchnąłem. Zaświeciłem latarkę, poszukując w trawie okularów zgubionych w chwili upadku. Leżały tuż obok i nic się im nie stało. Założyłem je na nos i powiedziałem szczerze do doktora:

– Na przyszłość grubo się zastanowię, zanim uwolnię pana z jakiegokolwiek zamknięcia.

– Omyłka, braciaszku, omyłka. Wziąłem pana za zbrodniarza, co mnie tu uwięził – serdecznie i dziękczynnie uścisnął mą dłoń Nietajenko. – Ech, żebyś pan wiedział, co ja tu przeżyłem. Brrr. W grobowcu w towarzystwie rozwalonej trumny z nieboszczykiem bez głowy. Makabra, braciaszku...

Babie Lato pomagała doktorowi doprowadzić do porządku ubranie pokryte grubą warstwą kurzu i pajęczyn. Otrzepywała marynarkę Nietajenki z taką ostrożnością i delikatnością, jakby bała się, że lada chwila okaże się, iż utracił rękę, która wypadnie mu z rękawa.

– Prawie trzydzieści godzin w grobowcu – powtarzał doktor. – O Boże, co tam się dzieje z moją kurką? Czy aby nie zdechła z pragnienia?

– Z jaką kurką? – zapytaliśmy.

Kaszlnął, chrząknął, mruknął coś niewyraźnie. Pospiesznie zaprowadził nas do grobowca, żeby ukazać nam w pełni grozy „apartamenty”, w których przebywał tyle czasu.

– Narkuski zzielenieje ze złości, hę, hę, hę – triumfował. – Zwyciężyła moja teza. Złodziei narzędzi trzeba było szukać zaczawszy od odnalezienia miejsca, skąd wzięli czaszkę. Miałem nosa, redaktorze, prawda? Spójrzcie...

Krażek światła z latarki zaczął pełznąć po niewielkiej izdebce grobowca. Ujrzeliśmy stojącą na samym środku żelazną, przeżartą przez rdzę trumnę. Była rozwalona, jakby rozpękła się pod czyimś ciężarem. We wnętrzu w pyłe i kurzu leżał szkielet ludzki bez czaszki. Czaszkę podrzucono nam pod barak na Uroczysku.

– Biedny Regierungs Rath – powiedziałem współczująco, kiwając smutnie głową. – Zdzielił go w czaszkę Stacho z Poświerka i w ten sposób żywota pozbawił. A i po śmierci nie dano mu zaznać spokoju. Poniewierają jego czerepem jak pustą puszką po konserwach. Zbrodniarze...

Krażek elektrycznego światła powędrował teraz w jeden z kątów grobowca, wyławiając z ciemności, o dziwo, nasze narzędzia. Narzędzia, które nam ukradziono. I te, które zniknęły już w pierwszy dzień pobytu ekipy na Uroczysku, i te, które ukradziono z komórki.

– Widzicie, braciaszkowie? Oto dlaczego złodzieje zamknęli mnie w grobowcu. Zobaczyli pewnie jak wchodzę do wnętrza, i byli pewni, że zauważę narzędzia. Uwięzili mnie tu, abym nie mógł donieść o swym odkryciu. Zwyciężyła moja teza. To ja odnalazłem narzędzia. Ja, a nie Narkuski – dumnie uderzył się w pierś. – Ale przez jaką gehennę⁴¹ przeszedłem! Przeklęty niech będzie ten, kto powiadomił mnie o istnieniu grobowca. Na szczęście dla niego nie pamiętam, kto to taki. Skusił mnie. Przylażłem aż tutaj. Wchodzę do grobowca, zaglądam do trumny i o mało nie krzyknąłem z radości. Szkielet bez głowy! A tu za moimi plecami zgrzyt i trzask. Zatrzaśnięto drzwi, założono skobel. Proszę, błagam, żeby otworzono, wydzieram się na całe gardło, biję pięściami w drzwi. Nikt się nade mną nie ulitował. Tyle tylko, że dziś w południe ci, co mnie uwięzili, wstawili w okienko butelkę z

⁴¹ Gehenna (z hebr.) – piekło.

wodą, pół bochenka chleba i paczkę papierosów „Sport”. Dzięki im i za to. Okazali się choć trochę dżentelmenami. Szkoda, że żadnego z nich nie widziałem, złożyłbym im podziękowanie. Kiedy stawiali w okienko pożywienie, zauważyłem rękę, która na przegubie miała skórzany pasek. Nie, nie pasek od zegarka. Szeroki pasek, jaki zakładają na przegub zapalnicy. Chroni on ich przed naderwaniem ścięgien. Ale szukaj tu takiego. Akurat przyjdzie do nas i pokaże swoją rękę, he, he, he... Dziś wieczorem już miałem nadzieję, że zostanę uwolniony. Spójrzcie sami, ani się tu gdzie położyć, ani usiąść. Na kamieniach nie można, bo reumatyzmu się boję, a nieboszczyka z trumny również nie wyrzucę. Wieczorem usłyszałem jakiś dziewczęcy śpiew. Więc walę w drzwi i krzyczę z całych sił. Gdzie tam, śpiew umilkł...

– Przestraszyła się i uciekła – wtrąciła Babie Lato.

– Widocznie. Myślę sobie z przerażeniem: znowu będę nocował w towarzystwie nieboszczyka bez głowy. Raptem ktoś cichutko porusza skoblem. Próbują, czy dobrze jestem zamknięty – doszedłem do wniosku. I szarpnąłem drzwi. Otwarły się. Wskoczyłem i huzia na złoczyńców...

– Nie poczuwam się... – zauważyłem.

– Omyłka, braciszku. Tylko omyłka.

Zabraliśmy narzędzia i wyruszyliśmy w powrotną drogę na Uroczysko.

Na okrytych mgłą bagnach obok spalonej wierzby głośno zaskrzeczał nocny ptak. A może to chichotał Kuwasa?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

**POGRZEB GŁOWY REGIERUNGSRATHA • PIEŚŃ Z „HAMLETA” •
WĄTPLIWOŚCI NEMSTY • W PIWNICY POD KAPLICĄ • XIII CZY XVII
WIEK? • ZNOWU ZNACHOR • PORTIER I POWIEŚĆ W GAZECIE •
SMAGŁOLICA LEKARKA • POZNAJEMY AUTORA „KSIĘGI
TRUCICIELA” • POSZUKIWACZKA MĘŻA**

Przyjazd profesora Nemsty dokonane przeze mnie uwolnienie doktora Nietajenki z „domu niewoli” niewiele poprawiły stosunki między mną a Dryblasem. Co gorsza, mój niedawny sojusznik w osobie Babiego Lata również przeszedł do wrogiego obozu.

Szczegółowo wyjaśniłem sprawę „listu Kuwasy”. Postawiono mi zarzut, którego można się było spodziewać. Dlaczego widząc śpiącego Dryblasa, świadomy, jakie to może spowodować następstwa, nie obudziłem go, lecz poprzestałem na zrobieniu głupiego kawału? Dryblas wysunął w stosunku do mnie nowe podejrzenie: „Dlaczego to właśnie redaktor odnalazł Nietajenkę. Widocznie wiedział, gdzie on się znajduje, uląkł się pogróżek i uwolnił doktora”. Nemsta wyśmiał Dryblasa i w ogóle zbagatelizował całą historię. Ale nie na wiele się to zdało.

Na szczęście moje sprawy odeszły na plan dalszy. Narzędzi mieliśmy aż za dużo, bo i Nemsta przywiózł jeszcze nową porcję. Zasypane schody w kaplicy nęciły swoją tajemnicą.

Ekipa pracuje więc od świtu do późnego wieczora z małą przerwą na obiad. Z tych też względów i pogrzeb czaszki Regierungsratha, a raczej zwrócenie czaszki prawowitemu kościotrupowi, nie odbył się z taką pompą i paradą, jakiej sobie życzyłem. Uroczystości pogrzebowe wypadły bardzo skromnie; po prostu owinałem w gazetę łepetynę Regierungsratha, wsadziłem ją pod pachę wraz z egzemplarzem „Hamleta” (jest to bowiem jedna z owych dziesięciu książek, jakie zabrałbym na bezludną wyspę) i w towarzystwie Nemsty oraz kościelnego Justa wyruszyliśmy do grobowca na Czartorii. Tam odwinąłem czaszkę z gazety i zanim włożyłem ją z powrotem do rozwalonej trumny, wygłosiłem

niewielkie przemówienie pogrzebowe, posługując się „Hamletem” na podobieństwo brewiarza.

– *Ta czaszka miała język i mogła kiedyś śpiewać, a te gbury cisnęły nią o ziemię, jakby to była szczęka Kaina, pierwszego zabójcy! Może ta łepetyna...* – tu opuściłem niewygodny dla siebie fragmencik – *należała do jakiegoś polityka? Może należała do kogoś, kto chciał podejść samego Boga?* – albo diabła Kuwasę? – uzupełniłem.

Potem czytałem dalej:

– *A może jakiegoś dworzanina, który zwykł mawiać: „Dzień dobry, słodki panie”... A może był to pan Niejaki, który wychwalając konia innego pana Niejakiego pragnął wyludzić od niego rumaka w podarunku?... A teraz pan Niejaki jest własnością pana Robaka... Oto wspaniała przemiana. Szkoda, że nie posiadamy sposobu, aby ją zrozumieć. Czyż narodziny i wychowanie tych gości tylko tyle było ongi warte, by nimi teraz grać w kregle? Własne gości mnie bolą, gdy o tym myślę...*

Zamknęliśmy grobowiec na skobel, a skobel na kłódkę (mądry po szkodzie Nemsta przywiózł z miasta kilkanaście kłódek do wszystkich ważniejszych pomieszczeń baraku). Klucz od kłódki wręczyłem z powagą kościelnemu Justowi.

– Nie dozwól, drogi Dziwaku – rzekłem mu – aby byle kto pomiatał głową, bądź co bądź, poważnego urzędnika jego królewskiej mości króla pruskiego.

Schodząc z Czartorii, powiedziałem do Nemsty:

– Żarty żartami, ale, u licha, powinniśmy na serio zająć się Kuwasą. Do czego to już doszło? Dzień i noc przesiedział Nietajenko zamknięty w grobowcu. A my ciągle wiemy o Kuwasie akurat tyle, co w chwili przyjazdu na Uroczysko.

– Szukaj wiatru w polu – mruknął Nemsta.

Wydał mi się dziwnie markotny i przygnębiony. Zlekceważył moją kłótnię z Dryblasem, a w pogrzebie czaszki Regierungsratha wziął udział tylko dlatego, żeby mnie nie pozbawiać przyjemności. Na domiar on, który zawsze uganiał się za wszelkiego rodzaju tajemnicami i zagadkami historycznymi, ostatnio zupełnie jakoś nie wykazywał większego zainteresowania badaniami. Może na „stypie pogrzebowej” rozwiąże mu się język? – myślałem.

„Stypa” odbyła się, rzecz jasna, u kościelnego Justa. Na stoliku pod lipą znalazł się bianiacek z porzeczkowym winem i gliniane kubki podobne do doniczek na kwiatki. Wypiliśmy niemało, a przecież Nemsta ani trochę nie rozochocił się, ani też nie zdradził, co mu leży na wątrobie. Ku wieczorowi, kiedy szliśmy już na Uroczysko i wypite wino dostatecznie ugruntowało we mnie pretensje i do Nemsty, i do całego świata, wyznałem mu:

– Ładnie mnie urządziłeś, szkoda gadać. To przecież twój był pomysł z tą moją żeniączką z Ireną? Powiedziałem jej o tym.

– I co? I co? – nareszcie okazał jakie takie zainteresowanie.

– I nic. Nazwała mnie gburem i chamem.

– Oooo? Zresztą dobrze ci tak. Po co masz długi język?

Doszedłem do żałości.

– Znasz pieśń Pierwszego Grabarza z „Hamleta”? Nuże więc...

I po nocnej rosie popłynęła szeroko.

*Wiele kochałem za czasów młodości,
A słodkie to było kochanie.
I zdało mi się w młodzieńczej płochości,
Że to już tak zawsze zostanie.*

– Smutna pieśń – westchnął nieszczercze Nemsta.

– Smutna? O to mi chodziło.

*Lecz czas się skradał wolnymi krokami
I w ostre pochwycił mnie szpony,
A potem zepchnął w tę ziemię cmentarną,
Nie dbając o wiek mój miniony...*

Koło baraku jak na złość natknęliśmy się na Babie Lato. Zapewne doskonale słyszała grabarską piosenkę i zorientowała się w stanie naszych umysłów. Rzekła cierpko do Nemsty:

– Czyżby stało się jakieś nieszczęście, profesorze? Sądząc po tej pieśni, spotkała pana przykrość...

Profesor zmieszał się. Postanowiłem go jeszcze bardziej pogłębić. Rzekłem do Babiego Lata:

– Jakież to słowo, moje dziecko, *wymknęło się z zagrody twych zębów?*, jakby powiedział Homer. Nie nieszczęście, ale odrobina radości przydarzyła się profesorowi. Wina wypił.

W jadalni Narkuski obwąchał nas jak wytrawny wyżeł.

– Byliście u Justa, ha? Piliście wino, ha? Beze mnie?... Ciekawe, bardzo ciekawe.

Pogardliwym milczeniem pomiąłem jego uwagę. W najtrudniejszej dla mnie chwili znalazł się w obozie mych wrogów. Nie można było tego nazwać inaczej jak zdradą.

Przed południem wiejski listonosz przywiózł na rowerze gazety i listy. Listy były dla każdego z ekipy. Dla każdego oprócz mnie i Nemsty.

– Widzisz, widzisz, jakie to z nas obydwu sieroty? – zakpił Nemsta. – Nikt o nas nie pamięta, nikt o nas nie myśli.

Nie minęły dwie godziny, gdy przywołał mnie Nemsta.

– Bierz łopatę i popracuj z nami. Każda para rąk się teraz przyda. Dotarliśmy do piwnicy pod kaplicą.

Robotę zorganizowano w ten sposób, że dwóch „smarkaczy” wyrzucało gruz i ziemię na platformę schodów, a stąd przerzucano je już poza kaplicę. Mnie wyznaczono do pracy na samym dole, w piwnicy.

Było tu ciemno, wilgotno i chłodno. Piwnica miała półkolistę sklepienie i wysoka była na dwa i pół metra, wielkość jej tymczasem trudno było określić, wypełniał ją gruz, jakieś żelastwo, kamienie, połupane kawałki piaskowca, granitowe kostki i ziemia.

– Ciekawe, bardzo ciekawe – powiedziałem do Narkuskiego, który oświecał piwnicę naftową lampą, bacząc, co biorę na swoją łopatę.

– Co ciekawe? Co ciekawe? Piwnica jak każda piwnica – oburzył się na mnie Narkuski.

– Ciekawe, czego my tu właściwie szukamy – wyjaśniłem.

– Czego szukamy? Zaraz się pan przekonasz. Intuicyjnie czuję, że niejeden ciekawy przedmiot tutaj odnajdziemy.

– Nie wiem, jak tam z pana intuicją. Tutaj śmierdzi zdechłym szczurem – stwierdziłem.

Narkuski nie zdążył mi nic odrzec, bo Dryblas narobił radosnego wrzasku:

– Mam! Mam! Jest! Wspaniały, starożytny hełm wojownika.

– Ciekawe, bardzo ciekawe – mruczał Narkuski. Odebrał hełm z rąk Dryblasa i stuknął w niego zagiętym palcem.

– Może jakiś strażak go tu zostawił? – wtrąciłem swoje trzy grosze, zaglądając Narkuskiemu przez ramię.

Zbyli mnie milczeniem. Hełm był z grubej blachy, a może z żelaza przeżartego rdzą.

Z góry zbiegł zaciekawiony Nemsta. Odebrał znalezisko Narkuskiemu, kazał sobie poświecić.

– Ech, wy, badacze – powiedział. – Toż to zwykły garnek, sagan z oderwanym uchem.

– Rzeczywiście, panie profesorze – potwierdził gorliwie Dryblas. – Tak też i myślałem.

Nic mu to nie pomogło. Narkuski spojrzał na niego krwiożerczym wzrokiem bazyliuszka.⁴²

– Źle mi pan świecił. Nic nie widziałem – ze złością rzekł do Dryblasa.

W milczeniu wróciliśmy do przerwanej roboty. Nie mogłem sobie odmówić satysfakcji, żeby co pewien czas nie ostrzegać Dryblasa:

– Ostrożniej! Uważniej! Bo znowu wspaniały hełm ujdzie naszym oczom...

Wkrótce jednak rzeczywiście znalazł Dryblas coś godnego uwagi. Była to dolna część starej, pięknie kowanej kadzielnicy, pokrytej kiedyś miedzią. Narkuski z triumfem poniósł ją na górę do Nemsty. Puszył się jak paw.

– A twierdziłem, że była tu kiedyś kaplica. Oto i liturgiczny przyrząd.

– Z równym powodzeniem, braciashku, ta piwnica mogła służyć księżom z kolegiaty za magazyn na rupiecie zaprzeczył mu Nietajenko.

Ja także znalazłem coś naprawdę cennego. Z początku wziąłem ten przedmiot za duży kawał skręconego żelaza. Potem przyjrzałem się uważnie i rozpoznałem sporą figurkę

⁴² Bazyliuszek (z grec.) – gatunek jaszczurki; legendarny potwór o tułowie koguta i ogonie żmii, jego spojrzenie miało zabijać ludzi.

Chrystusa. Wystarczyło zdrapać paznokciem brud pokrywający metal, a błysnął mosiądz i złocona blacha. Był to sfatygowany krzyż wysokości około 80 cm i bardzo misternie wykonany.

Narkuski znowu zapalił się do pobytu w śmierdzącej piwnicy. Zlazł na dół i w jednej ręce trzymając lampę, drugą gmerał w gruzie.

– O, patrzcie! – zawołał – pudełeczko! Ciekawe, bardzo ciekawe. Co to na nim jest napisane? „Papierosy MDM”...

W piwnicy zapadła grobowa cisza. Dusił się od śmiechu.

– To pan mi to podrzucił? Pan? Tak? – krzyknął.

– Owszem, ja – przyznałem się nie bez satysfakcji.

Nic nie odpowiedział, tylko czym prędzej wyniósł się na górę, jakby nie mogąc znieść mego widoku. Ale nie uniknął go. Za chwilę zadzwoniono bowiem na obiad.

Odbył się on bardzo burzliwie i bynajmniej nie sprzyjał trawieniu. Był jarski – ziemniaki, leniwe pierogi. Nieopatrznie położono na jednym ze stołów „kość niezgody” w postaci odnalezionego przeze mnie krzyża. Co chwilę ktoś przerywał obiad, podchodził do krzyża i wyłuszczał swoje przekonanie o jego wartości i wieku.

– Krzyż jest, braciaszkowie, z XIII wieku, głowę za to oddaję – pierwszy stwierdził Nietajenko. – Spójrzcie na tę malutką figurkę Chrystusa. Zrobiono ją z mosiądzu, najpewniej pod koniec XIII wieku.

Narkuski o mało nie udławił się pierogiem. Zerwał się od talerza i podbiegł do krzyża.

– A to? A to, proszę szanownego obywatela? Przyjrzyjcie się stopie krzyża, węzłowi, okładzinom, frontowej jego części. Jakaż delikatna dekoracja grawerunkowa, jak subtelnie wykonane symbole czterech ewangelistów. Ten krzyż pochodzi z przełomu XVI i XVII wieku. Ot co.

Babie Lato stanęła po stronie Narkuskiego.

– XVII wiek – określiła. – Wskazuje na to treflowe zakończenie ramion. Są one okryte pozłacaną blachą. Dekoracja na niej jest siedemnastowieczna, o ile nie myli mnie moja niewielka znajomość historii sztuki.

– Hi, hi, hi – zadrwił Nietajenko odwracając krzyż na drugą stronę. – W takim razie proszę mi wyjaśnić, z jakiego wieku pochodzi ta okładzina ramion? Kilkubarwna limuzyńska emalia, granat, biel, czerwień...

– Ciekawe, bardzo ciekawe – mruknął zdetonowany Narkuski.

– XIII wiek – stwierdziła Babie Lato.

– Aha! – sapnął zadowolony Nietajenko.

Do tej pory nigdy nie brałem udziału w żadnych dyskusjach naukowych na Uroczysku. Znajdowali się tu przecież ludzie, którzy posiadali ogromną wiedzę na temat zabytków, ja zaś dopiero co ukończyłem trzeci rok studiów historii sztuki i choć bardzo wiele czytałem o sztuce dawnych wieków, to przecież wydawało mi się czymś nietaktownym zabierać głos.

Teraz jednak nie mogłem się powstrzymać, aby nie wypowiedzieć swego zdania, choć to mogło mnie narazić na śmieszność.

– Sądzę, że każdy z was ma rację – odezwałem się – ten krzyż pochodzi zarówno z XIII, jak i z XVII wieku.

Zdumienie na chwilę odebrało im mowę. Wreszcie Babie Lato stwierdziło złośliwie.

– No proszę, jaki to z naszego redaktora wielki znawca historii sztuki. Czy może nam pan wyjaśnić, redaktorku, jak to możliwe, aby ten krzyż pochodził zarówno z XIII, jak i z XVII wieku? To przecież absurd.

– A właśnie, że nasz redaktor ma rację – nieoczekiwanie pośpieszył mi z pomocą profesor Nemsta. – Wiem nawet, na jakiej podstawie wyraził on swoją opinię.

Wiedziałem, co miał na myśli. Pobiegłem do naszego pokoju i przyniosłem manuskrypt profesora Nemsty. Pośpiesznie przekartkowałem go, znalazłem poszukiwany fragment rękopisu i przeczytałem:

– „Jak wynika z księgi ekspensów, w 1634 roku kapituła zabrała się gorliwie do reperacji zniszczonego wyposażenia kolegiaty i między innymi złotnikowi w Łowiczu wypłaciła 4 złote za naprawę 2 ampułek i dwóch krzyży tak zniszczonych, że zrobiono z nich jeden”. I oto cała tajemnica – uzupełniłem cytaty z manuskryptu Nemsty. – Krzyż zreperowano w XVII stuleciu, dlatego nosi on znamiona trzynastowieczne i siedemnastowieczne.

– No tak, to jest rozsądne i logiczne – przyznał Nietajenko.

Narkuski z uznaniem pokiwał głową, a Babie Lato, chyba po raz pierwszy odkąd ją poznałem, spojrzała na mnie z nieukrywanym podziwem.

Przyszłość pokazała, że takich zagadek i tajemnic miałem rozwikłać bardzo wiele.

Dumnie rozejrzałem się dokoła.

Nietajenko w dużym kalendarzyku zapisywał dane dotyczące znaleziska. Nagle przerwał pisanie i obwieścił wszystkim:

– A wiecie wy, braciaskowie, że dzisiaj jest niedziela?

Zdumienie. Dziewczyny zaraz narobiły pisku, że o dalszej robocie w piwnicy nie ma mowy, że niedziela jest dniem odpoczynku itd. Oczywiście nie chodziło o żaden odpoczynek. Po prostu każda z nich przywiozła ze sobą trochę świątecznych strojów, w które do tej pory nie miały sposobności się ubrać.

Nemsta machnął ręką na zgodę i pobiegły się przebrać „po świątecznemu”.

– A ja na ryby. O trzy kilometry stąd jest jeziorko z karpami. Idziecie? – zaproponował Narkuski.

Miał tylko trzy wędkę. Zanim zdecydowałem się przyjąć propozycję, Nemsta i Dryblas rozebrali je między siebie. Pozostałem więc na Uroczysku.

Dziewczęta wyszły ze swego pokoju przebrane jak na dansing. A przecież mogły najwyżej przespacerować się po Opornej. Lecz w sprawach stroju rozsądek nie na wiele się

zdaje. Babie Lalo miała jasną spódnicę i białą szyfonową bluzeczkę, Joasia nałożyła na siebie coś bardzo zwiewnego, z rękawami bufiastymi – o ile nie myślę się w tych kwestiach.

W tym otoczeniu strasznie mizerną wydała mi się własna postać w welwetowych spodniach i czerwonej, nieco przybrudzonej koszuli. Ba, dlaczegoż to niby mam mieć więcej rozsądku od nich? Wyciągnąłem z walizki jasny, flanelowy garnitur, białą koszulę i... muszkę.

„Wariat. Kompletny wariat” – pomyślałem sobie przymierzając ją przed lustrem.

Ledwie zapiąłem muszkę, wpadł do baraku jakiś chłopiec przysłany przez kościelnego Justa, abym natychmiast pośpieszył do Opornej. Poszedłem. Po pół godzinie wróciłem na Uroczysko prawie biegiem.

– Kto z was choć trochę zna się na medycynie? – pytałem. – Sprawa jest poważna. We wsi zachorował chłopak. Leczył go znachor ziółkami. Dzieciak jest nieprzytomny.

– Irena była na jakimś kursie PCK – bąknęła Joasia.

– Proszę, niech pani ze mną pójdzie – poprosiłem stanowczo.

Ale choremu potrzebna była natychmiastowa pomoc lekarska. Bolał go brzuch, było to najprawdopodobniej zapalenie wyrostka robaczkowego. Już dłuższy czas skręcał się z bólu, okadzono go czymś, pił ziółka od znachora, a ból stawał się coraz, większy. Chłopak był czarny od męki.

– Tak to jest z tymi, co znachorów słuchają – głosił Just grupce kobiet zebranych przed chałupą. – Znachor w jeszcze gorszą chorobę wpędził chłopaka.

– Niech ktoś zaprzęgnie konie i zawiezie chorego do miasta, do szpitala. Jak to daleko? – zapytałem Justa.

– Piętnaście kilometrów.

– Daleko... Czy dowiozą żywego? Czy nie będzie za późno?

Zajechał przed chałupę wóz wymoszczony słomą i pierzyną.

– Mamy przecież samochód... – szepnęła do mnie Babie Lato.

– Tak. Ale Nemsta na rybach. Zanim go sprowadzimy, zanim wyjedziemy, to oni tym wozem prędzej dostaną się do szpitala. „Ifa” zaś stoi w stodole u sołtysa... – powiedziałem niezdecydowany.

Dziewczyna milczała. Kilka razy nerwowo przeszedłem się przed chałupą. Zapaliłem papierosa.

Dwóch mężczyzn wyniosło chłopaka z chałupy i położyło go na wozie, na pierzynie. Był nieprzytomny. Usta miał czarne i pogryzione z bólu. Co chwila skręcał się, jakby palił go we wnętrzu żywy ogień, nieprzytomnie błędził wokół siebie rękami.

Jak zwykle, gdy wypadło mi zetknąć się z czyjś nieszczęściem, moja nieśmiałość i słamazarność ustępowały. Wyrzuciłem papierosa.

– Dobrze – powiedziałem do dziewczyny – jeśli znajdę kluczyk od startera, pojedziemy.

Kluczyk był u sołtysa. Pędem rzuciłem się do stodoły. Zapaliłem motor i jako tako wyjechałem.

„Przecież, u licha, ukończyłem kurs samochodowy” – pomyślałem.

Za wsią dopędziliśmy wóz z chorym. Przeniesienie chłopaka do samochodu nie zajęło nam nawet pięciu minut. Na tylnym siedzeniu umieściła się matka dzieciaka, chłopca położyliśmy obok niej, tak że trzymał głowę na kolanach matki. Babie Lato siadła koło mnie. Ruszyliśmy.

Na szosie zyskałem pewność siebie. Rozwinąłem szybkość sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Po dwudziestu pięciu minutach od wyjazdu z Opornej byliśmy w miasteczku przed szpitalem.

– Uff – sapnąłem otwierając drzwiczki samochodu.

W portierni szpitala zabarykadował mi drogę wąsaty portier.

– Dziś niedziela, proszę pana. Chorych nie przyjmujemy. Chyba że pogotowie przywiezie... – twierdził rozkładając ręce.

Zaciągnąłem go do samochodu, pokazałem nieprzytomnego chłopca. Pokiwał głową.

– My nie takie rzeczy tu widzimy – pouczał mnie. – Zresztą nie mam pod ręką żadnego lekarza.

– A gdzie są? – wrzasnąłem.

– A skąd ja mogę wiedzieć?

– Przecież to jest szpital...

– Proszę nas nie uczyć...

„Urodzony biurokrata, a wygląda poczciwie jak zdemobilizowany wiarus napoleoński” – pomyślałem.

Położyłem na stole legitymację dziennikarską i wskazałem palcem aparat telefoniczny.

– Jestem ze „Sztandaru Robotniczego”. Niech pan zawiadomi o moim przyjeździe kierownika szpitala. Proszę powiedzieć, że przyjechałem w sprawie służbowej.

Obejrzał dokładnie moją legitymację. Ucieszył się.

– Paaanie kochany – aż zająknął z radości. – Nareszcie będzie mi miał kto powiedzieć, jak kończy się powieść w waszej gazecie. Ten szpieg to jest inżynier Paluszkin, prawda? Bo nasz lekarz powiatowy założył się z aptekarzem, że nie Paluszkin, tylko, jakże mu tam, docent Baraszkin? Prawda?

Babie Lato ręce załamała. Przecież w samochodzie leżało chore dziecko.

– I panie kochany. Jeszcze jedno. W tym waszym konkursie... Zaraz, zaraz, mam tu ten numer... – zaczął grzebać w szufladzie stołu.

– Jezus, Maria! Człowieku! Wszystko ci powiem. Tylko dzwoń po lekarza – krzyknąłem. Muszka mi się przekrzywiła, opływałem potem.

Nareszcie zdecydował się ująć za słuchawkę telefoniczną. Okazało się, że lekarz powiatowy obchodził imieniny i znajdowali się na tej uroczystości wszyscy lekarze szpitalni.

Zaraz też przybiegło młode dziewczę, jak się okazało lekarka, a potem zjawił się gruby chirurg.

Chłopak miał ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. Natychmiast przygotowano salę operacyjną.

– No, dam ja im imieniny – mruzcąłem. – To tak się chorego przyjmuje?

Przyszedł jeszcze jeden lekarz i rozpoczęła się operacja. Młoda lekarka, która pracowała tu dopiero od miesiąca, dorzuciła jeszcze garść szczegółów do moich wiadomości o sposobie traktowania chorych w szpitalu. Miała dziś dzień wolny od pracy i gdy w portierni oczekiwaliśmy na wynik operacji, przyłączyła się do naszej rozmowy.

Była to śliczna dziewczyna o cerze smagłej jak u Cyganki i czarnych, lśniących włosach, gładko przylegających do głowy. Wysoka, długonoga, w jasnym kostiumie doskonale kontrastującym z ciemną cerą i czarnymi włosami. Przypuszczałem, że nudzi się w miasteczku i dlatego tak chętnie nawiązała z nami rozmowę. Mówiła zresztą jakby wyłącznie ze mną, pomijając zupełnie Babie Lato. Od pierwszej chwili poczuły do siebie antypatię, co nietrudno było zauważyć, choćby po niechętnym spojrzeniu, jakim odwzajemniała się jej Babie Lato.

– Znachorzy to nasza plaga – rzekła, kiedy wyjaśniłem jej wypadek z chłopcem z Opornej. – Pełno ich w tym powiecie.

– Powinniście starać się o budowę ośrodków zdrowia na wsiach. W przeciwnym razie samo narzekanie na znachorów niczego nie zmieni – zauważyła sucho Babie Lato.

– O, tak. Tylko że wybudowano już tu jeden taki ośrodek. Nawet ładny budynek. Ale puste pokoje, chociaż i najładniej wymalowane, jeszcze nikogo nie wyleczyły... – odpowiedziała lekarka.

Babie Lato wzruszyła ramionami. Zainterесowałem mnie problem leczenia w tym zaniedbanym powiecie. Z opowiadań Justa wiedziałem o perypetiach, które przeżyli mieszkańcy Opornej chcąc zorganizować izbę porodową. Jeździli nawet w tej sprawie do Warszawy. Lecz izba porodowa pozostała na papierze, w planach wydziału zdrowia Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Zapytałem młodą lekarzkę o drogę do Prezydium.

– Chętnie pokażę panu – zaofiarowała się z ochotą.

Babie Lato nie wiadomo dlaczego uśmiechnęła się milcząco, ale złośliwie.

– Zostanie tu pani, czy pójdzie razem z nami? – zapytałem Irenę.

– Zostanę. Nie... pójdę – zdecydowała się. Teraz już wyraźnie wrogo patrzyła na młodą lekarzkę.

W miasteczku R. jednopiętrowe rudery nosiły ceglaste odpryski odpadniętego tynku i czarne smugi wilgotnych zacieków. Wąskie, wyboiste uliczki popstrzone były kupkami końskiego i krowiego nawozu, na którym baraszkowały swawolne wróble. Na ławkach przed domami wypoczywali starsi mieszkańcy, z nogami leniwie wyciągniętymi aż na porujnowane chodniki, środkiem jezdni spacerowali miejscowi eleganci w obowiązkowo granatowych

garniturach i tęgie, prawie kwadratowe dziewoje z wysoko zaczesanymi włosami. Na malutkim skwerku z dużą łąką zielonego trawnika jakiś kundel bezceremonialnie salutował nogą „pamiętkę narodową”, obelisk z napisem równie zatartym jak i ten na płycie w kolegiacie.

– Po co idziemy do Prezydium? Przecież dzisiaj niedziela. Nikt tam nie urzęduje – powiedziała nagle Babie Lato.

– Rzeczywiście...

Przystanąłem zakłopotany.

– Oooo! – uradowałem się nagle.

Tuż obok nas nad drzwiami malutkiego zamkniętego na żaluzje sklepiku widniał duży szyld. Wołowymi literami czerwoną farbą wypisano na nim:

JACENTY GROSZEK. ZIOŁA

Cały ten napis był przekreślony na skos chlapnięciem pędzla i obok znajdowała się tabliczka:

PUNKT SKUPU ZIÓŁ Nr 1

– Chciałbym poznać pana Groszka. Mam sprawę do niego – powiedziałem dziewczynom.

Jak było do przewidzenia, Jacenty Groszek mieszkał tuż za sklepem w małej izbie. Kilka skromnych sprzętów pokrywała gruba warstwa kurzu. Nie było to mieszkanie, a raczej dalszy ciąg sklepu. Suche pęki ziół wały się po całej izdebce, pachniało suszonym rumiankiem.

Jacenty Groszek pitrasił właśnie obiad na koślawym żelaznym piecyku. Był chudy, wysoki jak Anglik, lat około pięćdziesięciu. Palił zresztą prostą angielską fajeczkę i miał arystokratyczne maniere, co zauważyłem, gdy z ogromną gracją poprawiał nieustannie zsuwające mu się z długiego nosa pince-nez.⁴³ Głęboko skłonił się przed młodą lekarką, nieco płytszy ukłon złożył Babiemu Lato. Mnie podał rękę.

Powiedziałem mu prosto z mostu:

– Jestem ze „Sztandaru Robotniczego”. Sprowadza mnie do pana następująca sprawa. W tutejszej okolicy grasuje znachor. Stary, niechlujny, leczy ludzi ziołami. Pan jako zielarz na pewno już się z nim zetknął. Chciałbym wiedzieć, jak zobaczyć się z tym człowiekiem. Próbowałem nawiązać z nim kontakt przez chłopów, ale to mi się nie udało. Wykręcali się, że nie wiedzą, gdzie go można spotkać. Znachor robi poważną szkodę. Dziś z jego winy o mało nie umarło dziecko... Mam notatnik znachora, jakiś zbrodniczy charakter.

Jacenty Groszek swym długim nosem o mało nie dziobnął notesu, który wyciągnąłem z kieszeni.

⁴³ Pince – nez (franc.) – binokle, okulary trzymające się na nosie przy pomocy sprężyny.

– Dziwię się panu, redaktorze – rzekł z angielską flegmą. – Czy to na podstawie notesu mniema pan o zbrodniczym charakterze znachora? To, że tyle w nim napisane o truciznach, niczego nie dowodzi.

– Ooo! – zdziwiłem się, nie dorównując mu opanowaniem.

– Poza tym ten notes jest moją własnością i proszę mi go zwrócić.

– Oooo! – zdziwiłem się jeszcze raz

I zaraz wyjaśniła się historia „Księgi truciciela”.

Jacenty Groszek od wczesnej młodości interesował się ziołami. Wiele na ich temat czytał, studiował, opublikował w sprawie ziół popularną broszurkę. Do niedawna był właścicielem sklepu z ziołami, a obecnie prowadzi punkt skupu ziół dla Centrali Zielarskiej. Ostatnio, w związku z kilkoma ciekawymi okazami roślin odnalezionymi przez niego w okolicach bagien Uroczyska, koresponduje nawet z Polską Akademią Nauk, pisze również rozprawę naukową pt. „Prymitywne ziołolecznictwo na wsi w świetle tradycji ustnej i pisanej”. W notesie odnalezionym przez Justa koło kolegiaty miał kilka zapisek do swej pracy. Zgubił notes przed trzema tygodniami, zapewne w chwili, gdy nałaziwszy się po łąkach wypoczywał w cieniu lip przy kolegiacie.

– Te bzdury o sposobach na czary też pan zużytkuje w swej rozprawie? – nie przestawałem się dziwić.

– Bzdury? Być może. Wypisałem je z księgi J.K. Haura z roku 1693 pt. „Skład albo skarbiec znakomity sekretów oekonomiey ziemiańskiej”. Bardzo ciekawy przyczynek do naszej wiedzy o kiedyś używanych lekach.

O znachorze wiedział bardzo niewiele. Ale w każdym razie potrafił mi powiedzieć, gdzie winienem go szukać. Notes, rzecz jasna, zwróciłem właścicielowi. Babie Lato dusiła się ze śmiechu.

– No, odnalazł pan swego truciciela – drwiła ze mnie w powrotnej drodze do szpitala. – Sądzę, że równie pocziwym człowiekiem okaże się pański diabeł Kuwasa.

– Po pierwsze: taki on mój jak i pani. A po drugie, nie jest chyba równie pocziwy, skoro pobił Nemstę, dwa razy ukradł nam narzędzia i zamknął Nietajenkę w grobowcu.

Młoda lekarka oczywiście nic nie rozumiała z całej tej historii. Opowiedziałem jej więc o przygodach z diablem Kuwasą.

– Jeśli pani znudzi się miasteczkiem, proszę któregoś wolnego dnia odwiedzić Uroczysko. To stąd tylko piętnaście kilometrów, a trzy kilometry od autobusu. Pokażę pani kurhan prasłowiański i piękną romańską kolegiatę – zachęcałem ją do odwiedzin.

W oczach Babiego Lata dostrzegłem prawie nienawiść; nie wiem, do mnie czy też do lekarki. Przeciwnie lekarka – uśmiechała się z ogromną wdzięcznością.

– Naprawdę pokaże mi pan kolegiatę? I Uroczysko? I grobowiec, gdzie był zamknięty ten Nietajenko?

– Wszystko pani pokażę. Uroczysko jest piękne i tajemnicze. Nie pożałuje pani swego przyjazdu – zapewniałem.

– Dobrze. Przyjadę.

Jej czarne oczy rzuciły mi jakąś obietnicę. Jaka? Ta obietnica potwierdziła się jeszcze i przy pożegnaniu, gdy długo trzymała moją rękę, darząc ją miękkim uściskiem.

Operacja chorego chłopca odbyła się pomyślnie. Chirurg przyznał, że gdyby nie szybkie dostarczenie chłopca do szpitala, kto wie, czy ten wypadek nie zakończyłby się śmiertelnie. Matka chłopca dziękowała nam bardzo serdecznie, zapewniając o swej ogromnej wdzięczności.

– Jak państwo będą czegoś potrzebować, masła, mleka czy jajek, to przychodźcie do mnie. Do mnie – prosiła.

Wracaliśmy samochodem nocą sami, bo matka chłopca postanowiła pozostać w miasteczku jeszcze do następnego dnia, żeby mieć pewność co do zdrowia dziecka.

– Prawda, że prześliczna dziewczyna? – w powrotnej drodze zapytałem Babie Lato o lekarkę.

– Nie wiem. Pan, zdaje się, jest lepszym ode mnie znawcą kobiecej urody – bąknęła niechętnie.

– Śliczna i bardzo miła – stwierdziłem.

– I niebezpieczna. Wyraźnie poluje na męża.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

**O KURHANACH, GROBACH I GROBOWYM ŚWIECIE • ZŁOTO? •
KOBIECY BYWAJĄ ZAGADKOWE • KUWASOWE TALARY •
SPOTKANIE W KOLEGIACIE • W PODZIEMNYM KORYTARZU •
ROZCZAROWANIE**

Nad Uroczyskiem wisi upał. Niebo jest aż ciemne od gorąca, mgliste jak lustro, na które chuchnął ktoś gorącym oddechem. Nigdzie nie widać najmniejszej chmurki, ale jednocześnie czuje się, jak powietrze gęstnieje w burzową chmurę. Mokradła i bagna zieją zgnilizną, rozsiewając dookoła roje drobniutkich muszek i komarów, natrętnie przylepiających się do twarzy.

Jesteśmy już opaleni na czekoladowo, choć nikt specjalnie nie wylegiwał się na słońcu. Od brązowej skóry ramion Babiego Lata wyraźnie odbija jasna barwa jej włosów. Wydaje mi się, że straciły one jakby swój złoty odcień, który przypominał mi stare złoto. Słońce wypaliło je, uczyniło jaśniejszymi.

W baraku pocą się żywicą deski ścian. Pachnie lasem i sianem. Czytam nagromadzoną przez Nemstę lekturę o prasłowiańskich kurhanach i dreszcz przenika mnie już w zetknięciu z tytułami książek i rozpraw naukowych. Lecz nie jest to dreszcz, który chłodzi. Odzywa się we mnie niechęć zrodzona jeszcze w nudnych latach szkolnej nauki. Niechęć do ścisłych naukowych sformułowań, do suchych wywodów naukowych, do precyzyjnego myślenia.

A jednak wytrwale notuję w swym brulionie:

Kamienne kurhany i mogiły – to szczególna odmiana prasłowiańskich grobów. Najwięcej ich znaleziono w Meklemburgii, sporą ich ilość odkryto w Czechach – licznie występują one w zachodniej części ziem słowiańskich, o wiele rzadziej w ich części środkowej i wschodniej. Cechę charakterystyczną takich mogił stanowi to, że mają one postać starannie

ułożonych stosów, które pokrywa z wierzchu niewielka warstwa ziemi; zdarzają się także mogiły z warstw gliny i kamienia.

Kurhany natomiast zwyczajne (a do takich należy chyba również i kurhan na Uroczysku, o ile to rzeczywiście kurhan) mają treść przeważnie gliniano-ziemną, a jeśli w skład ich wchodzi także materiał kamienny, to albo tylko jako podkład dolny, albo jako umocnienie zewnętrznego brzegu kurhanu.

Podobnie jak i w kształtach i rodzajach nasypów, tak i co do ich wielkości zachodzą bardziej liczne odmiany; kurhany istniejące np. w Polsce centralnej mają przeciętnie 2-3 m wysokości, a wyjątkowo jeden z nich liczy 4 m, jeden zaś pod Popłacinem w pow. gostynińskim aż 15 m. W południowej części Polski wymiary kurhanów mieszczą się w granicach od 2 do 12 m; na Podolu od 5 do 8 m; najwyższe ze wszystkich znajdują się na Ukrainie, gdzie obok licznych średniej wysokości (1-4 m) zdarzają się wysokie na kilkadziesiąt i nawet kilkaset metrów, a do rzędu tych należy mogiła Soroka, która przed rozkopaniem liczyła 285 m.

...Przed setkami lat ludzie wyobrażali sobie, że życie pozagrobowe jest jakby dalszym ciągiem życia ziemskiego z wszystkimi jej materialnymi potrzebami. Stąd też groby, kurhany pradawne oprócz szczątków ciała zmarłego zawierają również broń zmarłego, ozdoby, jedło i napój w naczyniach. Sądzono, że wszystkie przedmioty, które konieczne były człowiekowi za życia, będą mu również potrzebne i po śmierci. Równocześnie jednak panowała chyba ogromna wiara w upiory, lękano się, aby zmarły nie wrócił jako upiór między żywych w razie niespełnienia jego jakichś życzeń. Dlatego też był zwyczaj krepowania ciała zmarłego w pozycji bardzo niewygodnej, skurczonej, później zaś z tego chyba względu powstał zwyczaj palenia ciała nieboszczyka, co miało ostatecznie zabezpieczyć żyjących przed jego powrotem.

W grobowym świecie ludów zamieszkujących dawne ziemie słowiańskie panuje ogromna różnorodność zarówno, w typach grzebalnych, jak i w sposobach zabezpieczenia szczątków ludzkich przed zniszczeniem. Naukowcy dokonali podziału na groby szkieletowe z resztkami ciał pogrzebanych w całości i na groby ciałopalne, z popiołami ciał spalonych. Właściwością grobów prehistorycznych jest i to, że we wnętrzach ich, niezależnie od tego, czy jest to grób szkieletowy, czy też popielnicowy, lecz zwłaszcza przy urnach z prochami, znajdują się tzw. „przystawki”, których ilość, jakość i sposoby rozmieszczenia bywają bardzo różnorodne. Na taki inwentarz grobowy składają się najczęściej wyroby gliniane, przedmioty

kamienne, metalowe, szklane, rogowe itd., jak również uzbrojenie zmarłego, narzędzia, naczynia, którymi się posługiwał. W zależności od rodzajów materiału, z którego przystawki są zrobione, i charakterystycznych znamion tych wyrobów, rozróżniają archeologowie dalsze odmiany typowe, wiek znaleziska itd., stwierdzające, czy dany grób pochodzi na przykład z epoki kamienia, brązu itd.

Do najcenniejszych znalezisk kosztownych kruszców na ziemiach słowiańskich należą dwa skarby odkryte w latach 1877 i 1897 na pastwisku gminnym pod Michałkowem nad rzeką Nieclawką kilkadziesiąt sztuk ozdób i naczyń przeważnie ze złota. Do najbogatszych zabytków grobowych z przystawkami złotymi zaliczono skarb znaleziony w 1884 roku we wnętrzu wielkiego kurhanu pod Ryżanówką na Ukrainie...

Złoto???

Złoto w kurhanie???

Może jest więc jednak trochę prawdy w legendzie o ukrytym w kurhanie na Uroczysku ogromnym skarbie diabła Kuwasy? I może to właśnie my, rozkopując kurhan odnajdziemy złote ozdoby i naczynia, złożone tu wraz z prochami jakiegoś prasłowiańskiego księcia?

Tak się przejąłem tą możliwością, że porzuciłem książki i notatki.

Nemsta przygasił mój zapal.

– Złoto? – wzruszył ramionami. – Raczej rzadko odnajduje się podobne skarby. Ja osobiście byłbym bardziej zadowolony, gdybym zamiast złotych przystawek odnalazł w naszym kurhanie komplet uzbrojenia wojownika z epoki brązu. Akurat taki potrzebny jest naszemu muzeum.

Ot, i macie sposób myślenia naukowca. Złoty skarb to dla niego mało ważne. Jemu potrzebny komplet uzbrojenia z epoki brązu.

Dnie na Uroczysku wloką się ostatnio bardzo ospale i nieciekawie. Od kiedy zawieźliśmy chore dziecko do szpitala, nawiązaliśmy z wsią wielką przyjaźń. W bród mamy jajek, mleka, masła i chleba, po które od tej pory nie potrzebujemy jeździć do miasta. Być może na te nowe stosunki miały wpływ i odczyty we wsiach. Chłopi dowiedzieli się, iż nie po Kuwasowe skarby przyjechaliśmy na Uroczysko.

Do pomocy w pracach badawczych zgłosiło się ze wsi dwóch kilkunastoletnich wyrostków. Jędrzek i Wojtek, ci sami, co to w ów dzień, gdy wędrowaliśmy z Narkuskim w poszukiwaniu tajemniczego Dziwaka, wołali za nami: „Panowie, dajcie trochę Kuwasowego złota”. Młode, wesołe chłopaki. A jacy wszystkiego ciekawi. Narkuski i Nietajenko mają w nich cierpliwych słuchaczy swoich naukowych kłótni. Jędrzek i Wojtek nic nie rozumieją ze sporów obydwu doktorów, ale przysłuchują się im z najwyższą uwagą.

Przyjazne stosunki ze wsią decydują chyba również i o tym, że ostatnio nie powtórzyły się więcej złośliwe figle diabła Kuwasy. Kuwasa zapadł się w bagna, zniknął jak nieufność chłopów. Lecz czy na długo?

Nemsta i reszta ekipy jest zdania, że Kuwasa przepadł już na zawsze. A ja? Ja jestem przekonany, że Kuwasa ukrył się tylko na krótki czas, bo przepadł i znachor po niefortunnym leczeniu chorego dziecka. Lecz zjawi się. Zjawi się na pewno, kiedy przystąpimy znowu do robót przy kurhanie. Wtedy zacznie działać. I to nie przebijając w środkach – jeśli zależy mu, abyśmy nie rozkopali kurhanu.

Wszyscy jednak lekceważą moje obawy. Skompromitowała mnie sprawa „Księgi truciela”. Babie Lato dołożyła wszelkich starań, aby z sobie właściwą złośliwością złożyć wszystkim relacje o moim spotkaniu z panem Groszkiem. Dlatego też jak najbardziej unikam przebywania wśród naszej ekipy, ograniczając się do koniecznych spotkań w godzinach posiłków. Przez całe dni albo czytam, albo też odbywam spacer, które zazwyczaj kończą się w ogrodzie u Justa dłuższą pogawędką zakrapianą winem.

Z daleka tylko obserwuję Babie Lato. Widzę, jak dziewczyna uśmiecha się do innych, jak wymienia z innymi miłe słówka. Gdy natknie się na mnie – milknie, uśmiech znika z jej ust i dostrzegam w spojrzeniu jakby wyrzut, jakby prośbę, abym zbliżył się do niej, zagadał przyjaźnie. Lecz przestałem już ufać swoim spostrzeżeniom. Czuję się zresztą obrażony. Jeśli chce ze mną zgody, niech pierwsza rękę wyciągnie.

Któregoś dnia Nemsta powiedział mi, z wieloznaczącym uśmiechem, gładząc swoją brodę:

– Nigdy bym nie przypuszczał, że masz w Irenie aż takiego obrońcę. No, no, no...

– O co chodzi? – nastroszyłem się jak kwoka, podejrzewając nową złośliwość Babiego Lata.

– Ktoś z nas twierdził niedawno, że jesteś straszna fajtłapa i ślamazara.

Zacisnąłem usta.

– ...I Irena – ciągnął spokojnie Nemsta – powiedziała, że bardzo się mylą. Ona przekonała się wtedy, gdy zawieźliście dziecko do szpitala, że jeśli chcesz, potrafisz być bardzo energiczny. A to, co oni biorą za ślamazarność, to po prostu grzeczność i subtelność, którą się odznaczasz.

– Niedawno rzekła o mnie: gbur i cham – zauważyłem.

– No widzisz... kobiety są zagadką – machnął ręką Nemsta.

...Smaży się w gorącu wysepka Uroczyńska. Zapach gnijących łądyg trzciny i tataraku, parujące bajorka zastygłego błota dusznym zapachem przyprawiają o ból głowy. Jakby rozwścieczone upałem tysiączne roje drobniutkich muszek wirują nad głową i pchają się do oczu i uszu. A u Justa pod lipą jest zapewne przyjemnie i chłodno. I tyle świeżego powietrza.

Niestety, nie zastałem Justa w domu. Pojechał z księdzem do chorego. Jego żona z tajemniczą miną ostrożnie szepnęła mi do ucha:

– Dobrze, że mąż pojechał, pokażę coś panu. On to ukrywa, bo boi się, że mu zabiorą. Znalazł to jeszcze przed dwudziestu laty koło kopca na Uroczysku i od tych pór tyle gada o zakopanych skarbach. Talary znalazł. Dwa srebrne talary. Powiada, że zgubił je tam diabeł Kuwasa. A ja taka ciekawa jestem, czy to naprawdę ze srebra...

Zaprowadziła mnie do mieszkania, do czyściutkiego pokoiku, gdzie pełno było świętych obrazów i stało łóżko wysoko zasłane dużymi poduszkami, a obok szafa i komoda zastawiona licznymi odpustowymi figurkami świętych. Justowa zdjęła z szafy gliniany dzbanek, bardzo ładnie malowany, przechyliła go i na rozwartą dłoń wysunęły się dwa srebrzyste krążki.

Talary?...

Nie znam się na starych monetach. W latach szkolnych miałem kolegę, Barczewski się nazywał, a jego ojciec posiadał duży zbiór rzymskich monet. Obejrzałem dokładnie podane mi przez Justową „talary”. Tak, chyba takie widziałem u Barczewskiego. Srebrne rzymskie denary. Na monetach wizerunek otyłej twarzy mężczyzny. Czy to nie Neron? Barczewski akurat taki samiutki denar mi pokazywał i mówił: „Przyjrzyj się, jak wyglądał Neron, jaką ordynarną miał gębę”.

– Są rzeczywiście ze srebra. Ale to nie talary, tylko denary wybite pod koniec I wieku po narodzeniu Chrystusa. Prawie dwa tysiące lat temu – jak umiałem wyjaśniłem Justowej. – Pochodzą z państwa, które istniało wtedy bardzo daleko stąd, aż nad Morzem Śródziemnym. I na Uroczysku je mąż odnalazł?

– Na Uroczysku. Tuż przy samym kopcu, czyli tym kurhanie...

– Ciekawe, bardzo ciekawe – mruknąłem jak Narkuski. – Kupcy rzymscy przejeżdżali tędy kupować bursztyn. Zapewne któryś z nich nocował na Uroczysku i zgubił dwie monety.

Zwróciłem jej denary, wziąłem klucz od kolegiaty. Może właśnie dziś uda mi się odczytać brakujące słowo dla wyjaśnienia zagadki skrytki?

Tuż nad horyzontem ciemną plamą poczynała rysować się czarna, burzowa chmura. Powietrze było parne, duszne. Słońce świeciło blado, zmęczone upałem. W ciszy, jaka trwała dokoła, czuło się odrobinę niepokoju. Wrażenie to czyniły raz po raz migające wysmukłe ciała jaskółek. Ich lot był bardzo zwinny, a jednak jakby trochę nerwowy przez swój pośpiech. Płuca pracowały ciężko, z wysiłkiem, zdawało się, że w powietrzu zabrakło tlenu, że wypaliła go do cna trwająca od rana spiekota.

Kiedy otwierałem drzwi kolegiaty, czarna chmura wychyliła spoza horyzontu swe ogromne cielsko. Była jak ruina fantastycznej budowli. Nie martwiłem się jej nadejściem. Dach kolegiaty zabezpieczał przed deszczem.

Cichutko jak duch przesunąłem się między wspierającymi ganki kolumnami. Kanonik w birecie powitał mnie skrzywioną, niechętną twarzą, ale na napisie u jego stóp wesoło, przyjaźnie drżały złote cienie słońca, sączącego się z okna.

Przyniosłem sobie trzy cegły, zrobiłem z nich niski stołeczek i usiadłem na wprost nie odczytanego wyrazu.

Omnia sub parva... iacere vide.

„Zobacz, że wszystko pod małą... zostaje złożone”.

Pod czym? Pod czym, u licha?

Ledwie wyczuwalne palcami wypukłości na płycie. Aż oczy bolały od wypatrywania.

Jaka jest pierwsza litera w nie znanym mi słowie? „M”, czy też „N” i „I”? A potem „O”. Tak, na pewno „O”. A dalej?

Wesołe, ruchliwe cienie nagle znikły, pozostała szara ściana kamienia. Spojrzałem w okno. Stało w nim skrzydło burzy, zasłaniając słońce. Błysnęło, zajaśniało w kolegiacie, jakby ktoś na sekundę zapalił ogromny żyrandol. Potem znowu mrok, lecz teraz większy niż przed chwilą. I piorun. Łoskot jak w górach przewalił się po triforiach, po nawach, echem zadudnił w kwadratowych wieżach.

Odtąd co chwilę błyskały w kolegiacie ogromne żyrandole i gasły napełniając ją niebieskawym mrokiem. Po kamiennych nawach i triforiach jeździły naładowane ciężko wozy, dudniąc, łoskocząc, skacząc po wybojach. Do szyb w oknach kolegiaty zaczęły się przytulać gałązki drzew smaganych wichrem, wreszcie zalały je potoki wody. Rozszalała się burza. W zacisznym wnętrzu ogromnej budowli, siedząc na ceglany stolku, wygodnie oparty o romańską kolumnę z przyjemnością wsłuchiwałem się w ryki burzy.

W pewnej chwili, między dwoma grzmotami, wydało mi się, że usłyszałem skrzyp żelaznych drzwi. Potem z mroku zalegającego południową nawę wolniutko wysunęła się szczupła sylwetka Babiego Lata. Mokre włosy oblepiły jej głowę, biała bluzeczka przylgnęła szczelnie do ramion.

Zauważyłem ją kącikami oczu, lecz nie zrobiłem w jej stronę najmniejszego ruchu.

– A pan... ciągle studiujecie napis? – zagadnęła.

– Tak... – mruknąłem nie odwracając głowy.

– I odczytał pan wreszcie to brakujące słowo?

– Nie...

Błyskawica wielkim zygzakiem zajaśniała aż w trzech oknach. Natychmiast potem runął straszliwy łoskot kamiennej lawiny. Znowu błysk i w tym okamgnieniu ujrzałem przestraszoną twarz Babiego Lata. Stała tuż przy mnie. Była blada lub może mnie tylko zdawała się blada. Wrażenie to mylił bowiem jej głos spokojny i jak zwykle lekko drwiący:

– Byłam we wsi po zakup prowiantu. Myślałam, że zdążę na Uroczysko przed burzą. Przeliczyłam się i na pewno zmokłabym do nitki, gdybym nie zobaczyła otwartych drzwi kolegiaty. Wchodzę tu i oczywiście kogo zastaję? Samotny, zadumany nad łacińskim napisem...

Przymknąłem oczy, tak bardzo chciałem się odgrodzić od tego, co mówi. Zrozumiała to, bo zaraz ton jej głosu nabrał cieplejszej barwy.

– Joasia zwierzała mi się, że chciałaby pana przeprosić. Lecz gdy tylko zbliży się do pana i natrafi na pańskie spojrzenie podobne do wzroku złego wilka, traci wszelką śmiałość. Tak

dosłownie wziął pan ten żart, że jest pan Kuwasą? Niemądrze postąpił Dryblas, czy jak go tam pan nazywa. Lecz pan zaraz na nas wszystkich się obraził. I na mnie... Unika nas pan, omija. To chyba przykra taka samotność?

– Nie.

– Nie? Więc może niepotrzebnie pana żałuję?

Wstałem z ceglanego stołka. Nie wstałem, a raczej zerwałem się z niego.

– Zbyteczna jest pani litość. Poniżej mnie współczucie.

Głos mi drżał, gorycz ścisnęła za gardło. Nie chciałem, by to wyczuła. Postawiłem kołnierz marynarki i szybko wybiegłem z kolegiaty. W ulewę, w potoki deszczu. Świadomy, że po minucie przemoknę aż do ciała, pędem rzuciłem się w stronę Uroczyska, niewidocznego za ścianą zlatującej z chmur wody.

– Tak, tak, tak – szeptałem do siebie biegnąc. – Wyjadę stąd. Wyjadę, jak tylko rozkopią kurhan. Dość już przykrości. Dość, dość...

W naszym pokoju natychmiast wdziałem na siebie suchą odzież.

– Wracasz ze wsi? A Ireny nie widziałeś? – dopytywał się Nemsta.

Kiwnąłem głową.

– Widziałem ją. Zdaje się, że kupowała prowiant.

– Zwariowała? – rozłościł się Nemsta. – Toż przecież prowiantu mamy przynajmniej na dwa dni. Po co tam poszła? Poszła, a tu robota czeka. Czy wiesz, jakie zrobiliśmy odkrycie? Wyobraź sobie, że w piwnicy „kaplicy” odnaleźliśmy wejście do jakiegoś podziemnego korytarza. Jak tylko deszcz ustanie, wejdę go zbadać.

– A ja z tobą – oświadczyłem bez namysłu. Ogarnęła mnie radość. Babie Lato kłamała mówiąc, że była we wsi po prowiant. Była w innym celu. Czyżby po to, aby mnie odszukać, ze mną się spotkać?...

– Podziemny korytarz? Dokąd on prowadzi? Czy jesteś pewny, że to nie druga piwnica, lecz korytarz? – zasypałem Nemstę pytaniami.

Zniecierpliwił się.

– Wiem tylko, że wejście do korytarza czy też, drugiej piwnicy jest od strony kolegiaty.

– Czyżby to było podziemne połączenie z kolegiatą?! – wykrzyknąłem.

– Może – powiedział spokojnie. W starych budowlach spotyka się podobne przejścia. Budowano je na wypadek ucieczki przed nieprzyjacielem.

Po pół godziny deszcz ustał zupełnie i zaświeciło słońce. W jego czystym blasku Uroczysko jakby obsypał ktoś perłami mieniącymi się delikatnymi odcieniami przeróżnych barw. Ogromna tęcza wystrzeliła spoza Czartorii i zatoczywszy łuk przez pół nieba opadła gdzieś koło kolegiaty. Bagna upodobiły się do ogromnego jeziora, marszczonego podmuchami wiatru. Płuca oddychały orzeźwiającym powietrzem. Babie Lato podskakując na ścieżce jak kilkuletnia dziewczynka zabawiająca się skakanką przybiegła na Uroczysko z naręczem omytych przez deszcz polnych kwiatów.

Nemsta nowiuieńkimi baterijkami załadował dwie elektryczne latarki. Dryblas i Nietajenko wpraszali się do udziału w wyprawie, lecz odmówił im z zartobliwą uwagą:

– Ja i redaktor jesteśmy sierotami, nawet listów nie otrzymujemy. Niech więc mamy ten przywilej, że pierwsi wejdziemy w tajemnicze podziemia. Przynajmniej nikt po nas nie będzie płakał, jeśli zawali się nam coś na głowę.

Cała ekipa towarzyszyła nam aż do piwnicy, którą Narkuski oświetlił dwiema naftowymi lampami. Dopiero teraz po raz pierwszy zobaczyłem piwnicę w całej okazałości.

Miała chyba piętnaście metrów kwadratowych. Zbudowana była z granitowych kostek, ze sklepionym łukowato sufitem. Na wprost zejścia ze schodów czerniał w ścianie prostokątny otwór, zapewne kiedyś zamykany na żelazne drzwi, bo resztką ich trzymała się jeszcze na wykruszonym z muru przerdzewiałym zawiasie.

Z podziemnego korytarza dochodził szmer spływających po ścianach kropel, cuchnęło piwnicznym odorem wilgoci, pleśni i gnijącej wody. Kiedy Narkuski zbliżył się z lampą do otworu, na progu pojawił się wielki szczur. Oślepiony światłem, a potem przerażony widokiem ludzi, jakby skamieniał na sekundę, a jego oczki zaśniły czerwono jak dwa korale. Potem pisnął i znikł bezszelestnie.

Babie Lato bez słowa wcisnęła mi w rękę motek sznurka.

– Patrzcie państwo – zakpił Dryblas. – Ariadna i Tezeusz! Nie ma obawy, nie napotkacie Minotaura.⁴⁴

Zawstydzona dziewczyna schowała się w najciemniejszy kąt piwnicy.

– No, sznurek będzie nam potrzebny. Trzeba nim zmierzyć długość korytarza – zauważył Nemsta.

Wręczył mi jedną latarkę elektryczną, drugą sobie zostawiając. Zapalił ją i rzekł:

– Chodźmy wreszcie...

Weszliśmy.

W podziemnym korytarzu swobodnie mogło kroczyć obok siebie nawet i trzech tęgich mężczyzn. Ale nisko sklepiony sufit zmuszał Nemstę, który jest wyższy ode mnie, do pochylania głowy. Trzeba było ciągle uważać i świecić, gdyż gdzieś tam zaprawa spajająca granitowe kostki jakby straciła swą moc pod wpływem wilgoci. Kamienie wysunęły się z sufitu i zwisały, w każdej chwili grożąc upadkiem. W tych miejscach najczęściej wąską strużką sączyła się po ścianie woda, zbierając się na ziemi w duże kałuże, skąd zapewne wyżłobionymi w ciągu lat kanalikami uciekała gdzieś w głąb ziemi. Ściany i sufit pokrywała zielonkawa pleśń, śliska i lepka jak skóra węża.

– Ile już uszliśmy kroków? – zapytał Nemsta.

– Dwadzieścia jeden.

– A więc ciągle jeszcze wędrujemy przez teren wysepki Uroczyska.

⁴⁴ Tezeusz, Ariadna, Minotaur (grec.) – postacie z mitologii greckiej.

Łagodny skręt. Coraz więcej wody. Chłupiemy już w niej po kostki, bo korytarz trochę się obniżył. Lecz poza tym wciąż tak samo jak i poprzednio – pokryte zieloną pleśnią ściany i sklepiony sufit z kostek eretycznego granitu.

– O, patrz! – Nemsta przystanął.

Stał ze ściany kozuch pleśni, ukazując wykuty w kamieniu spory krzyż z liczbą u dołu:

1160.

– Tysiąc sto sześćdziesiąt metrów? Czyżby tak długi był korytarz? – zdziwiłem się.

– Gdzie napisano: „metrów”? W dawnych czasach nie mierzono na metry. A poza tym nic ci nie przypomina ta liczba? W którym roku ukończono budowę kolegiaty?

– A więc o to chodzi? Rzeczywiście, w 1160 roku. Można więc sądzić, że ten podziemny korytarz jest równie stary jak cała kolegiata, że wybudowano go równocześnie z kolegiatą?

– I najpewniej prowadzi do kolegiaty...

Tu Nemsta trawiony ciekawością ruszył szybko naprzód, a ja podążyłem za nim. Lecz nie uszliśmy daleko Jeszcze jeden łagodny zakręt i oto przed nami wyrosła przeszkoda nie do przebycia. Oświetlona dwiema latarkami tkwiła przed nami pochyła ściana zawałonego sufitu. Sklepienie i pokrywająca je warstwa ziemi zapadły się w podziemie zagrażając przejście. Kto wie, na jakiej przestrzeni korytarza było zapadlisko?

– Ile zrobiliśmy kroków?

– Prawie czterdzieści – rzekłem.

– Taaak – mruknął Nemsta. Chwilę stał nieruchomo, spoglądając ze złością na rumowisko zmieszanych z ziemią kostek. Grubymi sznurami ściekała z nich woda, w słabym świetle naszych laterek czarna jak smoła.

– Tak – westchnął Nemsta. – To było do przewidzenia. Dopóki podziemny korytarz biegł przez wysepkę Uroczyńska, dopóty był cały. A dalej musiał iść przez bagna. I tu woda zrobiła swoje, zawałiła go. Ciekawe, jak długo bronił się przed jej niszczycielskim działaniem? Ciekawe, kiedy powstała ta przegroda?

W kilka dni później otrzymaliśmy odpowiedź.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

GOŚĆ NA UROCZYSKU • JESTEM „ROZRABIACZ” • „WSZYSTKO ZOSTAJE ZŁOŻONE POD KAMIENIEM” • KANONIK LEONARD Z OPORNEJ 1256 • BABIE LATO JEST ZAZDROSNA • „NIE BLUŻŃ, ŻEM CIĘ ZRANIŁ” • KUWASA, LEKARKA I FLIRT • KTO ROZBIŁ KLÓDKĘ GROBOWCA? • TROSKA „SMARKACZY” • OTWIERAMY MOGIŁĘ KSIĘCIA • O SKŁONNOŚCI DO ZBYTKU • KTO WIE?...

Babie Lato była zła. Gdybym potrafił malować, przedstawiłbym jej złość w postaci młodego owocu kasztana, ukrytego w zielonym, kolczastym pancerzu. Ktokolwiek spróbował porozmawiać z nią na jakikolwiek temat, trafiał na któryś z kolców.

W takiej sytuacji, rzecz jasna, wolałem ją omijać, przypuszczając, że całą złość gotowa wyładować na mnie. Lecz o dziwo, ona jakby szukała mojego towarzystwa, a kiedy była przy mnie, gubiła gdzieś swoje kolce, stawała się łagodna jak zażenowana pensjonarka skubiąca rąbek swej sukienki.

A zaczęło się to od chwili, gdy stojąc u podnóża kolegiaty, zmęczeni próżnym poszukiwaniem drugiego wejścia do podziemnego korytarza, ujrzeliśmy jadącą ku nam na rowerze młodą lekarkę, z powiatowego miasteczka.

Babie Lato natychmiast zbliżyła się do mnie i syknęła z gniewem:

– No, ma pan gościa. Wiedziałałam, że jest wystarczająco bezczelna, aby przyjąć pańskie zaproszenie.

Dodała cicho:

– Poczuj się pan obrażony. Ale naprawdę znów żal mi pana...

– Dlaczego? – nic a nic nie rozumiałem.

– Zawsze miałam współczucie dla zwierzyny, na którą ktoś zapolował.

– ???...

– A tak. Ta pani przyjechała tu w charakterze myśliwego. Pan zaś jest zwierzyną, na którą zastawiła sidła.

I Babie Lato ze złością potrzęsnęła głową.

Nie zdążyłem poprosić o dokładniejsze wyjaśnienie, bo oto lekarka postawiła już rower przy murku cmentarnym i szybkim krokiem szła do mnie, w wyciągniętej ręce trzymając gazetę.

– Och, strasznie pan „narozrabiał” – przywitała mnie z uśmiechem. – We wczorajszej gazecie ukazał się artykuł, całe nasze miasteczko bez ustanku gada na jego temat, a w naszym szpitalu lekarze i pielęgniarki latają jak koty z pęcherzem.

Rozwinąłem gazetę. Na trzeciej stronie prawie pół kolumny od góry zajmował mój artykuł pt. „Przyczynek do działalności diabła Kuwasy”. Napisałem go w ubiegłym tygodniu zaraz po powrocie z miasteczka. Nie spodziewałem się jednak, że redakcja tak szybko go opublikuje.

Przyjazd ładnej kobiety wzbudził w naszej ekipie zrozumiałą sensację. Pierwszy przydreptał Nemsta, strasznie ugrzeczniony, z ukontentowaniem gładząc się po brodzie. Potem musiałem przedstawić lekarce obu doktorów i co śmielszych „smarkaczy”, którzy przyszli do nas pod pretekstem chęci przeczytania mego artykułu. Odczytano go zresztą głośno, wbrew moim protestom.

Artykuł zaczynał się scena mojego spotkania ze znachorem owego późnego wieczoru na łąkach, kiedy to dziad-zielarz skierował nas na fałszywą drogę. Potem w wielkim skrócie opisywałem nasze perypetie na Uroczysku, kradzież narzędzi, napad, pobyt Nietajenki w grobowcu Regierungsratha, wreszcie wypadek zachorowania dziecka „leczonego” przez znachora, kłopot z przyjęciem do szpitala. W paru zdaniach opowiedziałem o lekceważeniu, z jakim władze powiatowe odnoszą się do spraw wsi Oporna, w której miano wybudować szkołę i lecznicę. Zapytywałem władze, jak długo jeszcze tolerować będą działalność znachorów i zaniedbywać wioskę Oporna. Przez cały artykuł przewijał się motyw legendy o diable Kuwasie, bezkarnie dokuczającym ludziom. A będzie on tak robił, dopóki nie wypowie się walki znachorom, ciemnocie i zacofaniu. I stąd właśnie ów tytuł: „Przyczynek do działalności diabła Kuwasy”.

Kiedy indziej byłbym szczęśliwy, że udał mi się artykuł, ale właśnie tego dnia zaraz z rana spotkało mnie wielkie rozczarowanie. W proch i pył rozpadły się największe nadzieje. I nic już nie mogło mnie pocieszyć ani złagodzić uczucia przykrego zawodu ale o tym później...

Młoda lekarka przyjechała prawie w samo południe. Po zimnym pochmurnym ranku niebo przetarło się, wyjrzało słońce i wkrótce zapanowała miła letnia pogoda, niezbyt upalna, bo skwar słoneczny jakby łagodził ukrywający się wśród traw i miodownika chłód pozostały po zimnym poranku. Smagłolica dziewczyna twierdziła, że odwiedziła Uroczysko tylko dlatego, aby podziękować mi za artykuł w gazecie, który, jak przypuszcza, pomoże wygrać walkę ze znachorami. Chciała zaraz wracać do miasta, ale Nemsta okazał się tak gościnnie, tak długo ją prosił, aby pozostała, aż zjadła razem z nami obiad. Później przekonał ją, że

wyjeżdżając straci jedyną okazję zobaczenia na własne oczy wnętrza prasłowiańskiego grobu. Według bowiem przewidywań Nemsty jeszcze dziś wieczór, a najdalej jutro, powinniśmy dostać się do środka kurhanu i przekonać się o jego zawartości.

Propozycja była kusząca. Lekarka pozostała. Po obiedzie zanim ekipa wzięła się do roboty, usiedliśmy całą gromadką na skraju wysepki, naprzeciw malutkiego, obrośniętego trzcinami bajorka. Rad byłem, że nie muszę zabawiać dziewczyny rozmową. Z powodzeniem robił to Nemsta, a sekundował mu w tym i Dryblas. Babie Lato uczestowała go taką porcją złośliwości, że zrezygnował ze swych zwykłych wobec niej zalotów i zaczął z kolei mizdrzyć się do lekarki.

Nie byłem w wesołym nastroju. Poranne rozczarowanie okazywało się bardzo ciężkostrawne. Rozpamiętując je, w zamyśleniu obserwowałem niespokojny lot cytrynowego motyla. Motyl to unosił się wysoko nad wierzchołkami trzcin, to zmęczony próbował przysiąść i znowu wzbił się w górę spłoszony wiatrem i szelestem liści. Nagle zawisł w powietrzu, a potem jak trójkątna kostka do gry na mandolinie, opadł wolno na powierzchnię bajorka.

Cytrynowy motyl leżał na wznak na powierzchni wody, bez przerwy poruszając nóżkami i całym sobą, a po bajorku ruch motyla rozchodził się drobnymi, częstymi kręgami. W wodzie tuż pod motylem obojętnie pływały niezliczone ilości kijanek, podobnych do przecinków.

Wyrwałem z ziemi długie źdźbło trawy i podsunąłem tonącemu. Kurczowo uchwycił się go łapkami. Wówczas wydobyłem motyla z wody i położyłem na brzegu, aby wysechł.

– Oto kto ma litościwe serce – zadrwił ze mnie Dryblas.

Poderwałem się z ziemi, nerwowo otrzępiałem spodnie z niewidocznego pyłu.

– Jest pan skończenie głupi! – zawołałem. I ruszyłem przed siebie. Po chwili dopędziła mnie Babie Lato

– Znowu do kolegiaty? – zagadnęła.

Ona jedna wiedziała o moim rozczarowaniu. Nie miałem siły udawać.

– Nie mam już po co chodzić do kolegiaty. Pani wie o tym najlepiej...

– Tak, wiem – odrzekła.

Wczoraj przed wieczorem zwiedziliśmy z Nemstą podziemny korytarz. Bagna zawałyły w nim sufit. Lecz jeśli w piwnicy „kaplicy” znajdowało się wejście do podziemia, a podziemny korytarz z całą pewnością prowadził do kolegiaty, to w niej musiało być wyjście. A więc i z kolegiaty można się było dostać do podziemia.

Dzisiaj od wczesnego ranka metr po metrze przebadaliśmy kolegiatę szukając wejścia do podziemi. Zajrzeliśmy do każdego zakamarka, opukaliśmy mury.

Pokazałem Nemście kamienną tablicę z kanonikiem w birecie i zatartym łacińskim napisem.

– Czy nie wydaje ci się zagadkowy napis po łacinie: „zobacz, wszystko zostaje złożone pod małą...” Dalej niestety nie można odczytać – dodałem z żalem.

Nemsta to jednak straszliwy realista, bez odrobiny fantazji. Zabrał się sumiennie do odczytania napisu i po godzinie, z niewielką pomocą Nietajenki, odcyfrował wszystkie brakujące wyrazy.

VIVE DIU VITAMQUE TUAM PERPENDE VIATOR
AETEREA FELIX POSSIS UT ESSE DOMO
VIXI EGO SAT CLARUS NEC TURPIA NOMINA GESSI
OMNIA SUB PARVA MOLE IACERE VIDE

W tłumaczeniu brzmiało to mniej więcej następująco:

Żyj długo, wędrowcze, i życie swoje rozważaj.

Abyś mógł być szczęśliwy w domu niebieskim.

Ja żyłem w sławie i żadną hańbą się nie splamilem.

Zobacz, wszystko zostaje złożone pod małym kamieniem.

– Bardzo ładna i nawet wzruszająca sentencja – powiedział Nemsta. – Cała wielkość człowieka, wszystkie jego pragnienia i marzenia zostają złożone pod małym nagrobkiem

– Więc to nie jest skrytka?

– Skrytka? Skrytka? – przedrzeźniał Nemsta mój zdumiony głos. – Pewnie że nie skrytka. Najzwyklejsza w świecie płyta nagrobkowa, a za tą płytą ukrywa się wmurowana w ścianę trumna z przewielebnym kanonikiem. Chcesz wiedzieć, jak się on nazywał?

Przyłożył szkło powiększające do prawego rogu płyty i ukazał dotąd nie dostrzeżone przeze mnie drobno wykute słowa oraz datę:

LEONARDI DE OPORNA CANONICI 1256.

– Ot i masz skrytkę. W spokoju ducha spoczywa w niej niejaki Leonard z Opornej. Kanonik. Zmarł w 1256 roku. Potomni lub współcześni uczcili jego pamięć kamiennym nagrobkiem oraz mądrą maksymą. Trzeba jednak przyznać, że jeśli w rzeczywistości wyglądał równie złośliwie jak na swym kamiennym wizerunku, nie należał chyba do sympatycznych kanoników – kpił Nemsta.

O, gdyby wiedział, ile nadziei wiązałem z istnieniem skrytki. Ile pracy włożyłem, żeby odczytać zatarty napis. Ile tajemnic wymarzyłem sobie, gdy słowo po słowie, z tak wielkim mozołem wdzierałem się w jego treść.

I oto teraz, w jednej chwili, wszystko wzięło w łeb. Skrytka okazała się najzwyklejszym grobowcem kanonika Leonarda z Opornej, zmarłego przed ponad siedmiuset laty. Wyjaśniła się zagadka starej kolegiaty. Więc już nie skrytka pełna tajemnic, tylko zwykły grobowiec?

W pochmurnym milczeniu wpatrywałem się w nagrobek.

Babie Lato, świadek mego rozczarowania (ona przecież wiedziała o mych marzeniach związanych z łacińskim napisem), dotknęła mego ramienia, próbując mnie pocieszyć. Burknąłem coś gniewnie. Wyszliśmy wszyscy z kolegiaty. Właśnie wtedy to nadjechała na rowerze smagłolica lekarka. I wtedy Babie Lato stała się zła, kolczasta, jak młody kasztan w zielonym pancerzu.

– Nie, nie mam już po co chodzić do kolegiaty – powtórzyłem. – A powiedziała mi kiedyś pani, że gdy odczytam cały napis, będę może szczęśliwy...

– Zapewne nie tam, gdzie trzeba, szuka pan szczęścia.

Powiedziała to ot tak sobie, jakby mimochodem. Raptem zaśmiała się i kilkakrotnie potrząsnęła głową, przecząc swym myślom.

– Zaczynam wierzyć w pańskiego pecha. Z diabłem Kuwasą też panu nie wyszło.

– A cóż miało wyjść?

– Napsocił nam, nabroił, naniepokoił, a potem na zawsze zapadł w bagna. Jeszcze dzisiaj dotrzemy do środka kurhanu, a potem zaczniemy szykować się do wyjazdu z Uroczyska. I nigdy już chyba nie spotka się pan z diabłem Kuwasą, nigdy nie dowie się pan, kim był on w rzeczywistości. Smutne, prawda?

Rozejrzałem się po okolicy, nagle uświadomiwszy sobie, że przecież jest tak, jak mówi Babie Lato. Oto niedługo już odjadę stąd chyba na zawsze. Z daleka ode mnie pozostanie ta mała wysepka wśród bagien i co roku zakwitnie żółto miodownikami. Wieczorami kotłować się tu będą roje komarów, łąki zażółcą się „wolimi oczkami” i pokryją je płaty lilaróżowych kwiatków. Nocą, uroczyskową parną nocą, pluśnie coś w głębi moczarów, westchnie, zaszeleści groźnie trzcina i zakwaka dzika kaczka. A nad tym wszystkim trwać będzie znowu szarobrunatny maszyn kolegiaty, osiemsetletniej, noszącej w swej historii opowieść o ambitnej księżnej Salomei, o Władysławie II, pątniku Bogusławie i tajemniczym krzyżackiego napadu.

– Nie jest to Uroczysko ładne – szepnąłem. – Pustka moczarów, błoto, wilgoć, zgniłe bagienne wyziewy i komary. A jednak ile w nim niekłamanego uroku dzięki tajemniczości. Czy to możliwe, że nie ma żadnej zagadki w skrzywionym uśmiechu kanonika Leonarda, że nie poznam nigdy diabła Kuwasy?

Zatrzymaliśmy się jakby powodowani jakimś wewnętrznym nakazem. Babie Lato stanęła naprzeciw mnie i nieoczekiwanym ruchem położyła mi dłonie na ramionach.

– Jakże byłam dla pana niesprawiedliwa. Czyż mogłam przypuszczać, że aż tak bardzo kocha pan... Uroczysko? Jednak jest najpewniej tak, jak powiedziałam: nie tam, gdzie trzeba, szukał pan szczęścia...

– I dlatego jest pani ciągle zła jak osa?

Zdjęła ręce z mych ramion. Odeszła na bok i rzekła nie patrząc w moją stronę:

– Po prostu jestem trochę... zazdrosna.

– O kogo? O co?

– Nie wiem. O Uroczysko, o Kuwasę, o tę... lekarkę.

Może stałoby się to, co zwykle następować między dwojgiem młodych ludzi. Lecz tu Kuwasowe panowały prawa. Ukryty w trzciniowych bagnach, niewidzialną dłonią przygnał ku nam smagłolicą dziewczynę.

O, nie należała do tych, których łatwo by się było pozbyć.

Obrzuciła nas uważnym, szybkim spojrzeniem. Potem stanowczym ruchem wsunęła mi dłoń pod rękę.

– Obiecywał mi pan pokazać kolegiatę, grobowiec, opowiedzieć o diable Kuwasie? – powiedziała.

– Niestety. Zaraz zaczniemy robotę na kurhanie. Redaktor będzie potrzebny – odpowiedziała za mnie Babie Lato.

– Czyżby? – zadrwiła. – Bo profesor Nemsta mówił coś przeciwnego. Ponieważ właśnie zaczynacie robotę, zachęcił mnie, żebym przyszła do pana upomnieć się o dotrzymanie obietnicy...

Babie Lato wbiła we mnie uparte spojrzenie. Był w tym spojrzeniu wyraźny, stanowczy zakaz. Ale pod ręką tkwiła mi dłoń innej dziewczyny i nie zamierzała ustąpić. Nie, nie przeżywałem problemu: iść z lekarką czy pozostać z Babim Latem. Buchnęła we mnie radość. Zemsta! Jak na błyskawicznie rozwijającym się filmie ujrzałem w wyobraźni wszystkie upokorzenia doznane od Babiego Lata...

Uprzejmie skinąwszy głową w jej stronę, poszedłem z lekarką w stronę kolegiaty. Babie Lato aż tupnęła nogą.

Nie obejrzałem się. Nie chciałem napotkać jej wściekłego spojrzenia.

Powiedziałem głośno, przypomniawszy sobie strofę z Norwida:

*Nie bluźń, żem zranił Cię lub jeszcze ranię,
Bom Ci ustąpił na mil sześć tysięcy
I pochowałem łzy me w Oceanie
Na perel więcej...*

Potem pokazałem lekarce kolegiatę.

Nie znała się na architekturze i nie wykazywała dla niej zaciekawienia. Sądząc po różnych uwagach, sądach i spostrzeżeniach, które czyniła w trakcie wędrowki po zakamarkach romańskiej budowli, należała raczej do grupy kobiet hołdujących wszystkiemu, co nowe i modne. A skoro moda na styl romański przebrzmiała dobre kilkaset lat temu, czy warto okazywać jej większe zainteresowanie? Wąziutkie spodnie ze sztruksu, jakie nosiła, czarny obcisły sweterek i bajecznie kolorowy szalik ostrzegły mnie, abym nie zdradził przed nią swej skłonności do staroświecczyny. Być może pojęcie staroświecczyny kojarzyłoby się u niej z brzydotą starych sukienek jej ciotek.

O Kuwasie, wydało mi się, słuchała chętnie. Nie szczędziłem też informacji dostarczonych mi przez Justa i zdobytych w naszych przygodach. Kłopoty z Kuwasą miały dla niej posmak niesamowitości, grozy i tajemniczości.

– A grobowiec Regierungsratha? Gdzież on? To tam doktor Nietajenko zobaczył rękę diabła Kuwasy? – zasypywała mnie pytaniami.

W miarę jak wypadło mi udzielać odpowiedzi, zaciążyła mi ta rola uroczyskowego „cicerone”⁴⁵.

Poszliśmy droga na skraju bagien

– Moim zdaniem, droga pani, doktor Nietajenko nie ujrzał w grobowcu ręki diabła Kuwasy – wyjaśniłem z powagą w trakcie wędrówki. – Kuwasa pozostawił ślad swej dłoni na murze kolegiaty. Widziała go pani. On ma szpony zamiast palców. Tymczasem Nietajenko zobaczył w grobowcu najzwyczajszą ludzką dłoń ze skórzanym paskiem na przegubie. Zdaniem łaskawej pani, diabły noszą skórzane paski na rękach?

– Nie mam w tej kwestii ustalonego zdania – wpadła w oficjalny ton mych wyjaśnień.

Poczytałem to za ironię.

Po prawej ręce żółciły się dojrzałe łany zboża, nad naszymi głowami wysoko jak drobniutkie punkciki przelatywały jaskółki. Od czasu do czasu nagrany w słońcu wiatr przynosił z bagien wilgotny oddech wody i trzciny, z rozległych łąk napływał brzęk kos i zawodzenie czajek przerażonych sianokosami. Niebo upstrzyły drobniutkie kłaczkami białych chmur raz po raz zaczepiające o słońce rozkwitłe jaskrawo, jak niedojrzały słonecznik. Wówczas muskała ziemię smuga cienia, rącza i zwiewna jak dym.

Obok rozjeżdżonej wozami drogi biegła wąska, ale twarda dróżka. Dziewczyna wysforowała się naprzód. Zdjęła z szyi barwną chusteczkę, pozwalając trzepotać nią wiatrowi, który zaglądał w jej dłoń. Każdy ruch jej wysmukłego, sprężystego ciała i widok doskonale brązowej szyi i karku pokrytego splotem czarnych i lśniących włosów – budziły we mnie niepokój, płoszyły myśli i wpędzały w roztargnienie. Aby nie zdradzić się z nim, ustawicznie dreptałem wokół jednego wypróbowanego tematu:

– Są tacy, którzy starają się wmówić we mnie – opowiadałem – że diabeł Kuwasa na długo ukrył się w swych bagiennych kryjówkach. Nieprawda! Kuwasa przyczał się tylko. Na krótko, proszę pani... Niektórzy wmawiają mi, że Kuwasa był mitem, był tworem naszej własnej fantazji, że w gruncie rzeczy to tylko symbol zacofania i nieufności wsi Oporna. Lecz przecież, u licha, to nie mit, nie twór wyobraźni kradł nasze narzędzia! Nie mit napadł na nas pewnej nocy. I nie symbol zacofania, tylko żywy człowiek z krwi i kości zamknął Nietajenkę w grobowcu, kupił mu paczkę „Sportów”, przyniósł chleb i butelkę wody, pokazując przy tym dłoń, żywą ludzką dłoń... Dziś albo jutro rozkopiemy kurhan i odnajdziemy Kuwasowe skarby. Jeśli on istnieje, nie dopuści do tego. Dziś albo jutro Kuwasa ukaże się nam znowu. Pojawi się, aby przeszkodzić w dotarciu do wnętrza kurhanu.

Dziewczyna zaśmiała się. Speszył mnie ten śmiech.

⁴⁵ Cicerone (wł.) przewodnik oprowadzający turystów.

– Czy ze mnie pani się śmieje? – zapytałem.

– Tak – odrzekła. I znowu się roześmiała.

Poczęliśmy się pięć na Czartorię. Rozgrzane od słońca świerki napępniały powietrze przenikliwym zapachem żywicy. Lubię ten zapach. Jest świeży i ostry jak wiew z morza. Lubię żywicę. To z niej powstał bursztyn. Zastygł jak kropla słonecznego światła.

– Ależ z pana dziwak. Nigdy bym tego nie przypuszczała! – zawołała lekarka. – Wydaje się panu brzydką?

– Nie... – zaprzeczyłem niezręcznie.

– No więc dlaczego ciągle opowiada mi pan o tym Kuwasie?

– ???

– Odbywa pan samotny spacer z ładną kobietą i ani razu nie spróbował pan jej powiedzieć czegoś przyjemnego. To aż obraźliwe. Mógł pan chociaż skłamać, że bardzo się cieszy z mego przyjazdu. A pan nic, tylko o tym Kuwasie. Jak długo tak można? Ani razu nie wziął mnie pan pod rękę, nie szepnął do ucha zalotnego słowa, nie zrobił pan aluzji do naszej samotności. Mam pana uczyć? Czyżby ta złotowłosa, tak zazdrosna o pana archeologiczna piękność była kiepską nauczycielką w tych sprawach?

„O Boże – pomyślałem. – Jakże postępować z kobietami? Jak długo moje zaloty będą przypominały porażki pana Wołodyjowskiego?”

W czasie wczorajszego deszczu drogę na Czartorię omyły strumienie ściekającej z góry wody. Nie uczęszczane to miejsce. A jednak na świeżutkim piasku i żwirze dostrzegłem ślady odbitych w miękkim podłożu dużych, podkutych gwoździami butów. Zawstydzony słowami lekarki szedłem patrząc sobie pod nogi. Dlatego od razu zwróciłem uwagę na ślady, dlatego rzuciło mi się w oczy, że na prawej podeszwie ów człowiek miał cztery nowe gwoździe, które odznaczyły na ziemi nieduży kwadracik.

Z początku sadziłem, że ten ktoś szedł może do starych kopalń wapienia. Ale nie, skręcił drogą do grobowca. W miękkiej ziemi wyraźnie zaznaczyły się ślady jego butów z charakterystycznym kwadracikiem.

Ślady szły w górę i wracały z niej. Ktoś był przy grobowcu i wkrótce zeszedł w dół. Stało się to jeszcze przed południem, bo niewielkie kałuże, przez, które stapał, zdążyły już wyschnąć, zamulając rysunek jego butów. O, jak to dobrze, że kiedyś tyle czytałem Maya i Coopera. W gruncie rzeczy jednak cóż mi z tych wszystkich spostrzeżeń?

Co w tym dziwnego, że ktoś poszedł do grobowca? W czym zmienia to fakt, że oto zostałem przed chwilą głęboko urażony w swej męskiej ambicji?

– Gniewa się pan na mnie? – zapytała lekarka.

– Nie. To jest, tak. Trochę...

Podszedłem do niej, objąłem ramieniem i pocałowałem w... ucho, bo uciekła z twarzą.

– O, jeśli pan przypuszcza, że do tego miały sprowokować moje słowa... – rzekła z obrażoną miną.

– Nic nie przypuszczam. Nic nie przypuszczam – zastrzegłem się szybko. I było mi jeszcze bardziej głupio niż przedtem. O wiele lepiej i przyjemniej przebywać w towarzystwie starej, dwunastowiecznej kolegiaty. Przynajmniej nie sprawia tego rodzaju niespodzianek.

Wstąpiliśmy w zrujnowaną bramę cmentarzyka wokół grobowca.

– Ślicznie tu – stwierdziła dziewczyna.

Bo też miejsce to nie miało teraz nic z nastroju smutku i opuszczenia. Zamiast niesamowitego, zielonawego blasku księżyca jaskrawo świeciło słońce, tuje nie wyglądały żałobnie, a drganie ich gałązek nie sprawiało wrażenia, jakby ukrywał się ktoś w ich gąszczu. Przeciwnie, wszystko tu przedstawiało się wesoło, przyjemnie, ptaszki buszujące w gałązkach tui dodawały życia pustemu zakątkowi.

Z wysokości tarasu, na którym znajdował się grobowiec, w przejrzystym powietrzu kolegiata na skraju mazarów była jak niewielkie pudełeczko, jak śliczna makieta z jednej strony otoczona rozlewiskiem zielonych łąk, z drugiej zaś połacią bagien podobnych z daleka do płachty wyleniałego, zjedzonego przez mole pluszu na biurku, gdzieś zrudziałego od starości, i wyplamionego atramentem zieleni.

Wtem doznałem uczucia zdziwienia połączonego z niepokojem.

– Co u licha?

Drzwi do grobowca, żelazne drzwi, które zamknąłem na kłódkę w obecności Nemsty i Justa, były wpółotwarte...

Czyżby Just znajdował się gdzieś w pobliżu? A może jest w grobowcu? Ale po co by tam wchodził?

Lekarka nie rozumiejąc przyczyny mego zdziwienia pchnęła drzwi i zajrzała do wnętrza.

– Brr, brudno! Jaki wstrętny szkielet! – cofnęła się z obrzydzeniem.

Wszedłem do grobowca. Pusty był i w takim stanie jak pozostawiłem go, włożywszy do trumny czaszkę Regierungsraha. Czaszka wraz ze szkieletem spoczywały w rozwalonej trumnie, a trumna stała w tym samym co i dawniej miejscu na środku grobowca. Na ziemi wałała się gazeta, w której przyniosłem czaszkę. Nigdzie ani śladu czyjejś obecności, nikt tu nic nie ruszył.

Więc dlaczego drzwi były otwarte? Wręczając Justowi klucz od kłódki zaznaczyłem mu przecież, aby pozostawiono w spokoju szczątki Regierungsraha. Nie miałem podstawy przypuszczać, że Just nie zastosował się do mego polecenia.

– Ooo? – niepokój mój wzrastał z każdą chwilą.

Kłódka zwisająca na skoblu przy drzwiach była rozłupana ostrym, żelaznym narzędziem. Do grobowca Regierungsraha włamano się.

– Widzi pani? – zawołałem prawie z radością i triumfem. – Diabeł Kuwasa nie przestaje działać. Oto widomy znak jego istnienia. Tę kłódkę zupełnie nową i dobrą własnoręcznie zawiesiłem na skoblu i zamknąłem grobowiec, żeby nie profanowano ludzkich zwłok. Teraz kłódka jest rozbita.

– Dlaczego? Czy w grobowcu było coś cennego?

Podrapałem się w głowę. Rzeczywiście, dlaczego włamano się do grobowca?

– Kuwasa wiedział dobrze, że grobowiec nie zawierał żadnych cennych przedmiotów, był tu nieraz, tu schował ukradzione narzędzia. Może jednak włamał się ciekawy, dlaczego zamknąłem grobowiec na kłódkę? Może przypuszczał, że pozostawiłem coś wartościowego? Tak, włamał się tu przez zwykłą ciekawość – doszedłem do wniosku.

Diabeł Kuwasa chodzi po ziemi jak każdy najzwyklejszy śmiertelnik, nosi ciężkie, duże buty, podkute gwoździami. A na podeszwie prawego buciora ma cztery nowiutkie gwoździe, odbijające się w miękkiej ziemi w formie niewielkiego kwadracika.

Powracałem na Uroczysko szczęśliwy, że jeszcze raz będę mógł udowodnić wszystkim istnienie diabła Kuwasy. Sprawa mych niefortunnych zalotów wydawała mi się błaha, niewarta większej troski.

Tuż obok kolegiaty napotkaliśmy wysłanego na nasze poszukiwanie jednego z dryblasowych „smarkaczy”.

– Chodźcie prędko na Uroczysko. Odkopaliśmy grób – zawiadomił nas uroczyście.

Po drodze przytrzymał mnie za rękaw i zapytał poufnie:

– Pan to nasze Uroczysko opisze w gazecie, prawda?

– Będę się starał...

Zasepił się. Minę miał niewyraźną, ale widać ciągle nie tracił nadziei.

– Napisz pan o naszym odkryciu, prawda?

– Nie tylko – powiedziałem.

– Ach! – wyrwało mu się rozpaczliwe westchnienie. – I o nas także?

– O wszystkim – zrobiłem szeroki, nieokreślony ruch dłonią.

– My graliśmy ciągle w brydża – zastrzegł się szybko. – Graliśmy z nudów, bo Kuwasa ukraść narzędzia. A kiedy otrzymaliśmy to, co trzeba, zaraz zabraliśmy się do roboty. Czy pan ma coś przeciw brydżowi?

– No, w tak młodym wieku ulegać karcianemu nałogowi... – zauważyłem bez przekonania.

W gruncie rzeczy nie miałem jednak pretensji do „smarkaczy”. Nie oni mi dokuczali na Uroczysku. Nie włązili mi w drogę. Robili to, co im kazali Nemsta i doktorzy. Zarzucić im mogłem, że zamiast ulec nastrojowi Uroczyska, jego pięknu i tajemniczości troszczyli się przede wszystkim o kuchnię i własne brzuchy. Zamiast podziwiać piękno kolegiaty woleli obierać kartofle, żeby nimi zapełnić żołądki i nasze, i własne. Ale może właśnie za to winienem im wdzięczność?

Na Uroczysku zastaliśmy nastrój wytężonej pracy. Nie śmiałem przeszkadzać swymi pytaniami, zresztą nic tu nie wymagało wyjaśnień.

Warstwa po warstwie zdejmowano ziemię z kurhanu, aż pokazał się wielki głaz narzutowy. Zaczęto ryc wokół niego i okazało się, że głazów tych jest więcej. Wielkie

kamienie narzutowe, ściągnięte tu zapewne z całej okolicy, ustawione były w duży, wielkości człowieka czworobok, tworzący jakby okazałą skrzynię nakrytą płaskim głazem. Za chwilę zdejmą kamienne wieko, ale tymczasem dwaj chłopcy z Opornej poszerzają wykop, aby lepiej udostępnić dojscie do skrzyni.

Długo trwało, zanim Nemsta zdecydował się otworzyć wieko grobu. Przedwieczne słońce poczerwieniało jak przygasająca głównia pochodni. Wiatr przysiadł na trawie, uczyniło się cicho, że słycać było wyraźnie porykiwanie bydła i beczenie owiec na łąkach za kolegiatą. W drewnianej kaplicy w Opornej kościelny Just pociągał za sznur dzwonka, którego głos dreptał aż do nas, nierówny, choć czysty, drobiony przez miniaturowe serce. Nie było w tym głosie ani radości, ani smutku – nie wiedziałem, na pogrzeb dzwonił czy też na wieczorne nabożeństwo. Ale gdy dźwięk ten wpadł między myśli każdego z nas, łatwiej poczynała działać wyobraźnia. Wystarczyło przymrużyć oczy, a zacierały się szczegóły otaczającego nas świata i jakby w strumieniu płynącego dźwięku wszystko poczynało gdzieś uciekać, rozpływać się w przestrzeni, znikać.

Kilka par rąk ujęło krawędzie wielkiego kamienia. Palce napięły się jak cięciwy, ktoś westchnął, sapnął z wysiłku, ktoś podważył głaz ręką ręką łopaty. Zgrzytnęło. Kamień zsunął się trochę, ustąpił, ukazując czarną szczelinę.

– Jeszcze go raz! Rrrrrazem! – rozkazywał któryś ze „smarkaczy”.

Jęknęła ziemia. Głaz odsunął się o mało nie przygniatając nogi Narkuskiemu.

Kamienna skrzynia stała otworem, natychmiast wypełniona po brzegi czerwonym blaskiem zachodzącego słońca. Pochyliliśmy się nad nią zatajając w sobie oddech, zatapiając w niej oddech. Ręce mi drżały jak chciwcowi przed skrzynią pełną złota. Lecz nikt nie śmiał niczego ruszyć, pochłaniając wzrokiem dostrzeżone szczegóły leżące w czerwonym świetle, na podobieństwo klejnotów w wysłanym aksamitem wielkim puzderku.

– Siwa popielnica. Siwa popielnica – stłumionym ze wzruszenia głosem szeptał Nemsta.

Ledwie ścichł ten szept, umilkł zaraz głos dzwonka. Cisza ustokrotniła się, świętokradztwem zdawało się każde słowo zdziwienia czy zachwytu.

Wyciągnąwszy obydwie ręce Nemsta przechylił się przez krawędź głazów, nabożnie uchwycił w dłonie popielnicę i podniósł ją do oczu.

Była siwa. Z delikatnej gliny, starannie otoczona na kole garncarskim, z pięknym wzorem meandrowym,⁴⁶ obiegającym ją dokoła. Wewnątrz leżał szarosiwy pył i proch z gruzelkami spalonych kości i dużym, białym czerepem czaszki ludzkiej.

– Okres rzymski, prawda? – niepewnie zadecydował Dryblas.

Nemsta niechętnie kiwnął głową, a Nietajenko pokazał Dryblasowi palcem meandrowy, antyczny wzór, jakby przekazując mu do świadomości, że to się chyba samo przez się rozumie.

Teraz Nemsta odłożył popielnicę na miejsce. Z żalem się z nią rozstawał. To już wstawiał ją do kamiennej skrzyni, to znowu wyjmował, oglądał, obracał na wszystkie strony. Babie

⁴⁶ Wzór meandrowy (z łac.) – ornament ciągły z nieprzerwanej linii załamującej się pod kątem prostym.

Lato przyniosła z baraku duży szkicownik i poczęła przedstawiać na papierze wyposażenie grobu. Nemsta ostatecznie odstawił więc urnę z prochami. Teraz począł wyjmować każdy, nawet najdrobniejszy przedmiot, oglądał, podawał do oglądania Narkuskiemu, ten z kolei przekazywał go Nietajence i tak każda rzecz przechodziła z rąk do rąk, zanim zaklasyfikowana, dokładnie nazwana powróciła z powrotem na miejsce, na które przed setkami lat złożyła je czyjaś dłoń.

Ponad półtora tysiąca lat, nie naruszone przez nikogo, przeleżały w kamiennej skrzyni, nakrytej kopcem ziemi, prochy jakiegoś woja z dawnych lat. Okresem rzymskim nazywają bowiem archeologowie czas od początku naszej ery, to jest od narodzenia Chrystusa do 375 roku, do wielkiego najazdu Hunów i wędrówki ludów. W tym czasie świat słowiański po raz pierwszy w swych dziejach poddany był wpływom cywilizacyjnym wielkiego i możnego Imperium Rzymskiego. Przechodził wówczas przez Polskę wielki szlak handlowy łączący Adriatyk z Morzem Bałtyckim, trwała ożywiona wymiana handlowa i w zamian za swe różne produkty naturalne, za skóry, futra, a przede wszystkim za bursztyn z Zatoki Gdańskiej, otrzymywali Słowianie przeróżne przedmioty z Italii.

Wielką osobistością musiał być człowiek, którego prochy spoczęły w kurhanie na Uroczysku. Nad jego mogiłą usypano ogromny kopiec, a na pośmiertną wędrówkę zaopatrzone go w wielkie bogactwo. Może był to jakiś bitny i sławny wojownik słowiańskiego plemienia, a może księżę plemienny, jeśli uwierzyć temu, co powtarzali chłopci z Poświęrka o „księdzu” pochowanym w wysokiej mogile?

Krwawo świeci słońce nad Uroczyskiem. Czy tak samo świeciło w ów dzień pogrzebu wielkiego wojownika? Biały czerep czaszki w popielnicy z prochami ma długą ryse u swej podstawy. Nieprawdopodobne, aby pękła ona od żaru śmiertelnego stosu. Raczej rozwalili ją czyjś miecz, a zapewne skórzany kołpak na głowie nie okazał się ochroną przed śmiertelnym ciosem.

Tu, gdzie dziś są bagna i moczary, było na pewno wielkie jezioro z malutką wysepką i łączącym ją z ziemią płytkim brodem, po którym dziś, gdy jezioro wyschło, biegnie błotnista ścieżka do kolegiaty. I gdzieś tutaj, może właśnie na wzgórku kolegiaty rozegrała się bitwa. Lecz jeśli tak – czemu w wysokim kurhanie spoczęły tylko zwłoki księcia? Może zginął sam, w samotnej walce? Może zginął tylko on jeden w zdradzieckiej napaści? A może innych, którzy wraz z nim padli, pochowano gdzie indziej, na miejscu mniej godnym?

Zwieziono na Uroczysko wiele suchych drzew. Ułożono z nich wielki stos, złożono na nim ciało księcia. Miał na sobie żelazną kolczugę (kilkanaście kawałków stopionej w ogniu kolczugi znaleźliśmy w wysypanym z urny popiele). W popielnicę z siwej gliny zsypano resztki ciała, a obok położono wielki miecz brązowy, stary, o wiele starszy niż urna, niż wszystkie przedmioty w grobie – zapewne odziedziczony po przodkach.

Z zamożnego pochodził rodu. Oto wielki dzban brązowy italskiej roboty, kupiony od rzymskich kupców za skóry i futra. U góry dzban ma dwa otwory i pięknie wygięte ucho z

dwiema wyrzeźbionymi głowami ludzkimi. Jedna z głów nachyla się do wnętrza dzbana, jakby ogromnie spragniona wyciągała szyję do słodkiego napitku. Oto śliczny grzebyk kościany, spiralny pierścień naramienny ze srebra, duże brązowe czerpadło do wody. Oto misa czerwona, z której jadał. Wykonano ją w którejś z italskich prowincji, wytłoczono na niej figurki ludzkie, a jedna z nich przypomina postać mitycznego Heraklesa. Jest i kielich gliniany, z którego pijał, duża ostroga z długim bolcem, a więc jeździł na koniu. I jest brązowy naszyjnik z cienkiego drutu, kilkanaście prześlicznie wykonanych ozdób z muszli śródziemnomorskich, kilka wisiorków ze srebra, a wśród prochu wysypanego z urny pełno brązowych spinek, czyli fibul, agraf, o najróżniejszym kształcie i najróżniejszym przeznaczeniu. Spinał nimi swój strój, a tę brązową sprzączkę z wytłaczanym, ażurowym ornamentem nosił zapewne na skórzanym pasie.

Zgniła, rozpadła się drewniana rękojeść włóczni. Lecz pozostało żelazne jej ostrze, a obok duży sztylet brązowy z krótką rączką i spiczasto kończącym się ostrzem. I znowu srebrna czara, płaska jak patera do owoców, z dwoma uchami w kształcie splatających się ze sobą gałązek winnej latorośli. Pomiedzy naczyniami walają się cztery kostki do gry z czarnego szkliwa i malutkie brązowe uszko – tak, chyba od drewnianej szkatułki. Drewno spróchniało, ale pozostała jej zawartość – spora kupka srebrnych denarów rzymskich.

Dlaczego włożono je do mogiły? Czy przypuszczano, że skoro potrzebne mu były za życia, przydadzą mu się i po śmierci? Jeśli był bogaty w tym życiu, nie może zacząć drugiego, pośmiertnego życia jako ubogi?

Kilka zupełnie pustych glinianych dzbanów, konwi, misek, niezbyt kształtnych, lepionych ręcznie, zapewne miejscowego wyrobu. Było w nich chyba jadło, i napitek, darowany na drugie życie. Ciekawe byłoby skosztować dawnych przysmaków, ale gdy pochylić się nad którymś ze dzbanów, wiem w nosie kurz, podniesiony oddechem.

– Ciekawe, bardzo ciekawe – powtarza Narkuski, obracając w rękę naprawdę dziwny przedmiot.

– Jak chłopskie widły, braciaszku – śpiewnie zauważa Nietajenko.

Nie, nie widły, żelazny trójząb z trzonkiem spiralnie skręconym wokół swojej osi. Czy to nie taki trójząb nosił Neptun, bóg oceanów i mórz? I czy nie takich właśnie trójzębów używali w walkach rzymscy gladiatorzy? Lecz skądże coś takiego w rękę słowiańskiego wojownika?

Nigdy nie dojdzie się prawdy. Można więc snuć domysł o kupcu rzymskim, co w daleką podróż po bursztyn w świat słowiańskich barbarzyńców zabrał ze sobą na sprzedaż również trójząb gladiatora. Zaintrygowany dziwnym kształtem trójzębą, książe słowiański nabył go od kupca i odtąd nosił z sobą jako odznakę władzy. Próżny chyba był ten książę pochowany w kurhanie Uroczyska, lubił zbytek, wystawność a ma się prawo tak sądzić po licznych ozdobach w jego grobie: srebrnych wisiorkach, muszelkach, kielichach, wazach, licznych agrafach i kostkach do gry.

Z zalem czy ulgą sypali mu wysoką mogiłę jego współplemieńcy? Każe się czegoś domyślać fakt, że pochowali go na ogrodzonej wodą wysepce, jakby lękając się, aby do nich nie powrócił. Może szeroko rozlana połać jeziora miała umarłemu uniemożliwić powrót między żyjących, którym zaciążył za życia przez swą skłonność do zbytku? Nie znamy ceny, za jaką italscy kupcy pozostawili mu piękne rzymskie wazy, dzbany i te liczne ozdoby. Ale na pewno niejeden plon pracy i polowań całego plemienia powieźli ze sobą kupcy aż do odległego Rzymu. Aż wreszcie ktoś się zbuntował przeciw zachłanności księcia i podniósł na niego karzący miecz.

Kto wie, czy tajemnica samotnej mogiły na odosobnionej wysepce Uroczyska nie leży właśnie w zgromadzonych w mogile przedmiotach zbytku, niezwykłych dla ubogiego świata dawnych Słowian?

Krwawo zachodzi stygnąca kula wieczornego słońca. Niedługo pochłonie wszystko mrok nocy. Uroczysko i nas, i bogactwo prasłowiańskiego księcia. W powietrzu panuje cisza i nieruchomy spokój.

Nie upilnował skarbu diabeł Kuwasa. Gdzież jego siła i przewrotna moc? Czemu nie nadbiegł tu, jak przed ośmiuset laty, gdy w jego czartowskiej dziedzinie ludzie postawili kolegiatę? Dlaczego nie przypędził tu na skrzydłach burzy i wichury, w zamieci błyskawic i piorunów, i nie nazaczył naszych twarzy piętnem swych rozpalonych od gniewu pazurów? Gdzież on? Czemu dozwolił, abyśmy rozkroili kurhan jak dojrzały owoc, aż ukazał się wypełniony bogactwem skarbiec kamienny?

A może nie było cię wcale, stary diable? Żegnaj mi więc, Kuwaso, którego wcale nie było. Twoje skarby zostały zdobyte...

Lecz jednak wbrew oczywistości tli we mnie słabiutkie jak nic pajęcza przekonanie, że jeszcze nie powiedział ostatniego słowa. Może oddałeś nam skarby księcia, aby utrzymać inne i największe tajemnice?

Kto wie, kto wie?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

KOSTECZKI KUWASY • Z BACHURY ZROBIONO „BALONA” • JUST BRONI KUWASĘ • CHŁOP ZWANY SOWĄ • MOŻE TO DZWONIĄ DZIWODZWONY? • MARNOŚĆ MARNOŚCI WSZYSTKO... • JADŁOSPIS • KŁOPOT Z KURĄ • DRYBLAS ŁKA Z ROZPACZY • CZAROWNICA • W KRUCHCIE CZY W NAWIE? • U PROGU TAJEMNICY

Nazajutrz było zimno i dżdżysto, spiczaste wieże kolegiaty nieledwie bodły brudną pierzynę deszczowych chmur.

Od wczesnego ranka ciągnęły na Uroczysko całe procesje okolicznych chłopów, wśród których gruchnęła wieść o odnalezionych skarbach diabła Kuwasy. Nemsta chętnie przyjmował ciekawych. Przedmioty z kurhanu wstawił z powrotem do kamiennej skrzynki, zbudował z koca i czterech drążków coś w rodzaju daszku chroniącego stragan przed deszczem i zachwalał ciekawym archeologiczne odkrycie.

Chciał przekonać okoliczną ludność, że nie kłamali naukowcy w swych pogadankach. Ekipa przyjechała na Uroczysko nie po „skarby Kuwasy”. Nie ukrywał, że znalezisko w kurhanie ma dla nauki dużą wartość, lecz chłopci odchodzili wyraźnie rozczarowani. Tyle było gadania o niezmiernych skarbach, a pokazano im kilka garnków czarnych od starości (przezornie przemilczeliśmy, iż niektóre z nich są ze srebra szerniałego przez wieki), kilka glinianych naczyń i odrobinę kości. Kiedy Nemsta wyjaśniał naukową wartość przedmiotów, chłopci potakująco kiwali głowami, odchodząc jednak dzielili się drwiącymi uwagami. Trójzęb rzymskiego gladiatora stosunkowo największe uznanie zdobył w ich oczach. „Widelki jak się patrzy, galancie można dziabnąć snopek słomy” – mówili. Ale z glinianych naczyń wręcz kpili: „U nas lepsze glinianki do barszczu na kołkach w płocie wiszą. Z brązową polewą, jak się należy”.

Przydreptała z Opornej babka Romoska. Obejrzała grobowiec i wszystko jej się w głowie pomieszało. Myślała, że w szarej popielnicy leżą kości diabła Kuwasy zabitego kłonicą przez Stacha z Poświerka.

– Moiściewy! Ludzie kochane! – zaczęła lamentować. – Zabił Stach Kuwasę, zabił go, ino kostki w grobowcu ostały. Kosteczki Kuwasowe się ostały. I jak go to zgrabnie przymierzył? Aż pęknął diabłowi czerep. A taki był silny, psiajucha, taki mocny...

Przyszedł i kościelny Just. Przez cały czas odwiedzin drwiący uśmiezek błąkał mu się po ustach. Pokrywał nim urazę. I do nas, i do diabła Kuwasy. Do nas, że tak łatwo udało się nam rozkopać grobowiec. Do Kuwasy, że nam w tym nie przeszkodził, że zrejterował sromotnie.

W tym samym czasie wraz z nową gromadką ciekawych chłopów przyszedł także jakiś gruby, zażywny jegomość z niewielką walizeczką w rękę. Gębę miał niesympatyczną, otyłą, bez zarostu i strasznie lepki uśmiezek na twarzy. Od razu widać było, że to nie chłop, tylko ktoś z miasta, bo na początku z każdym przywitał się wymieniając swoje nazwisko. Gdy do mnie podszedł z wyciągniętą ręką, usłyszałem od niego:

– Bachura jestem. Bachura – i uściśnął moją prawicę.

A we mnie jakby piorun strzelił.

– Ba... ba... Bachura? – wyjąkałem.

– Bachura we własnej osobie – ucieszył się, że jego nazwisko obudziło moje zainteresowanie. – Słyszał pan już coś o mnie? Dewocjonaliami po wsiach handluję, to mnie ludzie znają. Tak, panie. Na to mi przyszło. Handel dewocjonaliami. Domokrażca jestem. A miałem, panie, własną jatkę. Handel mięsem. Domiarami mnie zniszczyli. O, proszę!

I gadatliwy jegomość czym prędzej otworzył przede mną swą małą walizeczkę pełną drewnianych różańców, łańcuszków i sznureczków z medalikami.

– Jeśli ktoś ma życzenie, to i duży święty obraz też może u mnie zamówić – dodał tonem wielkiej dumy.

„Smarkacze” pokładali się ze śmiechu. Nemsta nie chcąc mnie urazić osłaniał usta ręką, jak przy ziewaniu. Babie Lato, która od niedawna zachowywała się tak obrażona „księżna pani”, raczyła się uśmiechnąć, a Dryblas podszedł do Bachury i powiedział w mojej obecności:

– To pan, panie Bachura, nie taki znowu straszny, jak pana poniektórzy malują?

– Malują mnie? Kto mnie maluje? – zaniepokoił się handlarz dewocjonaliami.

– A malują pana. Na czarno – żartobliwie wyjaśnił Dryblas.

Ale Bachura nie miał poczucia humoru. Chwycił Dryblasa za guzik od koszuli, zaczął się domagać wyjaśnienia:

– Kto mnie maluje? Jak mnie maluje? Ja muszę wiedzieć. Mnie to może przeszkodzić w handlu. Ja mogę stracić zaufanie u ludzi.

Dryblas próbował się go pozbyć żartami.

– Gadają o panu, że pan z pewnym znachorem w zbyt dobrej komitywie żyje. Był taki jeden, co nam o tym mówił.

– Kto to był? Ja muszę znać jego nazwisko. Ja muszę wszystko wiedzieć. Mnie to może przeszkodzić w handlu, w interesie. O jakiego znachora chodzi? Ja nie znam żadnego

znachora. Ja z nikim nie żyję w komitywie. Ja handluję dewocjonaliami. Kto o mnie źle mówił? Ja muszę znać nazwisko tego człowieka

Stał się tak natarczywy, że aż rozgniewało to Dryblasę.

– Odczep się pan ode mnie. Żartowałem tylko. Zresztą... ten pan dokładnie wszystko wyjaśni. – I Dryblas, łotr nad łotry, wskazał na mnie palcem.

Bachura rzucił się ku mnie. Uchwycił mnie za guzik i o mało nie wyszarpnął go z marynarki. Na otyłą twarz wystąpiły mu krople potu, policzki pokryły mu niezdrowe, nerwowe rumieńce.

– To mnie może przeszkodzić w handlu – sapał ciężko. – Mogę mieć wielkie straty. Jak mnie czarno obmalują, to nikt u mnie nie kupi żadnego medalika, żadnego różańca.

Żał mi się zrobiło tego człowieka. Lękał się o swój drobny handelek. Być może, aby sprzedawać po wsiach „nabożne rzeczy”, trzeba wśród ludzi posiadać nienaganną opinię. Trudno się więc dziwić Bachurze, że jest tak drażliwy na punkcie tego, co o nim ktoś powiedział. Tym bardziej że, jak mu rzekł Dryblas, „ktoś go na czarno maluje”.

– Żartują z pana. „Balona” z pana robią. Nie znasz się pan na żartach czy co, u licha? Nikt z nas pana nie zna, nikt o panu nie słyszał, nie mówił – skłamałem. Skłamałem głośno i wobec wszystkich i wszyscy wiedzieli, że kłamię. Ale spokój tego człowieka więcej dla mnie znaczył niż fakt, że wszyscy są świadkami mego kłamstwa. Nie było winą Bachury, że nie znając go zupełnie nabrałem wobec niego podejrzeń, uroiłem sobie jego osobę na obraz, i podobieństwo jakiegoś strasznego złoczyńcy. Czuję się w obowiązku naprawić ten błąd. Naprawię go, choćby kosztem swego honoru. Będzie to dla mnie wielką nauką na przyszłość. Nie wolno sądzić ludzi, których się nie zna.

Bachura otarł chustką pot z czoła. Zafrasowany kręcił głową i bezradnie rozkładał ręce.

– Na Boga, drodzy panowie, nie znam żadnego znachora. Uczciwy jestem człowiek. Ubogi człowiek. Medalikami handluję. To nie grzech, to nie przestępstwo, panowie.

– Żartowaliśmy, żartowaliśmy, panie Bachura – powtarzałem aż do znudzenia, aż przestał sapać, pocić się, z twarzy zniknęły mu rumieńce i nawet uśmiechnął się żałośnie.

Ale we mnie zniknęło chwilowe współczucie. Kłamię – myślałem – bezczelnie kłamię, że nie zna żadnego znachora. A dziad-zielarz? Przecież na własne uszy słyszałem wtedy na łąkach, jak ów znachor pytał: „Bachura, to ty?” I nie potrafiłem usprawiedliwić Bachury świadomością, że kłamię z lęku o swój mały handelek „nabożnymi rzeczami”, choć i ja również skłamałem przed minutą.

Kiedy po raz dziesiąty Bachura zapewnił mnie o swej bezgranicznej uczciwości i wielkich szkodach, jakie mogą wyniknąć dla jego handlu na skutek czyjegoes „obmalowania”, zniecierpliwiony oświadczyłem opryskliwie:

– A zostaw mnie pan w spokoju. Co mnie obchodzi pańska uczciwość i pański handel? Handluj pan medalikami, ile się panu zapragnie, tylko nie męcz mnie pan, u licha...

Wziąłem Justa pod rękę, wprosiłem się do niego na wino i wywędrowaliśmy z Uroczyńska. Moje akcje spadły tu chyba do zera. Wyszedłem na głupca, na idiotę. Na podejrzliwego durnia. Kuwasa stchórzył sromotnie, „truciciel” okazał się korespondentem Polskiej Akademii Nauk i twórcą pracy naukowej o prymitywnym ziołolecznictwie, a ów zbrodniarz Bachura – jest poczciwym i zupełnie niegroźnym handlarzem dewocjonaliami.

A Just? Czy moja wyobraźnia nie uczyniła go i Kuwasę, i zwariowanym dziwakiem, i zamaskowanym złoczyńcą? A teraz idę z nim na wino. Tfu, z taką wyobraźnią! Przydatna jest może w zawodzie dziennikarskim, ale do chrzanu tarcia w najzwyczajszym życiu.

Co o mnie sądzi Nemsta? Dryblas? Babie Lato? Postąpiłem wobec niej jak ostatni cham, gdy poszedłem na spacer z lekarką. I co zwojowałem? Lekarka odjechała unosząc w sercu wyraźną urazę do mnie. Za co? Żebym choć wiedział za co. Że zamiast prawić jej komplementy opowiadałem o Kuwasie?

Zaiste, nie pozostaje mi nic innego, jak po powrocie do domu poświęcić się lekturze „Romea i Julii”.

Rozmowa z Justem również dziś mi się jakoś nie klei. Kiedy to wygodne, zaczyna mu dokuczać kontuzja i głuchota; nie słyszy, czego nie chce usłyszeć.

Na stoliku i ławce przed domem kałuża wody. Deszcz szemrze w liściach lipy; sennie, chłodno i szaro. Świat jest jak wyjęta z wody szara ścierka. Chciałoby się wziąć jakąś wielką wyżymaczkę, wycisnąć go z wilgoci i powiesić na sznurze na słoneczku. Lecz słoneczko za brudnymi chmurami. Zresztą i takiej wyżymaczki nikt nie ma...

Usiedliśmy w czyściutkim pokoiku przy otwartym oknie. Zbyt tu jednak świątecznie, czysty obrus na stole, na komodzie brzydkie, pokracczne figurki świętych, na obrazach i krzyżach wianuszki z macierzanki. Pachnie tu jak w zakrystii kościoła.

Przypiąłem się do kubka z winem i nie odjąłem go od ust, dopóki nie poczułem w sobie odrobiny ciepłej radości. Przed nami stał jeszcze pełen gąsiorek. Ucieszyła mnie ta perspektywa, powrócił dobry humor.

– Chcesz mieć, drogi Juście, kołnierz z krecich futerek? – zacząłem, byle dalej od przykrych refleksji. Na Uroczyńsku pojawiły się krety. Kiedy przyjechaliśmy, nie było ich nawet śladu, a teraz w trawie kilkanaście świeżych kopczyków.

– Tak, tak – zgadza się ze mną Just. – O co miał się szarpać diabeł Kuwasa? O tych parę garnków glinianych i blaszanych misek? Panie kochany, ma on niezmierne skarby po różnych dziurach na Czartorii i na bagnach. A do nich żaden żywy człowiek ręki nie wyciągnie.

I gadaj tu z takim.

– Przestaję wierzyć w Kuwasę, drogi Juście – machnąłem ręką. – Czort wie, może rację ma stara Romoska? Stacho z Poświęrka ubił diabła Kuwasę, a nie Regierungsratha?

– Kłonicą? Kłonicą go zabił? Można to diabła zabić kłonicą? – krzyczy swoje kościelny Just.

Drżą mu ręce, gdy wino rozlewa do kubków. Różowe krople porzeczkowego wina wsiąkają w lniany obrus.

Powiadam:..

– Nie mogę pojąć tchórzostwa Kuwasy. Z początku utrudniał, a potem nagle jakby go kto zdmuchnął. Przestraszył się czegoś, czy jak? Zupełnie bezkarnie odebraliśmy mu skarby.

Just uśmiecha się chytrze i bije nas naszą własną bronią:

– Jakie tam skarby Kuwasy. Samiście mówili, że w kurhanie grobowiec, a nie skarby. Na wasze wyszło. Diabeł ma skarby gdzie indziej, po bagnach ukryte, na Czartorii. Jednego razu, sto lat temu, wybrał się chłop podebrać diabłu jego bogactwa. Sowa się nazywał. Bo w dzień sypiał jak sowa, a nocami się włóczył. Kuwasę chciał podpatrzeć, jego kryjówki przebadac. Opowiedzieć panu?

Kiwam głową, niech opowiada. Co mam lepszego do roboty?

– Zdarzyło się jednego razu, a było to akurat w noc świętego Jura, wybrał się Sowa na górę Czartorie. Kto mógł wiedzieć, że w ową noc akuratnie na Czartorii czarownice z całej Polski szatański wiec sobie urządziły. Karocami tam zajechały, zaprzężonymi w chude wilki, a nagusieńkie, aż okropność brała patrzeć. Co podlejsza czarownica na miotle przybyła, sporo też najróżniejszych czartów się zebrało. Nagie czarownice wielki ogień na Czartorii rozpały, ogień wielki smutnej postaci. Patrzy Sowa (a ukrył się pod korzeniami drzewa i stamtąd na wszystkich spozierał), jak i diabeł Kuwasa przyczłapał ze swej kryjówki. Ledwie go czarownice zoczyły, tak się im spodobał – bo elegant był wielki, po niemiecku się nosił – że prezydentem go ustanowiły, na majestacie diabelskim posadziły. Kuwasa w kozłą skórę się ubrał i dalej strygom rozkazywać. Kłaniają mu się więc one to klękaniem, to nóg do góry zadzieraniem, jako dar najcenniejszy pępek niemowłęcia mu ofiarują albo w twarz tylną całują, co za nie lada jakie wszeteczeństwo uznają. O, jakie tam stoły pełne jadła były, a jakie tańce i hulanki, a po hulankach sprośne zabawy. Rankiem pijany Kuwasa grajda się z powrotem do kryjówki na bagnach. Pijany zatacza się, spluwa siarką, ale wódka łeb mu zamroczyła i nie widzi, że Sowa krok w krok za nim się skrada. Doszli aż na Uroczysko, dzikie i ustronne. Tupnął Kuwasa nogą, ziewnął szeroko, odsunął się krzak dzikiej róży i ukazał dzwierzca żelazne. Piwnica ta była duża i z wyrem zawszonym, w którym Kuwasa miał swój barłóg. Obok wyra beczki stały. Beczki ze złotem, z czerwiećcami. Runął Kuwasa na wyro i zasnął jak kamień, bo wszeteczeństwami był znużony. A Sowa po cichutku odemknął dzwierzca, wsunął się do piwnicy, i do beczek z czerwiećcami! Oj, obładował się on bogactwem, wypełnił czerwiećcami kieszenie, koszulę, w czapkę nakładł, nawet z tej chytrości i łapczywości w gębę sobie pieniędzy na pchał, bo już gdzie indziej mu się nie mieściło. Ostrożnie wyszedł z piwnicy i na progu, rad że mu szczęście dopisywało, krzyżem świętym się przeżegnał. A tu jak nie buchnie ogniem z piwnicy! Wiatr straszliwy powiał, przeciąg się uczynił, bo w piwnicy jakby przepaść straszna się otworzyła. Trzasnęły drzwi od przeciągu i chłopu, co stał w progu, kawałek pięty ucięło. Ze strachu i bólu zachłysnął się

Sowa czerwieniami, co je miał w gębie. Czerwieniec stanął mu w przetyku i zadusił. Umarł chłop, a diabeł wyniósł skarby z piwnicy i w innej kryjówce je schował. Na Uroczysku jest ta piwnica diabelska, odkopaliście ją panowie. Do dzisiaj koło tej piwnicy, jak dobrze poszukać czerwienice srebrne można znaleźć, co to je ów Sowa pogubił. Ja sam dwa znalazłem, ot i one...

I Just zdjął z szafy znany mi już dzbanek, wysypał na stół dwa rzymskie denary srebrne. Takie jak w grobie księcia. Zapewne zgubiono te monety w pogrzebowym rozgardiaszu.

Ale nie to jest ważne. Prawdą jest przecież, że na Uroczysku jest piwnica, prawdą jest, że Just i my w kurhanie odnaleźliśmy trochę srebrnych monet. A jeszcze przed kilkunastu dniami przyjąłbym opowiadanie Justa za wierutną bajkę, za czyjś wymysł, nie oparty na żadnym realnym fakcie. Nie śmiejmy się z legend. W każdej z nich jest ziarno prawdy, choć nie zawsze umiemy je wyłuskać z obrosłej wokół niego bajki i fantazji...

Kończy Just swe opowiadanie:

– A pan nie wierzysz w diabła. Miał się on może z wami bić o te trochę skorup z gliny i blachy, jeśli takie skarby posiada? Mało panu, że dwa razy ukradł narzędzia, że wierzbę podpalił – rozczapierza Just palce u ręki i zaginając je, wylicza mi wszystkie przestępstwa Kuwasy. – Jednego z panów w grobowcu zamknął. A kto kłódkę do grobowca rozbił? Kto wam trupa główkę pod nogi rzucił?

Milczę. Z kręgu podejrzanych odpadł dziś jeszcze jeden. Bachura. Lecz przecież fakty pozostały faktami. Zginęły nam narzędzia, spłonęła wierzba, własnymi rękami uwolniłem Nietajenkę z grobowca i na grobowcu zawiesiłem nowiutką kłódkę.

Jest, jest jednak jakiś nasz przeciwnik! Zbyt chytry, abyśmy go chwycili za rękę, zbyt przebiegły, aby ujawnić nam swe oblicze i swe imię. Kto on?...

Justowe wino ma cierpki smak, ale darzy ciepłem i radością. Jeszcze łyk i może zaróżowi się ten szary świat. Jak błyskawica na chmurnym niebie przesyje mnie jakaś szczęśliwa myśl, rozjaśni ciemność zagadki?

– Pojutrze wyjeżdżamy. To już zdecydowane – rzekłem.

– Już? Po robocie, po badaniach? – dziwił się.

– A cóż to za robota? – wzruszyłem ramionami. – Gdyby nie przeszkody ze strony Kuwasy, i tygodnia byłoby za dużo na badania. Profesorowi Nemście zachciało się jeszcze grzebać w piwnicy na Uroczysku i tak, ani się człowiek spostrzegł, minęło ponad trzy tygodnie.

– Ale pan do nas przyjedzie, prawda? – patrzył mi pilnie w twarz, a widząc, że umykam w bok oczami, zaniepokoił się. – Przecież musi pan zobaczyć, czy tych z powiatu ruszył pana artykuł? A jak znowu odwlecze się budowa ośrodka zdrowia?

– Napiszesz mi, drogi Juście, list o wszystkim. Adresuj na redakcję, a adres masz w gazecie. Ja tu chyba nie wrócę. Po co? Nie przyniósł mi szczęścia diabeł Kuwasa...

– On nikomu szczęścia nie przynosi – odrzekł cicho.

Wypiłem do końca wino z kubka. Podąłem rękę Justowi.

– Chce pan klucz od kolegiaty? – zapytał.

A gdy odpowiedziałem odmownie, w ręce klasnął ze zdumienia. Był przyzwyczajony, że ilekroć odwiedzałem go, prawie każda wizyta kończyła się wzięciem klucza od romańskiej budowli. Intuicyjnie wyczuł, że stało się ze mną coś niedobrego, jeśli uroki kolegiaty przestały na mnie działać.

– Nie chce pan klucza? Naprawdę? – przeraził się.

– Nie, Juście. Do widzenia. Bądź zdrów.

Wyszedłem. Deszcz przestał padać, ale wiatr strząsał krople z przemoczonych drzew. Świątek w krzakach dzikiego bzu frasował się bardziej niż zazwyczaj, a nagie i czarne od starości ciało Chrystusa ociekało wodą. Twarz miał jakby mokrą od łez, a na końcu grubego nochała wisiała mu wielka kropla wody.

– Ech, ty... żebyś wiedział, jak mi markotno – mruknąłem do niego.

Lecz to nie była prawda. Mruknąłem tak, aby ugruntować w sobie przekonanie, iż jestem człowiekiem skrzywdzonym przez los. Wypite wino gorącą falą rozpełzło mi się po ciele, wezbrała we mnie zadzierzystość. Nawet nie siliłem się, żeby omijać lub przeskakiwać rozlane na drodze kałuże. Waliłem prosto przed siebie, rozpryskując wodę. Niech ktoś spróbuje mnie zatrzymać. Nie ma chętnych?... Dziwne.

W jadalni naszego baraku zastałem całą ekipę. Na stołach leżało wyposażenie książęcego grobowca, a na podłodze stały skrzynki. Mniejsze przedmioty owijano w papier i układano w pudełka, większe zaś wkładano do skrzynek wyoszczonych sianem.

Może tu znajdę chętnych do bójki, he? Z hukiem zatrzaskałem za sobą drzwi.

– Boże, co za grzmoty! – sarknęła Babie Lato.

– Może się co stało? – zwrócił się do mnie zaniepokojony Nemsta.

Zaśmiałem się ponuro.

– Może?... – machnąłem ręką. I przypomniało mi się na „może”.

Może to dzwonią dziwodzwony.

Może to gonią dziwożony.

Może przez jary, przez chojary

Gna koń straszliwy, koń szalony?

Babie Lato spojrzała na mnie zdumiona, Joasia zachichotała, jakby ją ktoś piórkiem piętę polechtał. W rękę trzymała duży, brązowy naszyjnik z grobowca.

Podszedłem do niej i bez słowa wyjąłem go z jej ręki. Potem bez uśmiechu, z namaszczeniem, przyozdobiłem nim jej opaloną dziewczęcą szyję.

Powiedziałem tkliwie Tuwimowski „Madrygał”.

*Dziewczę wiotkie, Joanno innego imienia!
Dawno już nie mówiłem do ciebie kwiatami,
O, fiołkami, Joanno! O, wonią wspomnienia,
Czerwonymi ustami, liliowymi listami.*

*Kwiat – może być mimozą, złotych łez fontanną,
Wiersz – deszczem słów majowych, dźwięczącą litanią,
Więc pozwól, że cię nazwę Klaryssą, Joanno,
Która jesteś kwieconą w te strofy Stefanią*

Dryblas, wskazując na mnie oczami, stuknął się znacząco w czoło. Nemsta z dezaprobatą pokręcił głową.

– Jedno cię tylko rozgrzesza – zauważył – że nie śpiewasz nieprzyzwoitych piosenek.

Joasia stała nieruchomo, nie rozumiejąc, czy mówiłem poważnie, czy też żartowałem. Na wszelki wypadek zarumieniła się jak przystało na przyzwoitą dziewczynę, której młody człowiek rzekł komplement. Dopiero po dłuższej chwili z ociąganiem zdjęła z szyi brązowy naszyjnik.

– Kuwasa złamał moje młode życie – rzekłem stanowczo. I poszedłem spać do swego pokoju.

Na sekundę zatrzymałem się przy oknie, upewniając się, czy naprawdę warto odgrodzić się snem od pospolitej szarości dżdżystego dnia.

Wiatr szarpał obłoki jak baba zakurzoną kądziel i niekiedy sypał o szyby garść październicy deszczu. Kolegiata na wzgórzu pędziła w tle spiętrzonych chmur, to wpadając w głębokie ich wyrwy, to znów wydobywając się na ostre krawędzie. Osamotnione maszty spiczastych wież upodabniały ją do strzaskanego korabia,⁴⁷ cierpliwie przedzierającego się przez podniecone morze. Lecz nie było w tym ani odrobiny groźnego piękna, wszystko pokrywała szara patyna deszczu, wiało nudą, która ciężką ręką układała się na moich myślach. Nie wiem, dlaczego przypominała mi się fotografia drzwi płockich katedry św. Zofii w Nowogrodzie Wielkim. Pokazał mi ją niedawno Nemsta, abym poznał biskupa Aleksandra. Na fragmencie rzeźbionych drzwi, ubrany w swe biskupie szaty, stoi on tam w otoczeniu dwóch diakonów. W twarzy lewego diakona, w niechętnej, głupiej twarzy wypukłe oczy mają wyraz bezbrzeżnej żalości, jakby diakon przeczuwał, że w ruinę pójdzie dzieło wielkiego biskupa, rozsypią się mury opactwa w Czerwińsku, a kolegiata utonie w pyłe zapomnienia szarego jak dzień deszczowy.

*Marność marności wszystko! Wieki i godziny
Jednakowym bezcelem mijają niezmiennie.
Głuchej nieskończoności wieczne narodziny*

⁴⁷ Korab (z grec.) – okręt, arka biblijnego Noego.

I wschody i zachody – codziennie, codziennie.

Mruczałem Tuwimowskie wiersze i rozciągając się na niewygodnym, twardym łożu.

Zbudził mnie Dryblas. Siedział na krawędzi wyrka i bezceremonialnie dmuchał mi w nos.

– Zawiadamiam pana, że mamy obydwaj przyrządzić kolację. Tak przykazał profesor Nemsta.

– Kooolację? – ziewałem szeroko. – Ja przecież jeszcze obiadu nie jadłem.

– Nie nasza wina. Nic trzeba było spać. Trzy tygodnie omijały pana dyżury w kuchni, ale tym razem przyszła kryska na Matyska – powiedział z dużą satysfakcją. Wszyscy nasi poszli na ryby. Tylko pan i ja zostaliśmy.

Wyrzekł to takim tonem, jakby korzystając z okazji zamierzał rozliczyć się ze mną za wszystkie przykrości. Na wszelki wypadek zerwałem się z łóżka, rozprostowując gnaty, żeby wiedział, iż nie jestem taki znowu mizerak.

– A dlaczego akurat my dwaj mamy zrobić tę kolację? – wyrwało mi się.

– Nie znasz pan pedagogicznych skłonności profesora? On chce, żebyśmy przed wyjazdem pogodzili się ze sobą. Więc zapędził nas razem do roboty, hi, hi... Ostatecznie, dlategoż by nie? Możemy się pogodzić – poklepał mnie dobrodusznie po plecach.

Przesałem pół dnia. I dobrze zrobiłem. Na dworze był pogodny, choć zimny i wietrzny wieczór. Dryblas rozpałił ogień w piecu i w kuchni panowało przyjemne ciepło.

– O, tu jest jadłospis, podał mi kartkę. – „Jajka na twardo w sosie musztardowym, chleb z masłem, herbata”.

– Nie wiem, jak robi się sos musztardowy.

– Ja go przyrządzę. Wstaw pan na ogień garnek z wodą.

Postawiłem wodę na ogień. Nakroiłem chleba. Do baraku wbiegł zdyszany Wojtek czy Jędrzek – myliły mi się ciągle imiona tych dwóch wiejskich chłopców.

– Pan doktor Nietajenko przysłał mnie po łopatę. Robaków trzeba nakopać. Ryby dobrze biorą – wyrecytował.

Dryblas, odprawiający nad rondlem jakieś musztardowe gusła, huknął na niego:

– Nie ma łopaty! Zamknięta w komórce! Klucz ma przy sobie doktor Nietajenko.

– On właśnie dał mi ten klucz. Tylko nie wiem, gdzie komórka... wyjaśnił chłopak.

Dryblas niechętnie oderwał się od roboty. Zły był, bo sos wyszedł mało pikantny, za dużo chyba wlał do niego śmietany, a zużył już wszystką musztardę. Przez otwarte drzwi słyszałem, jak się złościł:

– Masz tu, bracie, łopatę i zwiewaj, nie przeszkadzaj nam w pracy. No, na co jeszcze czekasz? Powiedz tam, że zaraz kolacja.

– Pan doktor Nietajenko kazał odnieść mu klucz.

– Sam oddam. Zgubisz go i będzie kłopot.

W garnku na kuchni zaczęła bulgotać gotująca się woda.

– Jajka! Gdzie jajka? Przynieś mi pan jajka! – krzyknąłem na Dryblas. Byłem od niego o kilka lat starszy i uważałem, że mam prawo komenderować.

Dryblas posłusznie przyniósł mi w czapce jajka.

– Dziesięć, zaraz dam panu resztę. Akurat dwadzieścia jajek w koszyku przygotowali oświadczył. – Świeżutkie, jeszcze ciepłe.

Wpuściłem je do bulgocącej wody. Ledwie zmieściły się w garnku. Wszystkie pływały po wierzchu, roztrzāsane bańkami wrzątku.

– Słuchaj pan. Czy one nie powinny pójść na dno? Stare czy świeże jajka pływają po wierzchu? – dziwowałem się głośno.

Dryblas wzruszył ramionami:

– Widocznie świeże. Bo te były jeszcze ciepłutkie.

– Co? – wydało mi się to podejrzane.

– Przecież wziąłem je z komórki. W koszyku były – bronił się przed moim podejrzliwym wzrokiem.

Wyjrzałem na dwór. Przed zamkniętymi drzwiami komórki niespokojnie biegała kwoka z nasi rozszonymi piórami.

– Rany Julek! – wrzasnąłem. – Coś pan najlepszego narobił? Gdzie masz pan klucz od komórki?

Ledwie otworzyłem drzwi komórki, sprawdziło się straszliwe podejrzenie. Niespokojna kwoka rzuciła się do środka i od razu wskoczyła do koszyka wysłanego słomą. Ale koszyk był pusty. Dryblas zabrał jajka, które wysiadywała.

– To kura Nietajenki. Jajka jej podsadził. O Boże... – jęknąłem.

Dryblas bezmyślnie drapał się w głowę.

– Kto wie, od jak dawna ona siedzi w tym koszyku? – zdołał tylko wyrzec.

Straszliwa „naga prawda” stanęła przede mną w całej okazałości. Nietajenko przed trzema tygodniami kupił we wsi kurę, wiedziałem o tym, zastanawiałem się nawet, gdzie ją trzyma. A on zamykał ją w komórce z narzędziami, wysiadywała jajka. Wstydząc się swej „kurzej skłonności” ukrywał ją przed nami, nie wypuszczał kury z komórki, a klucz nosił ciągle w kieszeni, własnoręcznie zajmując się wydawaniem narzędzi. Więc to dlatego, gdy go uwolniłem z grobowca, pierwsze jego pytanie dotyczyło kury? Bał się, że zdechła z głodu...

Poważni jak karawaniarze wróciliśmy do kuchni, zdjęliśmy z ognia garnek z jajkami i zanieśliśmy go na koniec wysepki. Z winy Dryblas zamordowałem w skorupkach kilkanaście młodych, jeszcze nie narodzonych kurcząt. Z całych sił, potężnym zamachem garnka wyrzuciliśmy jego zawartość daleko na bagna, na moczary.

W kuchni, rzecz jasna, znaleźliśmy w tekturowym pudełku świeże jaja na dzisiejszą kolację.

– Co będzie? Co będzie, jak się doktor dowie? O Boże, o Boże, na jesieni zdaję u niego dyplomowy egzamin – stęknął Dryblas zupełnie złamany na duchu. Takie nieszczęście, takie straszne nieszczęście – powtarzał i nieledwie łkał z rozpaczy.

– Trudno, mój panie. Przekonałeś się, że nawet i archeologowi potrzebna jest doza inteligencji i rozumu – naigrywałem się z jego boleści. – Ryleś pan pode mną dołki, szydziłeś ze mnie, szkodziłeś, gdzie tylko mogłeś. Nawet i tego Bachury mi pan nie darowałeś. I Pan Bóg pokarał...

Ogłupiały z żalości, potakująco kiwał i trząsł swoją zmartwioną głową, na której podczas pobytu na Uroczysku wyrosły mu długie na centymetr włosy.

Jakaż to jednak rozkosz podać rękę zgębnionemu, pokonanemu przeciwnikowi. I jaka radość być wielkodusznym.

– Weź pan świeże jaja i podłóż kwoce. Ona nie pozna się na tym. A nawet jak i rozezna zmianę, nie wykwocze prawdy Nietajence.

– A kolacja? Co podamy na kolację? – pytał, a w głosie brzmiała mu już radosna nadzieja.

– Wyjaśnimy Nemście pańskie nieszczęście. On zrozumie. A pozostałym powiemy, że nastąpiła zmiana w jadłospisie, jajka w sosie będą jutro na obiad.

Uszczęśliwiony Dryblas chwycił pudełko z jajkami i po chwili niezmiernie zadowolona kwoka rozsiadła się wygodnie na pełnym koszu.

A na kolację był tylko chleb z masłem i herbata. Jedyne „smarkacze” protestowali przeciw zmianom w jadłospisie. Twierdzili, że taka zmiana była do przewidzenia, skoro ich nie stało, a ja objąłem rządy w kuchni. Umilkli i aż gęby porozdziawiali ze zdumienia, gdy po raz pierwszy w dziejach naszego pobytu na Uroczysku Dryblas stanął w mojej obronie.

– Pan redaktor ma rację – powiedział „smarkaczom”. – Zbyt syta kolacja źle wpływa na sen.

– Usmażcie sobie ryby – doradził im Nemsta, rad mojej zgodzie z Dryblasem, zapewne uważał ją za zasługę swoich pedagogicznych zdolności.

U skraju nocy podpatrzyłem Nietajenkę, gdy cichcem niósł do komórki ronderek z wodą i pokruszonym w niej chlebem. Przez cienką ściankę komórki słyszałem, jak gadał do kwoki:

– Niedługo już, starucho, niedługo... Jeszcze dzionek, a kurczaki zapukają w skorupy. Niedługo... Malutkie, żółciutkie, puszyste jak bazie wierzbowe...

Zrobiło mi się przykro, jakbym komuś wyrządził wielką krzywdę, i czym prędzej uciekłem do swego pokoju.

Wkrótce noc opadła jak nieprzenikniona kurtyna, ciemna choć oko wykol. Przez okno wpadły do pokoju dwie ćmy i jak złe duchy, jak niespokojne myśli bezszelestnie krążyły nad lampą naftową i nad moją głową pochyloną nad manuskrypcem Nemsty. Pewien już byłem, że kolegiata nie zdradzi mi swych tajemnic, ale czyż nie było moim obowiązkiem poznanie jej dziejów do końca?

Powracając z wieczornego spaceru Babie Lato na chwilę przystanęła koło naszego okna. Zagadnęła Nemstę ścielącego swe łóżko:

– Egipskie ciemności. O mało nie zgubiłam ścieżki na Uroczysko. W taką jak dziś noc Kuwasa bez trudu może zaprowadzić na moczary...

– Niech pani nie mówi o Kuwasie, bo się przyśni – powiedział Nemsta.

– Tak? O, to byłoby nawet ciekawe... Tylko że Kuwasa nie mnie sobie upodobał. Jest u nas ktoś, kogo tak opętał, że i po ludzku rozmówić się z nim nie można.

Do mnie piła. Podniosłem głowę znad książki i uciałem krótko:

– Pani jest czarownicą!

Zaśmiała się zagadkowo i zniknęła. Mógłbym przysiąc, że jest czarownicą. Ledwie odeszła, poczułem się dziwnie nieswojo, samotnie, pierzchł gdzieś mój spokój.

Nemsta zaczął sarkać, że spałem w dzień, a teraz do północy będę palił lampę i czytał, przeszkadzając mu spać. Pokazałem, że ślęcę nad jego pracą, więc już tylko chrząknął zadowolony i położył się, głowę nakrywając kocem.

Światło wywabiało z ciemności nocne stwory. Jakiś czarny i wielki jak palec żuk wleciał brzęcząc grubo i gniewnie. Kilka sekund ocierał się z szelestem o ściany i sufit, potem spadł na stół i znieruchomiał na nim, wysunawszy w moją stronę długie wąsy. Jego malutkie oczka połyskiwały ciekawie i tajemniczo.

– Może tyś przebrany Kuwasa? Przyleciałeś wybadać sytuację?

Podkradłem się do niego i dałem mu takiego pstryczka palcami, że natychmiast wyleciał za parapet okienny. Nareszcie znowu zabrałem się do czytania.

Były to już ostatnie dwie kartki manuskryptu. Pisał na nich Nemsta, że kolegiata posiada prawie 100 grobowców z różnych epok. W grubych murach są płyty nagrobkowe, między innymi z roku 1553 Andrzeja Bobkowskiego herbu Wieniawa i kanonika Feliksa Ciesielskiego, przyścienny nagrobek ks. Macieja Wargowskiego (1559). Czarne marmurowe epitafia opiewają śmierć Marcina Kaczorowskiego zmarłego 15 maja 1625 roku i kanonika Marcina z Sieciechowa (1650).

Ze starych grobowców wymienia Nemsta – przepisując ze starej kolegiackiej księgi pamiątkowej – grób księdza Mikołaja z Kalisza, pochodzący z 1425 roku, i znajdujący się w lewej nawie kościoła grób Łukasza ze Ślesina z 1298 roku oraz kanonika Leonarda z Opornej, grób w kruchcie kolegiaty...

Przetarłem oczy, bo zdawało mi się, że to przelatujące po kartce manuskryptu cienie nocnych motyli poprzestawiały mi wiersze.

Lecz nie. Wyraźnie było napisane: „grób kanonika Leonarda z Opornej (1256) w kruchcie kolegiaty...”

Zapaliłem papierosa, żeby strząsnąć z siebie najmniejszy pyłek zmęczenia. Nic jednak nie było jasne, wszystko zagmatwało się, skłębiło jak ćmy nad lampą.

Doskoczyłem do śpiącego Nemsty i począłem go szarpać za rękę.

– Zbudź się, człowieku. Obudź się!

– Jezus Maria, co się stało? – czujny i bez kropli snu w oczach zerwał się z posłania.

– Cóż ty tu napisał? Skąd to wzięłeś? Twierdzisz, że grób Leonarda z Opornej jest w kruchcie kolegiaty. A tymczasem sam na własne oczy widziałeś, i ty, i ja, i my wszyscy, że znajduje się on w prawej nawie, że tam jest wmurowana tablica kamienna z epitafium: *Vive diu vitamque tuam perpende...*

Nemsta przetarł ręką czoło.

– Odpisałem tę informację z bardzo starej, pergaminowej księgi, będącej w posiadaniu Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie. Ta zaś księga jest z kolei odpisem innej, jeszcze starszej. Może była słabo czytelna, może ten co odpisywał, pomylił się i umiejscowił grób Leonarda nie w prawej nawie, lecz w kruchcie?

– Omyłka? – ironizowałem. – Przypuszczasz, że i w tamtych latach ludzie mylili się tak często jak dzisiaj?

Staliśmy u progu wielkiej zagadki. Jeszcze krok i poznamy tajemnicę.

Nad lampą coraz szybciej i szybciej krążyły czarne ćmy. Były jakby przerażone blaskiem.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

NAIGRYWANIE Z KANONIKA • WIEDZMA • CZŁOWIEK Z PASKIEM NA PRZEGUBIE • BANALNA HISTORIA • DRZWI POZA NAGROBKIEM • W PODZIEMIU KOLEGIATY • SZKIELETY I BROŃ • STAUROTEKA • WYJAŚNIENIE ZAGADKI • DRAMAT Z 1331 ROKU • KLEJNOTY RELIKWIARZA • HIPOTEZY • POCAŁUNKI W PODZIEMIU

Podobiznę kanonika Leonarda z Opornej łechtały pod nosem dwa malutkie promyki słońca, które przedarły się przez okalające okno gałęzie, swobodnie tańczyły na kamiennej twarzy. Już dwa ostrza szpadli złamaliśmy, usiłując wydobyć ze ściany płytę. Siedziała jednak mocno, jakby przyrośnięta. Wojtek i Jędrzek pobiegli więc na wieś wypożyczyć żelazny łom. W tej sytuacji nie na miejscu wydawał mi się krzywy uśmiezek świętobliwego Leonarda. Tak czy owak, prędzej czy później, wyjmemy go ze ściany, a wówczas dowiemy się, co ukrywał za plecami.

– Zestawiajcie jego krzywy uśmiech z reklamą, którą sobie umieścił w epitafium: „Żyłem w sławie powiada – i żadną hańbą się nie splamiłem”, nie był to chyba skromny człowiek? – zauważyłem.

– Nie grzeszył, bo pewnie nie miał ku temu okazji – dodał Dryblas.

– Pewnie na bóle zębów cierpiał albo miał zły zgryz – dorzucił Narkuski, budząc złe licho w postaci Nietajenki.

Ten rzekł nam z oburzeniem:

– Przestalibyście wreszcie naigrywać się z podobizny człowieka, który może być bardzo porządny. A w każdym razie wam żadnej krzywdy nie uczynił, braciaszkowie mili.

I zagderał do Nemsty:

– Po co to? Dlaczego odkrywacie tę płytę? Mało łupów przywieziesz z Uroczyska? Żeby ciekawość zaspokoić? Omylił się jakiś tam księżulo, źle w księgach zapisał, a wy zaraz z tego wielką historię robicie. Założę się, że kupę kości znajdziecie w ścianie, nic więcej.

Narkuski trącił mnie łokciem w bok i niby to do mnie mówiąc, ugodził w Nietajenkę:

– Nie zostanie nigdy wielkim naukowcem ten, kto nie jest ciekawy. Ot co, panowie.

Rozgorzała kłótnia. Odszedłem na bok, bo drażnił mnie podniesiony harmider, odbijający się natychmiast w kolegiacie głuchym echem.

Zbliżyła się do mnie Babie Lato.

– Nazwał mnie pan czarownicą. Dlaczego?

– Ktoś tu na Uroczysku przynosi mi nieszczęście. Nie wiem, czy to nie pani.

– Zadarł pan z Kuwasą, a teraz do mnie z pretensjami. Nie trzeba mu było włączyć w paradę.

Pokręciłem głową.

– Nie, nie on winien przykrościom, które mnie tu trafiają.

– ...jak strzały amora – dokończyła poważnie.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie znam się na amorach. W tej dziedzinie również spotkały mnie niepowodzenia.

– A jeśli zawiedzie pana i kanonik Leonard? To zdaje się ostatnia pańska nadzieja?

Znowu niegrzecznie wzruszyłem ramionami. Dość miałem tej rozmowy.

– Nie wiem, co wtedy – rzekłem oschle.

Zaśmiała się cicho i zagadkowo, tak samo jak wczoraj wieczorem.

– Pani znowu czaruje?! – krzyknąłem na nią.

– Znowu? Nie. Po prostu pomyślałam to, co już dwa razy kiedyś powiedziałam. Nie tam pan szuka szczęścia, gdzie trzeba.

– Wybaczy pani, ale nie rozumiem – powiedziałem i zrobiłem pierwszy krok, aby odejść.

Nagle tknęło mnie coś. Przystanąłem, odwróciłem się i objąłem spojrzeniem dziewczynę. „Szczęście? – pomyślałem. – Cóż ona gada?”

Stała w załomie muru tuż przy romańskiej kolumnie, której kapitel przyozdabiają dwie rzeźbione, skrzyżowane ze sobą laski. Prawie cała postać dziewczyny, od ramienia aż do stóp kryła się w cieniu kolumny, a tylko głowę i ramiona uchwycił nieforemny promień słońca, biegnący ukośnie od okna. Wszystko to wydawało się jakby namalowane, jak stare renesansowe malowidło utrzymane w ciemnym, głębokim tonie.

Blask słońca dodawał złota włosom dziewczyny. Aż kapały swą barwą, lśniły jak polerowany metal. Dziś uczesała je inaczej, puszyły się, szczelnie osłaniając uszy i skronie, zachodząc prawie na policzki. W tym wszystkim twarz jej wyglądała drobno i prześlicznie, pociągnięta barwą lekkiej opalenizny. Spoglądała na mnie nieruchomo, oczami rozgrzanymi śmiechem, a refleks światła drgał na jej rozchylonych, wilgotnych wargach.

Walczyłem ze sobą, czy nie uchwycić jej za ręce, przyciągnąć ku sobie, zanurzyć twarz w jej połyskujących włosach. Jak z rozprutego worka uwalniały się we mnie jakieś groźne siły i pragnienia, tłamsiłem je, pakowałem z powrotem tam, skąd wyszły, i zadyszany jakby z wysiłku, jęknąłem:

– Pani mnie kusi. Wiedźma!

Uciekającego w głąb kolegiaty smagnęła mnie, jak biczem, pogardliwym:

– A pan niewinność ślubował?...

Nikt nie dostrzegł mego wstydu. Chłopaki przynieśli już łom i gorliwie zabrali się do roboty, z naszych rozmów wnioskując zapewne, że tam za płytą do nie lada jakich skarbów się dobiorą. Taki zresztą i w ogóle był ich stosunek do naszej pracy. Mimo licznych wyjaśnień traktowali robotę archeologów jako nieustanne poszukiwanie zakopanych gdzieś skarbów, co o wiele bardziej działało na ich wyobraźnię niż robota w ojcowskich gospodarstwach. Przyłgnęli też do nas i choć Nemsta od razu na początku obiecał im wynagrodzenie za pomoc, do tej pory ani o tym nie wspomnieli, traktując swe zajęcie bardzo honorowo.

Obydwaj byli prawie jednakowego wzrostu i mieli identyczne czupryny, ciemnoblonde i rozwichrzone we wszystkich możliwych kierunkach. Wojtek był jednak wyraźnie silniejszy, tęższy i bardziej rozrośnięty w barach; on też przewodził Jędrkowi. Nosili się jak większość tutejszych ludzi: w lnianych portkach ufarbowanych na czarno, w koszulkach z cienkiego lnu, zapiętych na barwne guziczki szklane. Byli obydwaj zawsze w doskonałych humorach i nawet teraz, przy robocie, wymieniali żartobliwe uwagi:

– Nie pogniewa się ten świnty, że go tak objamamy?

– Nie widzisz, że się uśmiecha?

Źle jednak rozpoczęli pracę. Niepotrzebnie najpierw z dołu płyty wykruszyli zaprawę spajającą ją z kamieniami ściany. Jeśli zaprawa u góry, jest słaba i nie utrzyma ciężaru, to cała płyta obsunie się na ziemię. Zauważyli to. Wojtek oddał łom Jędrkowi, a sam podniósł ręce i wsparł nimi płytę. Rękawy koszuli obsunęły mu się ku dołowi odsłaniając przeguby...

Dryblas skoczył jak oparzony.

– Stać! Stójcie!

Przerażeni krzykiem przylegli do ściany. Dryblas chwycił Wojtka za rękę i pociągnął go do Nietajenki.

– Taki? Ten sam? – wskazywał doktorowi przegub ręki chłopca, opięty szerokim skórzanym paseczkiem.

Nietajenkę aż zatkało z wrażenia. Ledwie wykrztusił z siebie:

– Aaaa... braciaszku – i dopiero po chwili rozwrzeszczał się na całego: – Hultaje, łobuzy, rzezimieszki! Naukowca chcieliście uwięzić? Na jego życie się porwaliście, braciaszkowie?...

Otoczyliśmy ich ciasnym kręgiem, żeby nam żaden nie spróbował umknąć.

– To tak przedstawia się prawda? – smutnie pokiwał głową Nemsta, bo serdecznie polubił chłopaków.

Sprawa była jasna, zdemaskował ich skórzany paseczek. Nawet nie starali się zaprzeczać, gdy wyliczaliśmy długi szereg ich grzechów.

Ukradli nasze narzędzia już w pierwszym dniu przyjazdu ekipy na Uroczysko. Próbowali ukraść i następnym razem, ale napatoczyli się na mnie i Nemstę, przez, co wynikła pamiętna

nocna bójka. To Wojtek uderzył głową profesora i przewrócił go na ziemię. Ukradli także narzędzia podczas drzemki Dryblasa, podpalili wierzbę, podrzucili pod barak czaszkę, zamknęli Nietajenkę w grobowcu Regierungsraha. Dorzuciłem jeszcze fakt wyłamania kłódki w grobowcu, ale gorąco zaprotestowali:

– Nie my. To już nie my! Jak Boga kocham, nie my! – bił się w piersi Jędrek.

Skulony ze strachu Wojtek jak mógł, tak się tłumaczył.

– Jak my usłyszeli, że panowie nie po skarby przyjechali i nie ma skarbów w kurhanie, to sami my przyszli pomóc panom. Już my więcej nie szkodowali, uczciwie pracowaliśmy...

Nietajenko groził im zaciśniętą w kułak pięścią:

– Chcieliście mnie głodem zamorzyć? Naukowca? Ha, braciaszkowie, milicja się wami zajmie...

– Bez tę gadkę o skarbach to wszystko. Bez nią... – rozplakał się Jędrek.

I opowiedzieli nam całą prawdę o sobie. Ot, zwykłą nieciekawą historyjkę o dwóch wiejskich chłopakach, którym Just nagadał o rzekomych skarbach w kurhanie, zamysłali wykopać skarby i nawiać z ojcowskich domów. I już mieli swoje zamiary w czyn wprowadzić, a tu na Uroczysko zjechała ekipa naukowców, wśród ludzi rozeszła się wieść, że z kurhanu będą skarby dobywać. Zrozpaczeni chłopcy próbowali uchronić skarby. Ukradli narzędzia, a gdy przywieźliśmy nowe – i te chcieli ukraść. Myśleli, że nas wypłoszą, wystraszą – podrzucili czaszkę, podpalili wierzbę, oblewając ją naftą, ale butelki przezornie uprzątnęli, żeby śladów podpalenia nie zostawić. Skradzione narzędzia ukryli w grobowcu, a gdy zobaczyli, że Nietajenko znalazł ich kryjówkę, niewiele myśląc zatrzasnęli za nim drzwi. Potem kłopotali się, co dalej począć z Nietajenką. Głodem go zamorzyć nie pragnęli, zanieśli mu więc chleb, wodę i paczkę papierosów. Na jednej z pogadanek usłyszeli o naszych badaniach i postanowili uwolnić doktora. Ale doktor był już wolny. Wtedy zgłosili się do nas, do pomocy...

Każde ich słowo obdzierało Uroczysko z Kuwasowej szaty grozy, niebezpieczeństwa, tajemniczości. Boleśnie to odczuwałem. Aż zły byłem na nich, że tak łatwo pozwolili się zdemaskować.

– Nicponie – orzekłem.

– Eee, przesadzasz, bratku – zmienił nagle front Nietajenko. – Jakie to tam nicponie? Nie przynieśli mi chleba, ba, papierosów?

Wyczytałem z twarzy Nemsty, że i on gotów jest chłopcom wszystko wybaczyć. Pierwszego lepszego uzasadnienia szukał, aby dać im rozgrzeszenie.

– To powiadacie – podsunął im od razu i odpowiedź – że gdybyście zaraz na początku wiedzieli, że przyjechaliśmy tu nie po Kuwasowe skarby, to nie ukradlibyście nam narzędzi?

– A przecie – przytwardzili ochoczo. – Jakby my wiedzieli, toby przecie nie szkodzili, ale zaś pomogli. Jak teraz.

Tylko Dryblas wciąż doszukiwał się u nich wielkiej winy:

– Mogli nam zupełnie uniemożliwić pracę. Gdyby po raz trzeci ukradli narzędzia...

Nemsta go zgromił:

– Co by było, gdyby było. Naukowcowi nie wolno tak rozważać. Naukowca obchodzą fakty.

– No, fakty nie świadczą na ich korzyść – bronił się Dryblas.

Ale Nemsta machnął ręką.

– Eee, tam... Do roboty! Szkoda czasu – przesądził całą sprawę.

O oddaniu ich milicji nie było nawet mowy.

– A jaką fantazję mają te hultaje – zachwycił się Nietajenko. – Przyszłoby to któremu z nas na myśl wierzbę podpalić, czaszkę podłóżyć?

Byłem podobnego zdania. Najlepiej w niepamięć puścić grzechy chłopaków. Tylko żal, że wyjaśnienie wszystkich zagadek okazało się tak banalne. Czy wszystkich? Zielarz-znachor z szałasów na łąkach – to zupełnie odrębna historia w łańcuchu zdarzeń, które przeżyliśmy na Uroczysku. I nigdy już chyba nie będę o niej znał całej prawdy. Odrębną też, nie wyjaśnioną historię stanowiło rozbicie kłódki w grobowcu Regierungsratha. Nie miałem powodów mniemać, że Jędrzek i Wojtek byli i w tym wypadku sprawcami. Skoro przyznali się do tylu poważniejszych grzechów, dlaczegoż nie mieli się przyznać jeszcze i do tego?

A podziemny korytarz z Uroczyska do kolegiaty? A sprawa napadu Krzyżaków w 1331 roku i tajemnicze zaginięcie drogiej stauroteki?

Nie, nie wszystko jest jasne. Kolegiata i Uroczysko dobrze strzegą swych największych tajemnic.

„...Zobacz, że wszystko złożone zostaje pod małym kamieniem” – głosił kanonik Leonard.

– Uwaga! – przeszył nas czyjś okrzyk.

Doskoczyliśmy do nagrobka. Odłupał się on właśnie od ściany, ale jeszcze tkwił w niej silnie. Wcisnęliśmy więc palce w szczeliny i podpierając płytę ramionami, żeby nie upadła, poczęliśmy ją na bok odsuwać.

Za płytą, centymetr po centymetrze, ukazywały się nieduże żelazne drzwi.

Nemście głos dygotał z podniecenia

– Domyślcie się teraz, dlaczego napis na płycie jest zatarty?

– ???

– Zapewne płyta przez dłuższy czas spoczywała nad grobem Leonarda w podłodze kruchty i wypukłe litery napisu starły stopy przechodzących po niej ludzi. Potem ktoś wyjął ją z podłogi i zamurował nią drzwi...

Na żelaznych drzwiach wisi duża kłódka. Kowana, starej i misternej roboty. To ona stoi teraz między nami a odpowiedzią na zagadkę. Nemsta nie pozwala użyć łomu, bo szkoda mu jej psuć. Próbuje więc otworzyć zaimprovizowanymi wytrychami z drutu. Drut jest

miękki, zbyt łatwo gnie się i łamie; dobrą godzinę zmarudziliśmy, zanim w kłódce coś chrupnęło i zamek ustąpił.

Teraz zdjęcie kłódki ze skobla jest dziełem sekundy. Od wieków chyba nie ruszane zawiasy zagrały ponuro, niechętnie i uchyliły drzwi – ledwie na pół stopy.

Odepchnąłem skupionych przy drzwiach „smarkaczy” i rozpędem uderzyłem ramieniem w żelazo, aż drzwi otworzyły się na oścież.

Staliśmy u wejścia do malutkiej, prostokątnej izdebki. Była bez okna i światło dnia, które z mrocznej kolegiaty przesączało się tutaj, ledwo rozproszyło gęstą ciemność. Uderzył nas zatechły zaduch od stuleci nie wietrzonego pomieszczenia

– Światła! Lampkę! – zażądał Nemsta.

A gdy zabłysło światło elektrycznej latarki, izdebka okazała się malutką platformą ze schodami wiodącymi gdzieś pod kolegiatę.

Przestępując próg, idący na przedzie Nemsta potknął się o coś, poświecił lampką i odruchowo cofnął się o krok. Zajrzeliśmy mu przez ramię.

Pod drzwiami na kamiennej platformie leżał szkielet ludzki. Wyciągnięte piszczele rąk obejmowały próg, kości palców jakby wbite były w szczeliny kamieni. Zdawał się czołgać po ziemi, aż utknął przy progu szczerząc zęby szerniałej od kurzu czaszki. Obok niego leżał miecz złamany, wyszczerbiony, jakby ów człowiek, zanim umarł, a ciało jego zetlało na proch, próbował nim wyważyć zamurowane drzwi. Podobnie złamana była również porzucona tuż obok mizerykordia.⁴⁸

Na pierwszym stopniu schodów – drugi szkielet. A dalej – trzeci i czwarty. Ten ostatni dziwnie skurczony i rozsypany – zapewne człowiek ten umarł na siedząco, wsparty plecami o ścianę. A gdy ścięgnięta łączące kości spróchniały, zamienił się w bezładną kupę kości.

Na okrągłej obręczy żeber szkieletu – mały srebrny krzyżyk.

– Czyżby ksiądz? – zastanawia się Nemsta.

Kończą się stopnie schodów, zaczyna korytarz z granitowej kostki.

– Ten sam, prawda? – mówię do Nemsty.

– Ten sam – odpowiada jak echo.

Rozumiemy się bez zbytecznych słów. Jesteśmy w znanym już nam korytarzu podziemnym, idącym z Uroczyska do kolegiaty. Tylko że teraz znajdujemy się w drugiej jego części, po drugiej stronie zapadliska.

Na początku korytarza, pod ścianą długą jak trumienka, drewniana skrzynka. I znowu szkielet ludzki, ułożony z boku, z głową wspartą na wieku skrzynki. Pod kratą żeber – srebrny krzyżyk.

Wolno posuwamy się naprzód. Korytarz opada ku dołowi, pewnie razem z pochyłością wzgórza, na którym stoi kolegiata.

W poprzek korytarza kości rozciągniętego człowieka. Rycerz to był. Ranny, przed śmiercią uwolnił ciało z pancerza, a głowę z hełmu. Jak odwrócone do góry dnem wiadro

⁴⁸ Mizerykordia (z łac.) – trójściany sztylet, którym rycerz zadawał powalonemu przeciwnikowi ostatni cios.

sterczy pod ścianą hełm z kratą do ochrony twarzy. Obok pusty pancerz, podobny do kokonu, z którego wyleciał motyl.

Przyklęknąłem i obydwoma rękami podniosłem z ziemi wielki miecz obosieczny, z rękojeścią w kształcie krzyża.

- Zerwikaptur Podbipięty? – powiedziałem.
- Bo też i chyba krzyżacki – rzekł obejrzawszy go Nemsta.
- Może to Krzyżak? – wskazałem szkielet rycerza.
- Najpewniej...
- Ale dlaczego oni tu zmarli? – nie mogłem pojąć.
- Nie domyślasz się?

Zabrzęczało żelastwo. To Dryblas przewrócił się o tarczę rycerską. Wielką, prostokątną u góry, zaokrągloną u dołu. Czy to nie takie tarcze widziałem u zakutej w stal piechoty krzyżackiej na filmie „Aleksander Newski”?

Jeszcze jeden szkielet. Który to już z kolei? Siódmy, prawda? Znowu pancerz, hełm z bawolimi rogami, miecz, kord przeżarty rdzą.

Duszno mi. Serce wali jak miotem, w uszach słyszę szum pulsującej krwi. Klatkę piersiową jakbym miał opiętą ciężkim pancerzem, z trudem chwytam w usta powietrze zatechłe, prawie bez tlenu. Korytarz nie ma chyba drugiego wyjścia, przez otworzone przez nas niewielkie drzwi z kolegiaty świeże powietrze wymienia się ze starym zbyt powoli. Duszno mi. Coraz duszniej. Twarz opływa potem.

„Oto papierosowy nałóg, któremu ulegam od osiemnastego roku życia, daje mi się teraz we znaki” – myślę, widząc, że Nemsta jakoś lepiej ode mnie znosi pobyt w podziemiu. Właśnie podniósł z ziemi ów ogromny miecz.

– Krzyżacki – stwierdza. – Prawie identyczny jest u nas w muzeum. Znaleziony na polu pod Płowcami.

Brak dostępu powietrza dobrze zachował wszystko, co znajduje się w tej części podziemia. W doskonałym stanie jest broń, a gdzieś i ciało na szkielecie zmumifikowało się, zaschło. Krzyżakowi utrzymały się na głowie długie włosy. Jak zeschły liść tytoniu rozsypujący się na popiół pod byle dotknięciem. Mnich to był i rycerz chyba znamienity. W resztkach materii okrywającej jego barki rozpoznajemy mnisi płaszcz krzyżacki. Z bieli jego nic nie pozostało, jest szary, spopielony, ale dobrze widać czarny krzyż naszyty na materiał. Był z brokatu, pozostały jeszcze układające się w krzyż srebrne nitki.

Czerwone, duże płyty tańczą mi przed oczami. Tchu, tchu!... Jeszcze chwila, a wydaje mi się, że całe tony jakiegoś wielkiego ciężaru zwałą się na mnie i zaduszą... Prawie po omacku, potykając się i zataczając na ściany, zaczynam uchodzić z podziemia.

- Tchu... tchu...

Przed schodami ktoś chwyta mnie za ręce i wyprowadza do kolegiaty. Tam siadam bezsilnie pod kolumną i haustami czerpię w płuca powietrze. W skroniach nieustannie stukają jakby dziesiątki malutkich młoteczków, ale sprzed oczu znikła czerwona płachta.

– Ach, to pani jest tą samarytanką? – zauważam przy sobie Babie Lato.

Chusteczką ociera mi twarz z potu.

– Tak, tak – trochę podrwiwa.

Chcę podnieść się, nogi mam jednak jak z ciasta.

– Niechże pan siedzi, wypocznie. Na laurach. Jest pan chyba szczęśliwy? No cóż, to przecież pańską zasługą jest to odkrycie podziemia – mówi i odgarnia mi z czoła przylepione włosy.

Zamykam oczy, żeby nie spłoszyć muskania jej palców.

– Może wody? – pyta.

– Nie, nie.

– Jestem przecież wiedźma – sarknęła i cofnęła rękę.

Wyszedł z podziemia Narkuski i uścisnął mi prawicę:

– No, no, tego się po panu nie spodziewałem. Takie rewelacyjne odkrycie. Ciekawe, bardzo ciekawe...

Dryblas i „smarkacze” wynieśli podobną do trumienki skrzyneczkę. Po chwili zjawił się również i Nemsta.

– Doszedłem aż do końca korytarza – zaczął opowiadać. – Tam, gdzie zaczynają się bagna, jest zapadlisko. Woda nadwątlila sklepienia korytarza na całej przestrzeni pod moczarami. Pozostał nienaruszony tylko niewielki kawałek od strony „kaplicy” na Uroczysku i tych kilkadziesiąt metrów od kolegiaty. Zbudowano korytarz w 1160 roku, a zapadł się w 1331. Prawie dwieście lat bronił się przed zgubnym działaniem bagiennej wody. Aż pewnego pięknego dnia, gdy w podziemiu znajdowała się uciekająca z kolegiaty gromadka księży, a od strony Uroczyska wszedł w podziemie niewielki oddział krzyżacki najeźdźców, sklepienie załamało się grzebiąc pod sobą wielu ludzi, a ocalałą gromadkę księży skazując na śmierć głodową...

– Więc... więc... ta skrzyneczka to...

– To stauroleka.

Po dłuższym wypoczynku ponownie zeszliśmy z Nemstą w podziemia. Chcieliśmy odtworzyć sobie całą tragedię, która tu rozegrała się przed ponad sześciuset laty.

...Wyobrażamy więc sobie ów dzień w lecie 1331 roku latem to było, jeśli wierzyć zeznaniom pątnika Bogusława. Z rana jak co dzień w kolegiacie odbyła się msza święta i modły, potem skwarna cisza i południowy upał objęły kościół. I wtedy to nadbiegła złowróżbna wiadomość o zbliżających się oddziałach krzyżackich.

Uderzyły na alarm dzwony na wieżach kolegiaty. Mieszkańcy okolicznych wsi ukryli się na bagnach, kilku obecnych w pobliżu rycerzy polskich pośpieszyło do warownego kościoła, gdzie się księża szykowali do zawarcia wierzei. W tym to czasie dopadł kolegiaty pątnik Bogusław, schronił się na jednej z wież i tam zabarykadował drewnianymi dylami.

Dwa dni bezskutecznie szturmowali Krzyżacy do bram kolegiaty. Trzeciego jednak dnia zgromadzeni w kościele księża i grupa rycerzy doszli do wniosku, że nie zdołają się oprzeć krzyżackiej potędze.

Postanowili umknąć z kolegiaty, zabierając ze sobą to, co najcenniejsze. Droga ucieczki była zresztą otwarta. Księża znali podziemny korytarz do Uroczyska, gdzie malutka kapliczka maskowała wyjście z podziemia. Z Uroczyska za plecami Krzyżaków łatwo już było ująć bagnami, drózkami znanymi tylko tubylcom.

Uciec, umknąć – tak! Ale Krzyżacy stwierdziwszy nieobecność obrońców natychmiast wtargną do wnętrza kolegiaty, a wówczas bez trudu odnajdą wejście do podziemia, pomkną w pogoń i jeśli dogonią, los księży będzie przesądzony.

Nigdy już nie dowiemy się, kto księżom podsunął pomysł ukrycia wejścia do podziemia za kamiennym nagrobkiem kanonika Leonarda. Z księgi ekspensów wiemy, że w tym czasie przeprowadzano akurat remont kolegiaty, zapewne również w jej wnętrzu znajdowało się trochę materiału budowlanego. Faktem jest, że księża wydarli z podłogi w kruchcie kamienną płytę z zatartym nogami napisem łacińskim. Dwóch kleryków ofiarowało się pozostać w kolegiacie i oni to zapewne podjęli się zadania zamaskowania drogi ucieczki. Może wierzyli, że unikną śmierci, a może byli fanatycznie religijni i marzyła im się palma męczeństwa?

Otwarto żelazne drzwi do podziemia. Czoło pochodu uformowała grupa rycerzy, za nimi poszli księża unosząc w rękach relikwiarz z drzewem Krzyża świętego. Dwaj klerycy zamknęli drzwi na kłódkę, we wnękę wstawili nagrobek Leonarda, obmurowali go pośpiesznie i modląc się oczekiwali wtargnięcia wroga.

Co było dalej – wiemy. Krzyżacy wdarli się do kolegiaty, a zobaczywszy, że zdobycz, umknęła, złość swą wyładowali na klerykach. Pątnik Bogusław zlazłszy później z wieży, znalazł ich ciała pobite mieczami.

Lecz część oddziału krzyżackiego dowiedziała się o podziemnej drodze z Uroczyska. Być może za cenę życia zdradził im ją ktoś z okolicznych mieszkańców. Spróbowali dostać się tamtędy do broniącego się kościoła.

W podziemnym korytarzu zetknęli się ze sobą uciekający i napastnicy. Zapewne wywiązała się zacięta walka, uciekający mieli bowiem odciętą drogę powrotu (zamknięte drzwi, zamurowane płytą Leonarda), zresztą wąski korytarz sprzyjał obronie przed Krzyżakami.

Przypuszczać można, że sklepienie korytarza od dawna już groziło zawaleniem. Znali tę groźbę kolegiaccy księża, lecz obawa śmierci od miecza zwyciężyła lęk przed niebezpieczeństwem nadwątlonego sklepienia.

Runęło. Wspólny grób znaleźli mnisi w białych płaszczach, knechci i grupka polskich rycerzy. Legli pod nasypem z ciężkich kostek i ziemi, na wieczność pogodzeni.

Ocalało zaledwie kilku księży, którzy wraz ze stauroteką chronili się bliżej wejścia z kolegiaty. Uszli z życiem także dwaj rycerze krzyżacy, ale obydwaj ciężko ranni, z połamanymi żebrami, z pogruchotanymi kośćmi barkowymi – wkrótce chyba zmarli w mroku korytarza.

A księża? Tych czekała powolna śmierć z pragnienia i głodu. Śmierć długa jak wieczność, wypełniona cierpieniem i męką.

Drogę do przodu zamknęło zapadlisko. Droga do tyłu była zamurowana. Mamy prawo wyobrazić sobie, że walili w drzwi żelazne, modląc się o uwolnienie, przekładając teraz chyba śmierć od krzyżackich mieczów ponad mękę pragnienia i głodu. Może echo ich łomotu przenikało przez kamienny nagrobek Leonarda. Lecz nie miał kto go usłyszeć, nie miał kto odwalić płyty nagrobka. Pod mieczami zmarli obaj klerycy, Krzyżacy zaś – jak wiemy z zeznań Bogusława – tylko bardzo krótko bawili w kolegiacie. Prawdopodobnie zauważywszy tajemnicze zniknięcie reszty swego oddziału uciekli podejrzewając zasadzkę.

Nie tylko pątnik Bogusław nie zaufał tej ucieczce, trzy dni nie złażąc z wieży. Tyleż czasu zapewne nikt z okolicznych mieszkańców nie ośmielił się odwiedzić kolegiaty. A trzy dni dla ludzi pozbawionych wody i żywności – to wystarcza, aby opadli z sił i stracili wszelką nadzieję ratunku. I gdy pątnik Bogusław nareszcie opuścił swą kryjówkę – zastał w kościele głuchą ciszę i martwe ciała kleryków.

A tymczasem o krok dalej, za kamienną płytą ze złośliwie skrzywioną twarzą kanonika Leonarda konało kilku księży.

...Oto już za progiem, jakby całując żelazne drzwi leży szkielet ludzki. Jest on wyciągnięty, jakby czołgał się, jakby jeszcze resztką sił ciągle próbował wyważyć drzwi i wyjść na wolność. Ten człowiek, zanim zdał się na wolę Boga, do ostatka walczył o życie. A może tylko bardziej niż inni kochał życie i w szale rozpaczy tłukł mieczem w żelazo, aż miecz pękł, rozpadł się na dwoje? Obok złamana mizerykordia, którą skrobał w kamiennym progu, łudząc się, że jej ostrzem wydłubie drogę na wolność. Żelazne drzwi noszą rysy i zagłębienia od uderzeń mieczem, w progu kamień wyszczerbiony jest ostrzem mizerykordii...

A inni? Może z początku pomagali w torowaniu drogi wyjścia, lecz szybko w nich zgasła nadzieja i każdy, gdzie mu było najwygodniej, oczekiwał na nieuchronną śmierć. Jedni na schodach jakby bliżej życia i swobody, inni dalej, w samotności, w ciszy i odosobnieniu tocząc rozmowę ze swym sumieniem. Jeden z nich przyległ wargami do świętej relikwii i tak już zmarł z głową na wieczku stauroteki. Położył na niej głowę, objął ją rękami, zanosząc modły o cud, o cudowne uwolnienie. Lecz dla śmierci nie istniały przegrody. Szła do nich powoli, przenikając przez gruz zapadliska, przez kamienną płytę Leonarda, przez drzwi żelazne. A gdy nadeszła, byli już wychudli jak szkielety, bez sił i bez władzy w mięśniach. Położyła na każdym z nich kościstą dłoń...

...Sześćset lat trwali tak, jak ich śmierć zastała. Sześćset lat w mroku i ciszy podziemia.

Sześćset lat złośliwie skrzywiony kanonik Leonard ukrywał starannie tajemnicę ich śmierci i powiadał: *wszystko zostaje złożone pod małym kamieniem...*

Czy wszystko, złośliwy Leonardzie? Tak, wszystko. Lecz póki żywi, bronimy się przed tą prawdą. I tak jest dobrze, i tak być powinno, albowiem wszystko jest w życiu, a tam... nic już nie ma.

Więc niechże oczy nas, żywych, cieszą wspaniałe klejnoty świętej stauroteki. Niech mienią się krwawo rubiny, niech wzrok tonie w zieleni szmaragdów, a perły żyją barwami tęczy. Otarto staurotekę z kurzu i pyłu. W podziemiu czas niewiele szkody uczynił w jej wyglądzie i jest chyba prawie taka, jak kiedy przywieziono ją z dalekiego Konstantynopola.

Aż stamtąd?

Takiego zdania jest Nietajenko. Oczywiście inaczej uważa Narkuski. Obydwaj stoją u wejścia do podziemia i kłócą się, aż echo ich podniesionych głosów dudni w kolegiacie.

Pogłoska, że „szukają czegoś w starym kościele”, sprowadziła ze wsi kilku ciekawskich, a wśród nich Justa i Bachurę. Z szacunkiem przysłuchują się naukowej dyspucie doktorów, z lękiem i nabożnością patrzą na skrzyneczkę relikwiarza.

– To coś dla pana – zwracam się do Bachury, pokazując mu relikwiarz. – Pan przecież handluje dewocjonaliami...

Modlitewnie składa ręce z wielkiego zachwytu.

– Cóż to za wielki skarb! Cały majątek warta ta skrzyneczka. Tyle klejnotów, perły, drogie kamienie. Chyba wiele milionów złotych dostałoby się za nią...

Just jest zgorszony podobnym „materializmem”.

– Krzyż, rozumiesz pan? Kawalek prawdziwego Krzyża świętego jest w niej schowany. To najcenniejsze, bo święte.

– Stauroteka ma przede wszystkim wartość muzealną i jako przedmiot kultu religijnego – zwracam Bachurze uwagę.

– Ale przecież te drogie kamienie można by sprzedać oddzielnie. A do Krzyża świętego i tak się ludzie będą modlić, choćby był i bez klejnotów.

Na zdrowy rozum to może i racja. Ale wzurzam tylko niechętnie ramionami. Jakoś nie przemawia do mnie podobny sposób myślenia. Bachura jednak to fachowiec od dewocjonalistów, wie chyba lepiej ode mnie, co ludziom potrzebne do rozmowy z Bogiem.

A swoją drogą stauroteka wydaje się piękna i bez klejnotów.

Jest to skrzyneczka z cedrowego drewna pokryta srebrnymi blachami ze śladem złocenia w ogniu. Zewnętrzne jej wieczko zdobi scena Ukrzyżowania, a pod nim znajduje się właściwe wieko z wyciętym w nim krzyżem podwójnym, zawierającym relikwie Krzyża świętego.

Boki stauroteki okryte są cienką srebrną blachą, na której widnieje szereg medalionów, mieszczących popiersia świętych z imionami wyrytymi w skrócie greckimi literami dookoła ich głów. Jest więc popiersie św. Heleny, a potem najprawdopodobniej cesarza Konstantyna,

są święci: Piotr, Mateusz, Łukasz, Andrzej, Bartłomiej, Filip, Teodor, Grzegorz, Mikołaj, Bazyl, Jakub, Jerzy, Tomasz, Szymon, Marek, Jan i Paweł.

Na zewnętrznym wieku wspaniale odtworzona postać ukrzyżowanego Chrystusa. Wielki ból maluje się na twarzy stojącej obok Matki Boskiej. Madonna przybrana jest w długą, fałdzistą szatę. Jak prosta płacząca kobieta prawą rękę złożywszy na piersi, lewą podnosi do oczu rąbek swej sukni. Jest w tym geście wyraz prawdziwego, szczerego bólu, bez stylizacji, bez sztuczności. Wierzy się tej boleści, przemawia ona do serca.

Inaczej przedstawia się zewnętrzne wieko relikwiarza. Przez całą jego długość i szerokość wycięto otwór w kształcie karawaki,⁴⁹ gdzie ukryto relikwie. Całą zaś pozostałą przestrzeń podzielono czterema kwadratowymi i dwoma prostokątnymi polami wypełnionymi konstelacjami ze szlachetnych kamieni. U góry wśród dziewięciu klejnotów błyszczy wielki czworokątny szmaragd zielony, w czterech narożnikach umieszczono rubiny, o kształcie łez ludzkich, a przedzielono je czterema okrągłymi perłami. Dwie dolne konstelacje mają aż trzy rzędy drogich kamieni – pereł, szmaragdów i znowu pereł. Przybrano więc relikwie jakby w najdrogocenniejszą szatę, złożono jej tym hołd, najgodniejszy w rozumieniu ówczesnych ludzi.

Czyje ręce tak pięknie wyrzeźbiły ukrzyżowanie Chrystusa? W jakiej krainie powstało to dzieło? Czyim bogactwem przybrano relikwie? Jakimi drogami trafiła aż tutaj, do zagubionej wśród bagien kolegiaty?

Czy podobnie jak ze sławny stauroteką, posiadaną niegdyś przez klasztor w Monte Cassino, związana jest z nią jakaś barwna historia? Tamtą ponoć szlachcic z Amalfi, członek kolonii łańskiejskiej w Konstantynopolu, ukradł z pałacu cesarskiego w czasie jednego z rozruchów, a gdy po upływie kilku lat wypadło mu przywdziać habit zakonny i modlić się u grobu św. Benedykta – złożył ją w darze opactwu na skalistej górze.

Wyrobiano stauroteki przeważnie w dalekim Bizancjum. I stamtąd napływały one do zachodniej Europy najróżniejszymi drogami, najczęściej jako dary dla poszczególnych kościołów lub królów i książąt, ofiarowane przez bizantyjskich imperatorów. Inne przybyły do Europy po sławnym złupieniu Konstantynopola przez krzyżowców w 1204 roku. Może więc i z tego rabunku pochodziła nasza stauroteka?

Nie, chyba nie, skoro Nemsta, Narkuski i Nietajenko określają jej powstanie o wiele lat wcześniej, na pierwszą połowę XII wieku. Lecz przecież mogą się mylić?

– Wykonano ją w Konstantynopolu – twierdzi Nietajenko. – Przyjrzyjcie się dobrze przedstawionej tu scenie ukrzyżowania Chrystusa. Te same proporcje, wyraźnie uwidoczniła muskulatura rąk Chrystusa, jak w relikwiarzu ze skarbcza San Marco w Wenecji. A tamten relikwiarz jest na pewno robotą z XII wieku i z całą pewnością pochodzi z Bizancjum. A jeszcze wyraźniejsze podobieństwo ma nasz relikwiarz do stauroteki z kolekcji paryskiej le Roy, wykonanej w Bizancjum w XI stuleciu. Pokrewną oprawę kamieni posiada chyba stauroteka z Alba Fucense i z Jaucourt. A czy to obramowanie całej skrzynki nie

⁴⁹ Karawaka (z hiszp.) – krzyż o dwóch poprzecznicach używany w XVII w.

przypomina swym rodzajem zabytku z Brescji?... Oczywiście nie jestem historykiem sztuki, braciashkowie – dodaje ze skromną miną.

Narkuski ma poważny argument, na podstawie którego sądzi, że choć oparto się o wzór bizantyjski, wykonano staurotekę jednak nie w Konstantynopolu, lecz w którymś z miast włoskich.

– Spójrzcie na wierzch skrzyneczki. Pod ramionami Drzewa Męki widnieje napis grecki, oddany w skrócie. Jest to cytat: „Oto Syn Twój, oto Matka Twoja”. Lecz, proszę państwa, ja chwala Bogu trochę uczyłem się greki. Napis jest z błędem. Czy przypuszczacie, że gdyby robiono relikwiarz w Bizancjum, popełniono by omyłkę? Staurotekę wykonywał ktoś, kto zupełnie nie znał greckiego i po prostu ściągnął ten cytat z innej, bizantyjskiej stauroteki, jak zresztą prawie cały kształt i ozdoby. Ot co, panowie. Z innych źródeł zresztą wiemy, że produkcja wszelkiego rodzaju relikwiarzy była w Italii bardzo rozpowszechniona. Pielgrzymi powracający z Ziemi Świętej przez Italię nabywali relikwiarze i oni to chyba przywieźli do nas i tę staurotekę.

– Może była własnością księżnej Salomei? – odezwał się Nemsta. – Trzeba pamiętać, że Salomea przybyła do Polski z Niemiec, a Niemcy miały wiele kontaktów z ówczesną Italią. Budując kolegiatę obdarowała ją księżna i cennym relikwiarzem.

– A Henryk Sandomierski? – podpowiadam Nemście.

– I to prawdopodobne – zgadza się Nemsta.

Jak wiem z dokumentów, przy konsekracji kolegiaty obecni byli: syn Salomei Henryk Sandomierski i rycerz Jaksa z Miechowa. Obydwaj wkrótce wzięli udział w wyprawie krzyżowej. Może w trakcie podróży kupili gdzieś staurotekę, może zdobyli ją, zrabowali? A poczuwając się do troski o nowo wzniesioną świątynię, któryś z nich ofiarował relikwiarz w podzięce, że wrócił z wyprawy cały i zdrowy?

Kończymy dysputę, bo głód skręca nam kiszki. Pora obiadu dawno minęła, a i śniadanie jadłem skąpe, podniecony obietnicą wyjęcia ze ściany nagrobka Leonarda.

Wracamy na Uroczysko długim szeregiem, jak karawana kupców, objuczona „wszelkim dobrem”. Czoło pochodu tworzy czterech „smarkaczy”, trzymających staurotekę, pozostali niosą zabrane z podziemia miecze, pancerze, krzyżyki znalezione na szkieletach księży, resztki materii – wszystko, co wydało się Nemście cenne i wartościowe. Tyle tego, że sami nie udźwignęlibyśmy. Dlatego Just i Bachura ofiarowali się z pomocą i oto wędrują razem z nami. Just w podobnym do wiadra hełmie, a Bachura podpierając się krzyżackim mieczem.

W pewnej chwili Dryblas szepnął mi, wskazując oczami na kroczące przed nami Babie Lato i Joasię:

– Wie pan co? Zakochałem się w niej. Pan jak nieprzytomny laził po podziemiu, a ja się z nią całowałem korzystając z ciemności. Hi, hi – zachichotał triumfująco.

Zakochał się w Babim Lecie? To było do przewidzenia. Ale że całował się z nią, to okropne. Targnęła mną zazdrość, gorzka jak piołun.

– Ona jest czarownicą. No, wiedźmą, rozumiesz pan? – syknąłem mu ponuro.
Poufale trącił mnie łokciem.
– Nie bujaj pan! Znamy się na tym, he, he, he...

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

**RABUNEK RELIKWIARZA • ŚLEDZTWO • INTRYGANT • ŚLAD DIABŁA
KUWASY • REFLEKSJE • RÓŻE I POCAŁUNKI • W JASKINIACH •
MORDERSTWO • KUWASA I KUWASIK • KTO PODEJRZANY, A KTO
WINIEN? • ZŁODZIEJE, ZABÓJCA I SZEFEK BANDY • WYJAŚNIENIA**

W nocy śniło mi się, że tropiąc pijanego Kuwasę zabłąkałem się w moczarach. Dookoła nocna pomroka, wszędzie błoto lepkie i gęste. Skaczę z kępy na kępę zsuwając się i grzęznąc w kleistej mazi. Nagle jakimś cudem znalazłem się w podziemnym korytarzu. Znowu mrok, w którym delikatnym blaskiem świecą rozsypane po ziemi klejnoty stauroteki. Widzę nieruchome szkielety pod ścianami i pusty kokon porzuconego pancerza. Strach ściska mnie za gardło. Zamurowano mnie tu?!!! Żywcem pogrzebano?!... Biegnę do żelaznych drzwi, potykam się na schodach, padam, podnoszę się, a nogi ciągle więzną mi jakby w błocie moczarów. Znużony dopadam drzwi i na oślep walę w nie pięścią. Łomocę w nie, biję, dudnię. Obok mnie ktoś strasznie jęczy...

I ten jęk budzi mnie ze snu. Ale gardło wciąż jeszcze ściśnięte mam skurczem przeżytego we śnie strachu. Jeszcze nie wiem na pewno, gdzie granica snu, a gdzie rzeczywistość i skąd nadbiega ów głuchy jęk ludzki.

W ciemnym pokoju błyska zapalona zapałka. Nemsta podkręca knot lampy. W otwartych drzwiach naszego pokoju jak straszny upiór klęczy Dryblas. Twarz ma we krwi, krwią zlepione włosy na głowie. Próbuje podnieść się, wstać, ale bezsilnie znowu przysiadła na czworakach. To on tak jęczy z bólu...

Po chwili w baraku poczynają trzaskać otwierane i zamykane drzwi, mieszają się ze sobą ostre, podniesione głosy. Ktoś woła o wodę, ktoś o bandaż, ktoś kogoś każe szukać, biec gdzieś, gonić. Błyski elektrycznych latarek tną ciemność na Uroczysku. Jest druga w nocy...

Przed kilkunastu minutami zrabowano nam drogocenną staurotekę. Na noc pozostawiono relikwiarz na stole w jadalni, drzwi z dworu zamknięto na kłódkę, a drugie drzwi prowadzące do sypialni „smarkaczy” i Dryblasa jak zwykle pozostawiono otworem. Kilkanaście minut

przed drugą tajemniczy rabuś wyjął szybę z okna jadalni, wsunął do środka rękę, odemknął haczyki i uchyliwszy całe okno, bez trudu wszedł do wnętrza.

Śpiącego w sąsiednim pokoju Dryblasa od razu obudził skrzyp podłogi. Zauważył też w szparze drzwi do jadalni smugę palącego się światła. Daleki był jednak od tego, aby spodziewać się rabusiów. Po prostu myślał, że w jadalni nad zebranymi z podziemia przedmiotami ślęczy do tej pory Nemsta albo któryś z doktorów. Chciał poprosić o papierosa. Odemknął cicho drzwi. Oślepiło go światło latarki, nic prócz tego światła nie widział. Potem uderzono go w głowę czymś ciężkim, i to tak silnie, że natychmiast upadł zemdłony. Jak przypuszcza, ocknął się po kilku minutach, i zebrał tyle siły, żeby na czworakach przepelznąć do naszego pokoju.

W jadalni stał pusty stół, na którym wieczorem pozostawiono relikwiarz. Otwarte okno wskazywało drogę, którą go wyniesiono. Nie wiedzieliśmy, czy rabuś był jeden, czy też kilku.

Uszedł z bezcennym relikwiarzem i szukaj go teraz w otaczającej Uroczysko ciemnej, bezksiężycowej nocy. Pozostawił po sobie tylko jeden wyraźny ślad. Długą, ciętą ranę na głowie Dryblasa.

O świcie przyjechało z miasta pogotowie zaalarmowane z posterunku milicji, gdzie jeszcze w nocy daliśmy znak o rabunku. Nadszedł też „Willisem” śledczy z Powiatowej Komendy MO. Usłyszał o klejnotach w relikwiarzu i aż ręce zatarł.

– No, dawno nie miałem takiej gratki. I ukradli, zrabowali? – pytał prawie radośnie. – U nas spokojna okolica. Jedyny jej mankament to ludzie, którzy pędzą samogon.

Kiedy Dryblas wsiadł do karetki pogotowia, a lekarz zapewnił nas, że w gruncie rzeczy rana nie jest groźna, wydało mi się, że śledczy się zmartwił. Rzekł do mnie z pretensją:

– Zawiadomiliście nas przez telefon, że o mało nie dokonano zabójstwa...

– Przecież mogli go zabić.

– Eeee, panie. W każdy poniedziałek, po zabawach we wsiach, gorzej mają łąby rozharatane.

Rozpytał nas szczegółowo o okoliczności poprzedzające rabunek. Zrobił mnóstwo notatek w brulionie, przesłuchał Jędrka i Wojtka, bo o ich poprzedniej „działalności” musieliśmy opowiedzieć.

Z początku uczynił na mnie raczej ujemne wrażenie. Mały, drobny, młodziutki jak „smarkacze” i mimo swego milicyjnego munduru z gwiazdką chorążego, taki jakiś bardzo niepoważny, rzekłbym nawet, naiwny. Ciągle czemuś się dziwił, dziwił się każdej odpowiedzi na swe pytania, po kilka razy trzeba mu było na nie odpowiadać, zanim dochodził do przekonania, że już rozumie, co mu się mówiło.

Pytał mnie:

– Kto oprócz panów z ekipy wiedział o odnalezieniu relikwiarza?

– Kto? Cała wieś Oporna wiedziała.

Zdziwił się:

– Cała?

– No tak. Jak nieśliśmy relikwiarz na Uroczysko, zebrało się pełno bab i chłopów. Tłumaczyliśmy im, co to jest ta stauroteka...

– Mówiliście ludziom o klejnotach?

– Tak. Pokazywaliśmy je po kilka razy.

– Komu?

– Wszystkim.

Znowu się zdziwił:

– Co to znaczy: wszystkim?

– No, kto tylko pytał nas o to.

– A kto pytał?

– Cała wieś.

Dziwił się:

– Cała? Co to znaczy: cała wieś?

Wzruszyłem ramionami.

– Pytał mnie kościelny Just, pytał handlarz Bachura, wielu ludzi pytało. Nie znam nazwisk tych ludzi.

Westchnął ciężko.

– Trzeba było tak od razu mi powiedzieć: „Pytał mnie Just, Bachura, wielu ludzi pytało, nie znam ich nazwisk”.

Zapisał w brulionie moją odpowiedź i pozostawił mnie w spokoju. Nabrałem do niego trochę szacunku, gdy mimo pewnych sugestii podsuniętych przez Narkuskiego, że może jednak Jędrzek i Wojtek zamieszani są w sprawę rabunku, bo tak bardzo chcieli zemknąć z domu – przesłuchał ich i machnął ręką.

– Skarby to oni chcieliby odnaleźć, uciec z domu także, ale do rabunku nie są zdolni. Zresztą mają alibi: każdy z nich spędził noc w domu. Są na to świadkowie.

Siadł do „Willisa”, zawarczał zapuszczony motor. I wtedy przywołał mnie do siebie.

– Jak panu nie wstyd? Przecież pan domyśla się, kto ukraść relikwiarz.

Tym razem ja zrobiłem zdziwioną minę.

– No tak rzekł z humorem – jest pan dziennikarzem, inteligentnym człowiekiem. A na moje proste pytania odpowiadał pan jak matolek. Ot, i dlatego wiem, że pan domyśla się osoby rabusia. Chce pan go odnaleźć na własną rękę? No cóż, życzę powodzenia...

Odjechał, życzliwie kiwnąwszy mi ręką. Widziałem, jak „Willis” podskakiwał na dróżce z Uroczyska i wspiąwszy się na wzgórze z kolegiatą, skręcił do Opornej. Potem powracająca ze wsi Joasia powiedziała mi, że zobaczyła „Willisa” przed domem Justa.

„Eee, bratku. Nie tędy droga. Wszedłeś w ślepy zaułek” – pomyślałem o nim.

Zauważyłem u Joasi zapuchnięte, zapłakane oczy.

– Cóż to? Kto panią skrzywdził?

Rozbeczała się.

– Byłam na posterunku MO. Dzwoniłam do szpitala, czy mu lepiej... Mój Boże, taką krzywdę mu zrobili. I to zaraz następnego dnia, gdy mu powiedziałam, że go Kocham.

– Kogo?

– Jego, Heńka.

– Dryblasą?

– Nie Dryblasą, tylko Heńka.

– Heniek jest Dryblasem – powiedziałem.

– A pan jest... jest Kuwasą – oburzyła się, obdarzając mnie w jej mniemaniu najgorszym epitetem.

Smutnie pokiwałem głową.

– I pani też go kocha?

– Dlaczego: ja też? – spojrzała na mnie z niepokojem.

– No, bo mówił mi, że kocha go Babie Lato.

– Jakie babie lato? Co pan wygaduje?

– Babie Lato to Irena. Mówił mi, że on też ją kocha.

– Ją? – pisnęła. – A ze mną się wczoraj całował?

– Ooo! – wrzasnąłem. – Przepraszam za omyłkę. Fredrowska intryga. On mówi mi, że ją kocha, a ja myślę, że kocha tę, którą ja Kocham, i jestem zazdrosny. Potem omyłka wyjaśnia się, bo on kocha inną, którą i jego kocha, ale to nie jest ta, którą ja Kocham. Komedia, Fredrowska intryga.

– Komedia? Pan jesteś największy intrygant – tupnęła nogą.

Uciekłem przed jej rozgniewanych, szmaragdowych oczu. W gniewie mogłaby chyba udrapać.

W baraku odnalazłem Babie Lato Siedziała w naszym pokoju naprzeciw Nemsty i próbowała go pocieszać. Nemsta był zgnębiony, co chwila wzruszał ramionami, jakby sprawę odnalezienia stauroteki uważał za beznadziejną.

– Od rana nic pan profesor nie przełknął – kłopotowała się. – No, niechże pan spróbuje...

I przysuwała na stole talerz ze świeżo nakrajanym chlebem i kubek mleka.

– Jednego nie mogę przeboleć. Lękam się, że ten ciemny typ, co nam zrabował relikwiarz, zupełnie go nie uszanuje. Wyrwie klejnoty, a całą piękną skrzyneczkę z cedru wrzuci gdzieś do rowu.

Na tę, myśl poczynął szarpać palcami włosy w brodzie i krzywił się boleśnie

– Można?... – zagadnąłem ich, wskazując chleb na talerzyku. Ja też od rana nic w gębie nie miałem... – usprawiedliwiałem się.

Nieprawda. Jadłem. Ale gdy pomyślałem sobie, że gdybym akurat nie jadł, nawet pies z kulawą nogą nie zatroszczyłby się o mnie, zachciało mi się dokuczyć dziewczynie, zjeść ten chleb, który przygotowała dla Nemsty. No, oczywiście, ja jestem tylko jakimś tam

dziennikarzem, a Nemsta profesorem. Chciała swą troską wkraść się w jego łaski. Lecz mimo wszystko było mi przykro z tego powodu.

– Pan też nic nie jadł? – szczerze zmartwiła się Babie Lato.

– Yhm – mruknąłem z pełnymi ustami. – Tylko że o mnie nikogo głowa nie boli. No cóż, nie jestem profesorem.

Nemsta zarumienił się.

– No, wiesz! – powiedział. – W takiej sytuacji akurat na podobne drobiazgi zwracasz uwagę...

– W jakiej sytuacji? Nie bój się, odnajdę staurotekę.

Nic nie odrzekł, włożył płaszcz i wyszedł z pokoju. Dopiero teraz dziewczyna dała folgę swemu oburzeniu.

– Jak pan mógł coś podobnego? Czy naprawdę dostrzegł pan w mojej troskliwości o profesora coś zdroźnego? Proszę się wytłumaczyć...

– Jestem zazdrosny o panią – stwierdziłem ze spokojem, kończąc drugą kromkę.

– Jak zwykle operuje pan „nieodpartymi” argumentami – westchnęła cicho, z rezygnacją.

– Tak pani przykro, że to ja zjadam posmarowany przez panią chleb? – zapytałem.

– Nie. Ale...

– Więc czemu się pani oburza?

Wypiłem mleko, otarłem usta, zapaliłem papierosa.

– A teraz niech się pani ubierze. Znosi się na deszcz, a my długo będziemy wędrować.

Nawet nie zapytała, dokąd ją zamierzam zaprowadzić. Wyszła z pokoju, a po kilku minutach wróciła w płaszczu. Nasunąłem na czoło kapelusz.

Zastrzegłem się:

– Proszę nie myśleć, iż zabieram panią dlatego, że nie chcę pozostawić tu pani profesorowi Nemście. Nie przez zazdrość to robię. Jestem trochę krótkowidzem, a pani ma doskonały wzrok. Oczy pani są mi potrzebne.

– W takim razie nie idę z panem – nadąsała się. – Niech pan sobie weźmie kogo innego.

Prosiłem, błagałem, nic nie pomogło. Zdecydowała się pozostać.

– Ależ na Boga, chodzi mi o odnalezienie relikwiarza – tłumaczyłem.

I ten argument nie przemówił do niej. Usiadła na brzeжку skrzynki i z uporem mówiła: „nie” i „nie”. Miała zimne oczy i zacięte usta. Ale w pewnej chwili oczy jej jakby zamglily się, a usta poczęły drżeć.

– Pan... ciągle i ciągle kpi, drwi sobie ze mnie. Bawi się pan mną jak kot myszą.

Zasłoniła twarz gestem Madonny z relikwiarza. Rzuciłem się ustami do jej rąk.

– Nie... nie – broniła się bez przekonania.

Za ścianą zatupotały czyjeś kroki.

– Chodźmy – szepnęła.

I odtąd była grzeczna, potulna, potakiwała każdemu memu słowu, jakby chcąc mi obecną dobrocią wynagrodzić dawną dokuczliwość.

Pokazałem dziewczynie kreci kopczyk o kilka kroków od naszego baraku.

– Niech go pani dokładnie obejrzy. Kret, który tu grzebał, nie domyśla się, jaką wyświadczył przysługę. Na szczęście nikt jeszcze do tej pory nie rozdeptał kretowiska.

– A to? Przecież jest rozdeptany?

– A właśnie. Wdepnął w nie noga rabuś stauroteki.

– Po czym pan poznał?

– But podkuty gwoździami. My chodzimy w gumowych pepegach. Poza tym cztery gwoździe odbijają się w kształcie małego kwadracika. Ten sam ślad znalazłem na Czartorii obok rozbitej kłódki w grobowcu Regierungsrahta. Ślad jest niedawny. Wczoraj wieczorem nie było tu tego kopczyka. Wygrzebał go kret tej nocy i natychmiast wdepnął w niego uchodząc z relikwiarzem rabuś.

Zaśmiałem się do siebie

– Oficer śledczy przypuszczał, że domyślam się, kto ukradł staurotekę. Z początku, to znaczy zaraz po rabunku, rzeczywiście miałem nawet pewne podejrzenia. Myślałem o Bachurze, no, wie pani, o tym handlarzu dewocjonaliami. Wczoraj na widok klejnotów taką u niego dostrzegłem chciwość i zachłanność, że aż to zwróciło moją i Justa uwagę. Lecz potem przypomniawszy sobie liczne kryminalne powieści, doszedłem do wniosku, że ten, który najbardziej jest podejrzany, zazwyczaj okazuje się niewinnym. A więc nie w osobie Bachury trzeba szukać nocnego rabusia. A jeśli tak, to po co mącić w głowie śledczemu opowiadaniem o chciwości Bachury i kierować go na fałszywy trop? Nic mu więc o tym nie rzekłem. Ale i tak dowie się o Bachurze. Nie ode mnie, to od Justa. Nawet pojechał do Opornej. A już ten nie omieszka mu się zwierzyć, jak go to wczoraj oburzył „materialistyczny” stosunek Bachury do świętej stauroteki. I biedny oficer będzie szukał po fałszywym śladzie. Gdy tymczasem my – mamy oto ślad zupełnie inny...

– Ślad jest, to prawda. Lecz czy odnajdziemy go gdzieś dalej, na drodze?

– Otóż to. Do tego celu potrzebne mi są pani doskonałe oczy.

Rozpoczynając poszukiwanie ani przez sekundę nie przypuszczałem, aby doprowadziło mnie do odnalezienia stauroteki. Już w dzieciństwie wielokrotnie przekonałem się, że lektura Coopera nie wzbogaciła mych talentów, że łatwiej jest odnajdować ślady na kartkach „Tropiciela śladów” niż w polskim lesie, na leśnych ścieżkach i drożynach, ba, na zwykłej polskiej drodze.

Ale po stokroć wolałem bezskutecznie szukać po okolicznych drogach odbitego na ziemi kwadracika niż beczynnienie siedzieć na Uroczysku, patrząc w zmartwioną twarz Nemsty.

Ścieżka do kolegiaty jest zarosła trawa, gdzieniegdzie tylko przeredzona łysinami wydeptanymi przez nasze nogi. Nawet nie schylałem się, aby wyszukać wśród traw

wygnieciony na ziemi kwadracik. Jeśli był, to zatarła go nasza poranna bieżanina do wioski i posterunku milicji, a potem czterokrotnie przejechały tędy auta – pogotowia i milicji.

Nie mogłem się opanować, aby nie zatriumfować:

– A jednak ja miałem rację. Diabeł Kuwasa zaśmiał się, ale ostatni. I najlepiej. My wydobyliśmy relikwiarz, a on o wiele mniejszym nakładem wysiłku sprzątnął nam go sprzed nosa.

– Pan znowu swoje o Kuwasie. A może to nie on zrabował staurotekę?

– Nie on? – zaśmiałem się gorzko. – A do kogóż, sądzi pani, należą te podkute buty? Spotkałem się już z nimi przed grobowcem z rozbita kłódką. Daję głowę, że zrobił to Kuwasa. Rabuś był doskonale poinformowany o wszystkich naszych poczynaniach. Nie napadł na nas w chwili rozkopywania kurhanu, bo zapewne osądził, że to mu się nie opłaca. Czekał na lepszą sposobność. I trzeba przyznać, że dobrze utrafił.

– Tak bardzo pan wierzy w istnienie tego diabła?

Zastanowiłem się.

– Nie, proszę pani. Ale tu nie o to chodzi. Ponieważ chcę wierzyć, że istnieje diabeł Kuwasa, bo to czyni życie tajemniczym, groźnym, niesamowitym, więc go sobie tworzę, co nie przeszkadza, że w pewnej chwili mogę mu dmuchnąć w nos i rzec: dość tej przyjemnej zabawy, ty przecież jesteś tworem mej wyobraźni.

– No, to niech mu pan teraz dmuchnie w nos i niech nam odda staurotekę, bo chciałabym już wrócić do miasta, do domu. Dosyć tej zabawy – powiedziała.

– I nie żal pani opuszczać Uroczyska?

– Żal. Lecz w sierpniu mam jechać nad morze...

– Ooo! Z kim?

– Z matką.

Odetchnąłem z ulgą.

– Niech mi pani opowie coś o sobie – poprosiłem.

– A dmuchnie pan w nos Kuwasie?

– Nie. Jeszcze nie teraz...

– Wykręca się pan.

– Może. Jeszcze mi się podoba ta zabawa. I pobyt tutaj, i Uroczysko, i kolegiata, i pani. Naprawdę nie chciałbym stąd odjeżdżać. Aż strach mnie oblatuje, strach większy niż przed Kuwasą, gdy pomyślę, że będę musiał powrócić do swego redakcyjnego biurka, do nieustannych pogoni za materiałem. Dopiero gdy ukończę historię sztuki, może życie moje stanie się ciekawsze, bo zacznę pracę w jakimś muzeum.

Szliśmy przytuleni do siebie. Wiatr targał mi połę płaszcza i zabawiał się wyściubionym spod chustki kosmykiem włosów dziewczyny.

– Miała mi pani coś powiedzieć o sobie... – rzekłem z wyrzutem.

– Nie będzie to nic ciekawego Nauka i nauka, a teraz praca. Muzeum archeologiczne, oszklone szafki i eksponaty stare jak świat.

– Ależ nie wyobrażam sobie nic wspanialszego!

– Tak? Taki jest pański ideał? No to niech mi pan powie, jaki jest jego ulubiony pisarz i ulubiony bohater?

Opowiedziałem bez namysłu:

– Anatol France.⁵⁰ A bohater: Sylwester Bonnard.

– Ten od zbrodni?

– I ja jestem zdolny do podobnej zbrodni. Wzruszam się, gdy czytam o tym, jak przy naprawianiu posadzki w kaplicy Najświętszej Panny w Saint-Germain-des-Pres ostrożnie ocierał chustką pył pokrywający płytę nagrobną mnicha, Johanna Toutmouille, tłumacza *Złotej Legendy*. Albo jak podczas podróży po Italii odkrył przed gospodą radę Horacjańską: *Kto wie, czy na tamtym świecie szynkownię znajdziemy?* Jest w tym coś ze wspaniałej mądrości Colasa Breugnona, który nakazywał się radować teraźniejszą chwilą, bo *kto wie, czy za 400 lat wino będzie jeszcze tak dobre jak dzisiaj?* Trzeba tak jak on umieć cieszyć się i smuć. Cieszyć z odrobiną rzewnego smutku i smuć z uśmiechem. Nigdy nie jest nam tak dobrze, aby nie mogło być lepiej. Należy mieć w życiu więcej wyobraźni...

Urwałem. Na rozstaju dróg przy kolegiacie, na wilgotnej, nasiąkłej wodą z pobliskich bagien dróżce do Czartorii – widniał wyraźnie wyżłobiony w ziemi kwadracik. Jeden, potem drugi, trzeci, dziesiąty. Ślad był wyraźny, łatwo uchwytany wzrokiem. Niekiedy urywał się, nikał, a to wówczas, gdy Kuwasa uchodzący ze stauroteką wstępował na trawę zarastającą brzeg dróżki. Ale zaraz, o kilkanaście metrów dalej, znowu widać go było doskonale.

– Do dzieła! – powiedziałem dziewczynie.

Trop, widoczny jak na dłoni, biegł po dróżce nad bagnami, giął się na wszystkich jej łagodnych skrętach, wymijał kikut wierzby i rączo mknął w stronę Czartorii.

Przyspieszyłem kroku. Lecz oto ślad zginął mi z oczu. Zniknął, jakby diabeł Kuwasa skorzystał ze swych przywilejów i uleciał w powietrze na skrzydle wiatru.

Przykłąknęliśmy na ziemi, cał po calu uważnie przeglądając drogę. Oto krowia racica odznaczyła dołek w glinie, oto miejsce wyjeżdżone kołami wozu, poryte kopytami koni. Tu ślad po oponie rowerowej, tam odbicie czyjejs stopy z grubymi paluchami. Gdyby stapał tędy Kuwasa, z pewnością mielibyśmy tego widomy znak. A więc?...

Rozejrzałem się po okolicy.

W tym miejscu droga czyniła jakby wielkie półkole okrążając łąkę i zbliżając się do podnóża Czartorii. Kuwasa poszedł chyba po cięciwie tego łuku, spieszył się, chciał skrócić sobie drogę ucieczki. Powędrował łąką, a tu ślad utonął w trawach, w kwiatach.

– Koniec? Koniec naszych poszukiwań... – westchnęła Babie Lato.

⁵⁰ Anatol France (1844-1924) – wybitny pisarz francuski. Jego książka pt. „Zbrodnia Sylwestra Bonnard” przedstawia starego filologa, który mimo iż zagrzebał się wśród książek, nie utracił zdolności kochania ludzi i odczuwania cudzych cierpień.

– Koniec? Być może. Wpierw jednak muszę przekonać się, czy nie ukrywa czegoś grobowiec na Czartorii.

Rozczarowanie przyjąłem łagodnie, jak przystało na człowieka, który przyozdabia sobie życie odrobiną wyobraźni. No cóż, jeśli nie ja odnajdę rabusia, zrobi to ów oficer milicji. Opowie mi, jak tego dokonał, a ja potrafię sobie to wyobrazić.

Na skoblu grobowca wisiała rozłupana kłódka, wewnątrz poniewierała się stara gazeta.

Z wysokości tarasu widziałem drogę, którą tu przyszlismy, widziałem łuk, który czyniła, zanim dobiegła do podnóża góry. To na początku tego łuku Kuwasa zeszedł z drogi i pomknął przez łąki.

O, tędy chyba biegł ze stauroteką – na zielonym płachetku łąki jak na mapie wykreślałem sobie w myślach trop jego przypuszczalnej ucieczki.

Jeśli pobiegł, o tędy – rozważałem – dobrnął do obrastających Czartorię świerków i w ich poszyciu znowu nam zniknął. A jeśli tamtędy, to może trafił na ścieżynkę wijącą się u podnóża góry?

Zeszliśmy w dół po stromym stoku góry. Rosły tu kępki młodych świerków kurczowo przyczepionych do niewielkiej warstewki ziemi pokrywającej lity wapień. O krok dalej widniała naga skała wapienna, poryta przez erozję⁵¹. Był to brzydki widok jakby kości wyłuskanych ze skóry, obnażonych z mięsa, ostrych i żółtawobiałych. Szliśmy ostrożnie, trzymając się za ręce, spod nóg urywały się nam drobniejsze kamyki i z szelestem zlatywały na dół, odbijając się od głazów, na krótkie sekundy osiadając na wyżłobionych dołach i wypryskując z nich, jakby odrzucone czyjąś dłonią.

Na samym dole, jak żywopłot, ogradzały górę krzaki dzikiej róży, obsypane drobnymi, mocno pachnącymi kwiatami. Czerwone i blad różowe, drobne i nieśmiałe jak ubogie panny w porównaniu do posażnych ich ogrodowych sióstr. Ale nie mniej kolczaste, o, nie mniej. Babie Lato zerwała taki kwiatek, aby wpiąć go sobie we włosy, i palce pokłula. Nieładnie jej włosom z czerwonym kwiatem. Odrzuciła go zaraz.

– Czy pani wie, że Joasia zakochała się w Dryblasie? Wczoraj całowali się w podziemiu kolegiaty – powiedziałem.

– A pan musiał się obejść smakiem.

– Trudno. Kobiety są jak zielone ogórki. Okazują się gorzkie, jeśli nadgryźć je z niewłaściwej strony – stwierdziłem filozoficznie.

Nagle zbliżyła się do mnie z przymkniętymi oczami, usta miała rozchylone, pełne oczekiwania.

– No... niech mnie pan pocałuje – usłyszałem.

– Pocałunek to jedna z tych spraw, których nie warto przeżywać w wyobraźni – rzekłem po dłuższej chwili.

– O tak...

I zarumieniła się, jakby dopiero teraz zawstydzona tym, co zrobiliśmy.

⁵¹ Erozja (z łac.) – działalność złożenia powierzchni ziemi przez wodę i powietrze.

Pożałowałem gadulstwa. Jest w takich chwilach najcięższą zbrodnią.

Za to Kuwasa znalazł we mnie godnego tropiciela. Przebiegłem stok wzgórza, przemaszerowałem po dróżce. Twarda była, na skalistym podłożu, żaden ślad nie odbijał się na jej powierzchni. Zrezygnowany miałem już wspiąć się na stok i przysiąc obok Babiego Lata na białym wapieniu, lecz, dojrzałem w dróżce piaszczyste zagłębienie. Jeśli przechodził wtedy Kuwasa – jedynie tu mógł pozostawić swój ślad.

– Jest! Jest! – zakrzyknąłem. Znalazłem kwadracik.

A więc z całą pewnością szedł tędy. Dokąd?

Oczywiście tam, gdzie prowadziła ta ścieżka. Na górę Czartorię, do starych kopalni wapienia.

Wziąłem dziewczynę za rękę. Żał mi było, że muszę ją ciągnąć ze sobą, bo w ruchach dziewczyny dostrzegłem zmęczenie wywołane pocałunkami, a w przymrużonych oczach była jakby lekka senność. Nie byłem jednak pewien, czy miłość jest tą najwłaściwszą ceną, którą mógłbym zapłacić za zaprzepaszczenie sprawy drogocennej stauroteki. Nie o mnie zresztą chodziło. Relikwiarz należał do Nemsty.

– A więc prędzej, prędzej – poganiałem siebie i Babie Lato.

Dróżka kończyła się na krawędzi rozległego wądołu. Obrastało go kilka samotnych modrzewi z korzeniami jak wielkie pająki. W białym gruzie skał skąpo zieleniły się kępki traw i żółciły spopieliałe połacie „rozchodnika”. Dziko tu było i pusto. Wiatr tylko szemrał w wysokich konarach modrzewi, a poza tym cisza, martwota białych głazów, spiętrzonych na sobie jak porujnowane budowle.

Ani diabła, ani człowieka.

Obeszliśmy wądół po jego krawędzi i po kilkunastu krokach otworzył się przed nami jeszcze jeden, mniejszy. A dalej widziało się kilka głęboki dziur, jakby jaskiń prehistorycznych o okopconych otworach. Były to stare piece do wypalania wapna.

Z początku jedyną żywą istotą na tym pustkowiu okazał się mały ptaszek, wścibska pliszka. Skakała z głazu na głaz, kręciła główką i wreszcie odleciała, przestraszona kamieniem, który urwał mi się spod nóg i z hukiem zwałił się w dół. Potem dojrzałem dużego zaskrońca, jak pośpiesznie pełził pośród kamieni i zniknął w szczelinie. W dziurach nad otworami jaskiń mieszkało również kilka jaskółek.

Usiedliśmy na brzegu wądołu, spuszczać w dół nogi. Rozkoszowałem się ciszą i spokojem, choć cisza ta najgłośniej mówiła o mej klęsce. Bo jeśli nawet przyszedł tu Kuwasa, to teraz już go nie było. Zbyt wiele ciszy otaczało nas dookoła, zbyt spokojnie toczyły swój lot skrzydlate jaskółki.

– A może był tu tylko po to, aby ukryć staurotekę?...

Bzykają muchy, wzrok męczy biel kamieni, przedziwne kształty ruin skalnych powoli stają się monotonne, jak ciągle powtarzany jednakowy widok.

– Jeszcze tylko zajrzę do jaskiń i polem... wracamy – przyznałem się do porażki.

Ostrożnie zeszedliśmy na dno wądołu po kruchym, grubym żwirze wapiennym.

– O, jest i dojazd. Widzi pani? Ktoś nawet był tu wozem. I to niedawno. Może wczoraj albo jeszcze d. i. u no?

Po lewej stronie wądołu widniała wyrwa. Tędy dojeżdżano wozami po resztki skał, których ludność okoliczna używała do budowy ścian w oborach i domach. W wyrwie pełno śladów kół, a przed jedną z jaskiń kupka świeżego końskiego nawozu.

W pierwszej z brzegu jaskini okopcony duży piec, a raczej jego zniszczona resztką. A nad piecem duży otwór, zapewne wylot komina.

Podobnie w drugiej i trzeciej jaskini.

Na przekór sobie – wlałem i do ostatniej pieczary. Głębsza i większa była od innych. Zanim oczy przywykły do panującego w niej mroku, potknąłem się leżące u wejścia naręcze chrustu. Prawa ściana prawie całkiem poczerniała od licznych rozpalonych pod nią ognisk. Pod lewą ścianą rozbity piec i na głazach kupka starych szmat. Z kąta pieczary doleciał mnie ostry zapach alkoholu. „Kie lichó?” – pomyślałem i zaciekawiony podszedłem bliżej. Zobaczyłem tam kilka dużych beczek i kompletny duży aparat do wyrobu samogonu zwanego „bimbrem”. W beczkach odkryłem fermentujący zacier potrzebny do produkcji wódki. A więc trzecia pieczara kryła bimbrownie. Wódka w państwowych sklepach była bardzo droga, produkcja samogonu mogła przynieść wielkie zyski. Tylko że było to traktowane jako przestępstwo i karalne.

– Dostyc już tego... – rozgniewała się Babie Lato zajrzawszy za mną do jaskini. Śmiesznie wyglądała z dłonią przyłożoną do nosa.

Nagle oczy jej rozszerzyły się strachem.

– Tam... O tam!... Pod ścianą! – zakrzuszyła się lękiem.

Pobiegłem za jej wzrokiem i cofnąłem się przerażony.

To nie kupka szmat. To człowiek! Leżący na ziemi człowiek ubrany w szmaty. Nieruchomy!

Twarzy nie widać, bo leży na piersiach, z głową wtuloną w gruz na podłodze. Lewą rękę ma odrzuconą w bok bezwładnie i bez życia. Rozrzucone nogi. Podeszwy butów połyskują gwoździami.

– Kuwasa?... – szepnąłem zobaczywszy mały kwadracik.

– Trup???

Tak, był to chyba trup. W martwocie leżącego ciała było coś groźnego, nienaturalnie nieruchomego. Wiało od tego przerażeniem.

Odważyłem się postąpić dwa kroki naprzód. Trup miał rozerwaną kapotę, przez dziury w niej przeglądała brudna biel koszuli. Lecz, gdy zbliżyłem się jeszcze trochę, zauważyłem, że na lewym boku rozlała mu się czarna plama.

Krew! Rana była pod lewą łopatką. Ktoś (kto???) zadał mu w plecy śmiertelny cios nożem. Pod lewą łopatkę – więc prosto w serce. Nóż leżał zresztą tuż obok, pomiędzy rozrzuconymi nogami

Długi rzeźnicki nóż.

– Kuwasa??? – zadałem sobie to pytanie.

Teraz jednak miałem do czynienia z czymś przerażającym, z czymś tak realnym jak śmierć. Trzeba było odrzucić precz wszystkie fantastyczne dekoracje, którymi urozmaicałem sobie życie.

To nie Kuwasa spoczywał martwy w wapiennym gruzie jaskini, lecz jakiś człowiek. Człowiek ten był w nocy w Uroczysku i zrabował nam relikwiarz. Zawędrował potem na Czartorię, wszedł do jaskini i tu otrzymał uderzenie nożem.

Zabójca porzucił nóż u zwłok zamordowanego i...

Przebiegłem oczami mroczną jaskinię. Nie, z całą pewnością nie było w niej relikwiarza. Morderca zabrał ze sobą odebrany zabitemu łup.

Kim był zamordowany? Kto jest mordercą?

Kuwasa???

Wzruszyłem ramionami.

Przełamawszy w sobie wstręt, pochyliłem się nad zabitym. Ależ tak! Tak! Pod prawym ramieniem tkwiła parciana torba. Nosił ją przerzuconą na pasku przez ramię.

Znałem tę torbę! W oka mgnieniu zobaczyłem pogrążony w nocy szałas na podmokłych łąkach, blask ognia w szałasie, a przy ognisku dziad-zielarz z parcianą torbą, pełną suszonych roślin. Niechlujny zarost na brudnej twarzy, szopa zmierzwionych włosów.

Dziad-zielarz Znachor! To on martwy spoczywał u mych stóp. To on zrabował staurotekę, uciekł z nią na Czartorię, żeby zginąć – być może z rąk swego współnika.

„Bachura, to ty?” – brzęczał mi w pamięci głos znachora.

– Boję się! Boję się – powtarzała mi nad uchem Babie Lato.

Jeszcze raz obrzuciłem wzrokiem martwe ciało znachora, obiegłem oczami mroczną jaskinię, utrwalając w pamięci każdy głaz, każdy zakątek.

Światło pochmurnego dnia, widok żyjącego świata, spokój latających jaskółek – odcinały trochę grozę, która uczepliła się mnie w jaskini. Lecz świadomość, że tuż obok, w mrocznym wnętrzu leży martwe ciało zamordowanego człowieka, uczyniła skalną pustkę Czartorii jeszcze bardziej ponurą.

Odejść stąd. Odejść czym prędzej. Uciec stąd, zanim z okopconych jaskiń wypełzną jakieś niesamowite siły.

Zawiał wiatr. Skrzypnęły samotne modrzewie. Kłęb wiatru zwałił się w głęboki wądół, wzbil w górę biały pył wapienny, zakołował wirem, obrzucił nas piaskiem i rozbił się o skalną ścianę.

Dziewczyna kurczowo ścisnęła mi ramię.

– Chodźmy stąd. Jak tu strasznie...

Rozumiałem ją. I ja również czułem się nieswojo. Zdawało mi się, że ze wszystkich stron obserwują mnie czyjeś oczy, zacząjony gdzieś zbrodniarz śledzi bacznie każdy ruch.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła trzecia po południu.

Co począć? Czy wracać na Uroczysko, a stamtąd na odległy o kilka kilometrów posterunek milicji? Czy też szybko dać znać od razu do Komendy Powiatowej? Mówiono mi, że lasami do Poświerka jest do miasta zaledwie siedem kilometrów. Stąd będzie zaś już niecałe pięć. Tyleż i do posterunku. Więc może lepiej spróbować lasami dostać się do miasta?

Tak też zdecydowałem.

– Pani niech wraca do baraku – powiedziałem dziewczynie.

– A pan?

– Ja do miasta. Na milicję.

Bez słowa wzięła mnie pod rękę. Zrozumiałem, że pragnie iść ze mną.

W Powiatowej Komendzie, gdzie dobrnęliśmy wieczorem, obyło się bez przepustek i skomplikowanych wyjaśnień. W poczekalni przegrodzonej drewnianym płotkiem napotkał nas znajomy z Uroczyska chorąży i natychmiast zaprowadził do komendanta.

– Bardzo dobrze że państwo przyjechali. Bardzo dobrze – cieszył się i aż ręce zatarł.

W gabinecie komendanta na jego biurku stała nasza stauroteka.

– Hi, hi, hi – cichutko zaśmiał się obfity w tłuszcz komendant i trząśł się ze śmiechu na widok naszego zdumienia.

– Calutka, zdrowa, nienaruszona. Każdy klejnocik na swoim miejscu – delectował się naszym zdumieniem.

– Czysta robota. I co najważniejsze, prędko – pochwalił przy nas chorążego. Zapewne uprawniło to młodego śledczego do odrobiny samochwalstwa.

– O jedenastej minut pięć wyjechałem z Uroczyska. O dwunastej skończyłem rozmowę z kościelnym Justem w Opornej. O trzynastej siedziałem już w mieszkaniu Bachury i choć jego gospodyni przysięgała mi się na wszystkie świętości, że Bachura calutką noc był w domu i dopiero wczesnym rankiem gdzieś wyjechał, cierpliwie oczekiwałem jego powrotu. I doczekałem się. Wpadł mi ptaszek prosto w szeroko otwarte ramiona. Zajechał pod swój dom własnym wozem, a na wozie w jednym worku był ten relikwiarz, a w drugim duży blaszany bianiak z samogonem. Od piętnastej stauroteka znajduje się pod naszą opieką, a Bachura w sąsiednim pokoju oczekuje w tej chwili na powtórne przesłuchanie pod zarzutem napadu na wasz barak i kradzieży relikwiarza

– On nie zrabował nam relikwiarza – stwierdziłem.

– Co??!!

– Hm – chrząknął komendant i spojrzał na mnie jak na wariata.

– Bachura nie zrabował nam relikwiarza – powtórzyłem stanowczo.

Śledczy wzruszył ramionami

– Przeczy pan oczywistym faktom A w ogóle dlaczego nie zwierzył mi się pan ze swych podejrzeń w stosunku do Bachury? Dopiero kościelny Just opowiedział mi, jak to Bachura z chciwości aż trząsł się do klejnotów...

– To go zbyt obciążało podejrzewaniem. A jak wiadomo z kryminalnych książek, ten, kogo najbardziej podejrzewamy, okazuje się niewinnym.

– Niewiele czytałem kryminalnych książek. Ale w życiu ten, kto jest najbardziej podejrzany, zazwyczaj jest i winnym. Tak też było i z Bachurą. Zresztą on sam przyznał się do kradzieży.

– Przyznał się, choć nie on ukradł! Gospodyni jego mówiła prawdę. Najprawdopodobniej Bachura rzeczywiście całą noc spędził w domu – upierałem się.

Nie mieli ochoty do żartów. Widziałem to po ich twarzach.

Pospieszyłem z wyjaśnieniem.

– Bachura przyznał się do kradzieży, bo nie chce być oskarżony o morderstwo.

– Cooo?!!!

– A tak. W jaskini na Górze Czartorii zabił rzeźnickim nożem swego współnika, znachora, nie znanego mi nazwiska. W jednej z jaskiń znalazłem martwe ciało. Można sprawdzić. Znachor zakradł się nocą do baraku i ukradł staurotekę. Uciekł z nią na Czartorię, a tam rano podjechał wozem Bachura. Może pokłócił się ze współnikiem? Dokonał mordu, potem wziął na wóz staurotekę i powrócił do domu.

Komendant zdjął z wieszaka milicyjną czapkę, śledczy zakręcił korbką w aparacie telefonicznym i przez słuchawkę zażądał podstawienia „Willisa”.

– A więc to taaak? – mrucał gniewnie komendant.

Powiedziałem śledczemu:

– W trzeciej pieczarze znajduje się aparat do wyrobu samogonu i kilka beczek z zacierem. Śledczy złapał się za głowę.

– Czyżbyśmy za jednym zamachem ustrzelili dwie sroki? – mrugał okiem do swego zwierchnika,

A ten potakująco skinął głową i wyjaśnił nam:

– Od jakiegoś czasu na naszym terenie kwitnie handel samogonem. Niestety, jak do tej pory nie udało się nam odkryć miejsca, gdzie go wyrabiają. Teraz, zdaje się, trafiliśmy na właściwy ślad. To Bachura urządził w pieczarze bimbrownie. Pod pretekstem handlu dewocjonaliami jeździł po wsiach i sprzedawał także swój samogon. Znachor był zapewne jego współnikiem. Nadarzyła się jednak lepsza gratka, klejnoty relikwiarza, i na nie się połasczyli.

– Ale jak doszło do morderstwa?

– Jak? Bachura nam opowie. Tyle tylko państwu zdradzę, że tego znachora to my już od dawna mieliśmy na oku. Kuwasik się on nazywa.

Nie wytrzymałem.

– Kuwasik???

– Słyszał pan to nazwisko?

– Słyszałem o diable. Diabeł Kuwasa.

Pogardliwie machnęli rękami.

– Pal go diabli Na punkcie diabła Kuwasy powariowali nam milicjanci na jednym posterunku. Tam koło was, koło Uroczyska. Szukali Kuwasy, a mieli pod ręką Kuwasika. Ale, ale – przypomniał sobie komendant – to zdaje się pan napisał artykuł: „Przyczynek do działalności diabła Kuwasy”.

– Tak. Ja.

– No właśnie! – uradował się. – Pisał pan, że pora skończyć z praktykami znachora. Po pańskim artykule zaczęliśmy szukać w terenie znachora Kuwasika. I bylibyśmy go najpewniej capnęli.

– A jeśli Bachura zdecydował się zamordować Kuwasika dlatego, że był już on przez nas poszukiwany? Bał się, że w przypadku, gdy go capniemy, zdradzi przed nami także sprawę kradzieży klejnotów? – zastanawiał się śledczy.

Pod oknami zatrąbił samochód. Po chwili, w otoczeniu dwóch milicjantów, chorążego i komendanta, mknęliśmy przez noc otwartym „Willisem” Na kolanach moich spoczywała skrzyneczka relikwiarza, a przy boku miałem Babie Lato.

ZAKOŃCZENIE

Opuszczaliśmy Uroczysko w czwórkę, Nietajenko, Nemsta, Babie Lato i ja, malutką, blaszana „Ifą”. Narkuski odjechał już wcześniej w szoferce ciężarówki, na której ułożono deski naszego baraku, a na deskach usiedli przytuleni do siebie: Joasia i Dryblas z owiazaną bandażem głową oraz czterech „smarkaczy”. Na platformie ciężarówki starannie owinięte w płachtę brezentową jechały również skrzynki z zawartością książęcego grobowca, broń z podziemia i stauroteka.

W Opornej u Justa wypiliśmy w czwórkę „strzemiennego”.⁵²

Było mi radośnie i smutno. Sam nie wiem, jak mi było. Podpiwszy sobie zacząłem drażnić Justa.

– Zdechł twój Kuwasa, zdechł, kochany Juście. Na górze Czartorii niejaki Bachura, handlarz dewocjonaliami, zabił go uderzeniem noża w plecy. Ot, i w ten sposób skończył swój niecny żywot bagieny diabeł Kuwasa. A jego skarby i klejnoty pojechały do miasta ciężarowym samochodem. Szkodnik był z Kuwasy okropny, to ci przyznaję. Narobił nam kłopotów i trosk. Osobiście mam do niego tylko jedną pretensję. Dlaczego mi rozbił kłódkę przy grobowcu Regierungsratha? Teraz mu jednak przebaczam. Bo zdechł i nie ma go już między nami... Jak powiada Szekspir: *Reszta jest milczeniem...*

– Błagam cię, nie mów wierszy – prosił Nemsta.

Just uśmiecha się dobrotliwie. Domyśla się, że żartuję. Zaprzecza mi więc bez zwykłej w takich razach gwałtowności:

– Słyszane to rzeczy, żeby ktoś diabła zabił nożem? Zwykłym rzeźniczym nożem? I to kto? Bachura? Kuwasika, znachora zabił, a nie diabła Kuwasę. Diabeł jest! Jest, panowie kochani. Tylko, że na co dzień go nie widać. Nocami łązi. W wietrzne noce, w zawieruchy, w burze...

W milczeniu dopijam wino z kubka.

– A może Kuwasika zabił nie Bachura, tylko diabeł Kuwasa, braciaszkowie mili? – śpiewnie powiada Nietajenko.

Oczy Justa rozbłyskują szczęściem. Rozgląda się po naszych twarzach promieniejący radością i z niepokojem szuka w nas zaprzeczenia słów Nietajenki. Lecz my zgodnie kiwamy

⁵² Strzemienny – ostatni kieliszek wypijany na odjeździe, z nogą w strzemieniu.

głowami. Wówczas Just szczęśliwy, jakby go kto skarbami diabła obdarzył, biegnie po nowy baniaczek z porzeczkowym winem. I dolewa, ciągle dolewa wina do naszych kubków.

Rozmyślam:

...Gdy na wysepce Uroczyńska trawą zarośnie ślad po naszym baraku, gdy na przyszyły rok latem zażółci się miodownikiem, wtedy znowu wychyli się z bagien złośliwy diabeł Kuwasa. Będzie tak jak dawniej pijanych wciągał w błoto moczarów, a niekiedy straszył babki po wsiach, będzie pohukiwał głosem puszczyka i kwilił jak kaczka na bagnach. Wypłynie Kuwasa z bagien i moczarów uboższy o trochę skarbów w kurhanie i święty relikwiarz z kolegiaty. Ale wzbogacony o nową wspaniałą legendę. Kościelny Just, doglądając pszczół w sadzie i sycąc swe porzeczkowe wino, będzie rzadkim przyjezdnym wypożyczał klucz do kolegiaty. A gdy zacznie opowiadać, to już nie tylko o dziwacznej przygodzie Regierungsratha jego królewskiej mości króla pruskiego, ale i o naukowcach, którzy przyjechali na wysepkę Uroczyńska, aby wykopać skarby diabelskie. Będzie w tej nowej legendzie mowa o figlach, które im diabeł płatał nie chcąc dopuścić do zabrania skarbów, o podpalonej wierzbie, o podrzuconej czaszce, o ukradzionych narzędziach, o srebrnych przedmiotach w mogile księcia, o krzywym uśmiechu kanonika Leonarda i o klejnotach bezcennej stauroteki. A legendę zakończy Just zapewne historią o znachorze Kuwasiku, który zrabowawszy nam relikwiarz umknął w nocy na Czartorię, a tam odebrał mu ją diabeł Kuwasa, aby nam zwrócić, bo... nas pokochał. Za to, że i myśmy go pokochali. Takim, jakim był naprawdę – figlarzem, okrutnym, złośliwym figlarzem.

I może za kilka lat słuchacze tych bajd pobłażliwie pokiwiają głowami nie wierząc ani jednemu słowu Justa. A przecież będzie w tej legendzie tyle prawdy. Tyle prawdy...

I wiem jeszcze, że niejedną noc zapragnę tu powrócić. Gdy któreś nocy będę pisał w swym pokoju pochylony nad maszyną i przez otwarte okno wraz z parnym powietrzem wpadnie do mnie szara ćma, krążąc i wirując wokół lampy – wówczas zatęsknię za nocami Uroczyńska. Zatęsknię za rozgrzaną od upału wysepką, za chłodnym wnętrzem romańskiej kolegiaty, za winem Justa, za legendami o diable Kuwasie...

– Jedźmy już! Bo zacznie mówić wiersze. Widzę to po jego oczach – wskazał na mnie Nemsta

Nietajenko skończył poufną gadkę z żoną Justa.

Westchnął:

– Postanowiłem napisać artykuł do „Hodowcy Drobiu”. A dziwną kurę pozostawiam Justom.

– Dziwną?

– Dwadzieścia jeden dni posiedziała na jajkach, a kiedy rozbiłem jedno z nich, okazało się, że były świeże, jakby dopiero co zniesione.

– Ciekawe. Bardzo ciekawe – mruknąłem.

Spojrzelismy na siebie z Nemstą. Było nam wstyd. Nemsta czym prędzej podszedł do swego auta i zapuścił motor, a ja dopiłem Justowego Wina.

Jak to się jednak wszystko ciekawie złożyło? – zastanawiałem się. – Znachor Kuwasik jakby otworzył i zamknął nasze przygody na Uroczysku. A przecież właściwie wcale go nie znałem, raz jeden tylko rozmawiałem z nim w szałasie na łąkach. Po co potrzebna mu była nasza śmierć, dlaczego wysłał nas na bagna? Zapewne uczynił to bez wielkich namysłów, ot, pod wpływem złego impulsu. Obiła mu się o uszy legenda o skarbach Kuwasy, ja potwierdziłem, że przyjechaliśmy, aby wykopać skarby, więc zapragnął nas zgładzić, a sobie bogactwo przywłaszczyć. Nie udało mu się, machnął na nas ręką. I tak mieli z Bachurą wystarczająco dużo roboty przy organizowaniu bimbrowni. Ktoś zupełnie inny, dwaj chłopcy z Opornej, piętrzyli przed nami trudności z rozkopaniem kurhanu, a ja czarne dusze Bachury i znachora obarczałem grzechami, których nie popełnili. Potem jednak znowu pojawili się w naszym życiu. Kuwasik włócząc się po Czartorii natrafił na kłódkę i zaintrygowany rozbił ją, żeby zobaczyć, dlaczego zamknęliśmy grobowiec. Później Bachura poinformował go o klejnotach stauroteki, uknuli plan napadu. I oto pośrednio stałem się przyczyną śmierci znachora Kuwasika. Zamordował go Bachura, lękając się, że ścigany już przez milicję Kuwasik może wpaść w ich ręce, a wtedy zdradzi sprawę bimbrowni i kradzieży relikwiarza. A poszukiwania milicji za Kuwasikiem to ja przecież sprowokowałem swym artykułem o diable Kuwasie i znachorach. Tak więc Kuwasik wysłał mnie na śmierć i sam potem zginął po trosze za moją przyczyną...

Odjechaliśmy z Uroczyska. Wysepka prażyła się w słońcu jak duża patelnia, a kolegiata, w miarę jak oddalaliśmy się od niej po wyboistej drodze, coraz bardziej upodabniała się do śmiesznego zwierza ze spiczastymi uszami. Na rozległej połaci łąk skakały pasikoniki, mieniły się lilaróżowe kwiatki i złościły „wole oczka”. Za samochodem długo biegli dwaj chłopcy, wykrzykując, że przyjadą do nas do miasta, a przyjadą na pewno...

Zdobyliśmy bezcenne skarby diabła Kuwasy, Każdy z nas powracał z Uroczyska szczerze obdarzony jakimś bogactwem. Archeologom darował Kuwasa łupy obfite: stare garnki, broń, denary, srebrne naczynia i wysadzany klejnotami relikwiarz.

A ja?

Objąłem mocno siedzącą obok mnie dziewczynę. Na mą dłoń spłynęły jej piękne włosy o jesiennej barwie starego złota. Złota ze skarbcza Kuwasy, które mnie przypadło w udziale.

KONIEC

* * *

Jeśli byś, drogi Czytelniku tej książki, zechciał kiedykolwiek odwiedzić Uroczysko, kolegiatę, górę Czartorię odradzam. Lecz jeśli uprzesz się przy tych odwiedzinach – to zapewniam Cię, że droga na Uroczysko jest długa i trudna. Aby zobaczyć Czartorię, musiałbyś pojechać aż do powiatu piotrkowskiego, na sam jego kraniec, w okolicę wsi Ręczno. Tam znajdziesz Czartorię, prawie taką samą, jaką ja opisałem w „Uroczysku”. Gdzie indziej jednak szukać trzeba romańskiej kolegiaty. Stoi ona, piękna i dumna, o dwa kilometry od Łęczycy w wiosce Tum. Stara, romańska budowla z nagrobkiem kanonika i z tym samym co w książce napisem łacińskim na kamiennej płycie. Oprowadzało mnie po kolegiacie kilka mądrych książek, a wśród nich szczególnie praca Michała Walickiego, z której niejedno zaczerpnąłem, a przede wszystkim opis stauroteki.

Wiem, że kolegiata wyda Ci się wspanialsza, niż znalazłeś ją na kartkach książki, ale trudno piórem oddać tak wielkie piękno. Jeśli zaś w okolicach Tumu łęczyckiego zasłyszysz coś o diable Borucie, a w legendach o nim zabrzmiały nuty podobne do historii o diable Kuwasie, wiedz, że to nie sprawa przypadku. Jest w Kuwasie podobieństwo do diabła Boruty, od Boruty pożyczyłem historię o Regierungsracie, zapisaną u Kolberga i innych znawców folkloru.

Uroczyska zaś, wysepki pośród bagien i prasłowiańskiego kurhanu trzeba szukać aż na Białostocczyźnie, na bagnach i moczarach zwanych tam „kuwasy”. Stąd też i nazwa bagiennego diabła – Kuwasa. Ostrzegałem jednak – droga do Uroczyska jest długa jak pisanie książki, nad którą praca szła mi mozolnie i tak opornie, aż rozgniewany – wieś kościelną Justa ochrzciłem „Oporną”.

A propos Justa. Świątek frasośliwy sprzed jego domu w rzeczywistości znajduje się w kościele parafialnym w Piątku, w powiecie łowickim. Co zaś do Justa, to chyba nie musisz za nim daleko jeździć. Wielu jest takich dziwaków. Ja sam jestem do Justa podobny. Tak jak i on nie wierzę, aby diabła można było zabić kłonicą...

AUTOR